

KIM JEST JEDYNY POLSKI
KSPORTER TELEWIZYJNY?

s. 42

TERRORYSCY-SAMOBUJCY
SA PODOBNI DO NAS

s. 60

UWAGA! MASZ WYBÓR:
MOŻESZ KUPIĆ „PRZEKRÓJ”
Z PRZEWODNIKAMI
PODRÓZNIKA ZA 15,90 ZŁ

PRZE KROJ

NAJSZTUB PYTA
LISTKIEWICZA

DLACZEGO NIE CHĘ ODEJSC!

s. 16

33 / 3138 • 10 sierpnia 2005 • cena 4,50 zł
/w tym 7% VAT/



s. 12

ambasador Białorusi
traktuje - rozmowa



s. 24

ksamitna rewolucja
polskich konfesjonalach

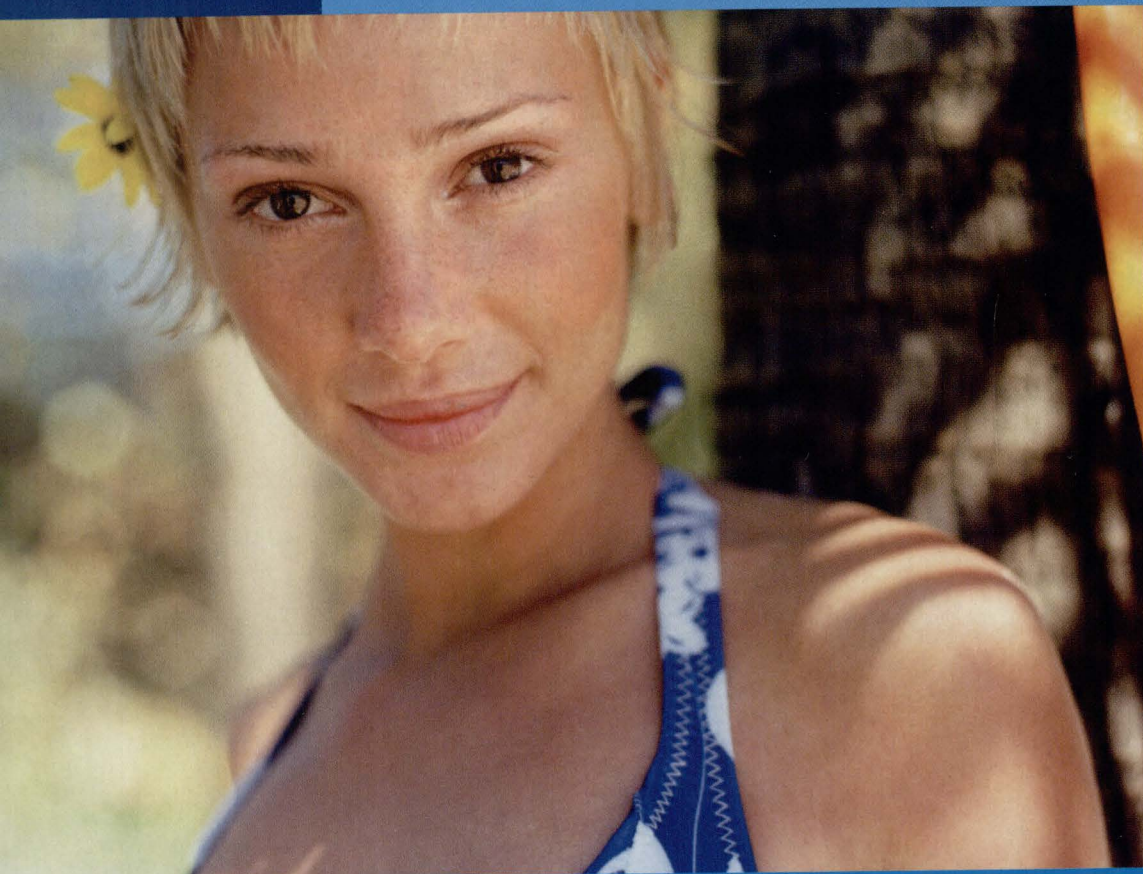


s. 50

A może podróż szalona?

FAKTY LUDZIE OPINIE

MASZ Z NIĄ, 160 MINUT



tylko 30 złotych za 160 minut

SKORZYSTAJ Z NIEZRÓWNANEJ OFERTY DLA FIRM, A DOSTANIESZ 160 MINUT NA POŁĄCZENIA W SIECI ERA ORAZ Z TELEFONAMI STACJONARNYMI ZA JEDYNE 30 ZŁ NETTO (36,60 ZŁ Z VAT). DODATKOWO, MOŻESZ MIEĆ DARMOWE ROZMOWY MIĘDZY PRACOWNIKAMI TWOJEJ FIRMY.



**NOKIA
6610i**

1 ZŁ NETTO
(1,22 ZŁ Z VAT)



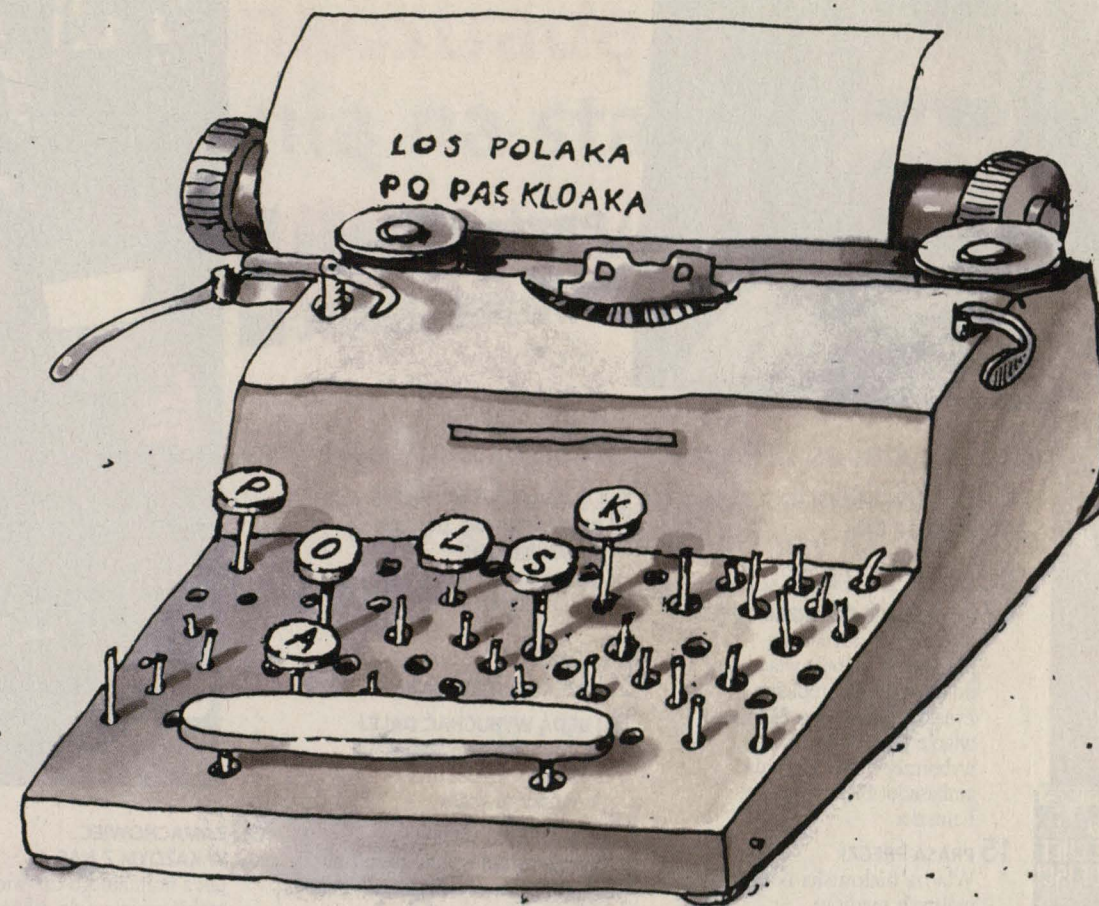
**BIZNES
MOŻESZ WIĘCEJ**

SPRAWDŹ WWW.ERA.PL LUB DZWOŃ 0 801 602 602

OPŁATA ZGODNA Z CENNIKIEM OPERATORA SIECI, Z KTÓREJ WYKONYWANE JEST POŁĄCZENIE. SZCZEGÓLNY WARUNKÓW OFERTY PROMOCYJNEJ W REGULAMINIE DOSTĘPNYM W PUNKTACH SPRZEDAŻY SIECI ERA.

PRZE
KROJ

RACZKOWSKI na Czwartek



Wymyślił i narysował MAREK RACZKOWSKI

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY:

...o bezgranicznym zaufaniu, jakim obdarzają władze LPR swoich kandydatów na posłów. Bo trudno się pisać o czymś, czego nie ma – każdy kandydat LPR musi podpisać dokumenty, które zobowiązują go między innymi do zatrudnienia w biurze poselskim „osoby wskazanej przez partię”, i to za pensję pięciu tysięcy złotych miesięcznie, przy czym w razie „stosowania wobec niej mobbingu lub niedopuszczenia do pracy” kandydat zobowiązuje się do zapłacenia stu tysięcy złotych kary. Szef LPR Marek Kotliński zapewnia, że to uniemożliwi zatrudnianie rodziny. Nie podano, czy „wskazana osoba” musi być spoza rodziny Giertychów.

...o profesorze medycyny Lechu Konopce, który został szefem komitetu wyborczego kandydata Samoobrony na

prezydenta Andrzeja Leppera, bo popiera „uczciwy i sprawiedliwy” program Samoobrony. Bo to zbyt oczywisty dowód, że nie wystarczy być profesorem, by być uczciwym i sprawiedliwym.

...o kredytach zaciąganych na kampanie prezydenckie – różne sztaby i osoby biorą (i dostają) po kilka i kilkanaście milionów złotych kredytów, jak na razie nie podają, jak je spłaca. Bo to nie nasze zmartwienie, podobnie jak i kandydatki na prezydenta profesor Marii Szyszkowskiej, której szczerłość na pewno przysporzy głosów (dwóch?): „Mam swoje własne kredyty, moja zdolność kredytowa się wyczerpała”. Może będzie na nią głosował nawet szef jej sztabu Czesław Janik, który równie szczerze i trzeźwo zauważył, że byłby zadowolony, gdyby na kampanię pani profesor udało się

uzbierać 20 tysięcy złotych: „Grunt, aby na kolorowe ulotki wystarczyło”. Dwie?

...o prawie i sprawiedliwości zastosowanych wobec prezesa PiS w Elblągu, który – w myśl decyzji szefa partii Jarosława Kaczyńskiego – pozostanie liderem listy elbląskiej PiS do Sejmu, chociaż ma prawomocny wyrok za jazdę po pijanemu. Bo uzasadnienie, że „to w jego auto uderzył TIR”, a „alkohol spożywał dzień wcześniej”, to nie tyle prawo i sprawiedliwość, ile prawie sprawiedliwość.

...o Zygmuncie Wrzodaku, przewodniczącym Rady Politycznej LPR, który nie chce kandydować do Sejmu z listy w Rzeszowie, lecz w Warszawie i z listy Domu Ojczystego. Bo nie chcemy zapeszyć Warszawo, to twoja wielka szansa!

CYTAT tygodnia

Właśnie jadę na spotkanie z panem przewodniczącym Andrzejem Lepperem, jestem właściwie w pociągu

– ANDRZEJ AUMILLER, były poseł Unii Pracy, pytany, czy już wstąpił do Samoobrony



Fot. WITOLD ROZBIEK/REPORTER



Fot. PIOTR HAWALEC/WROFOTO

42

Tomasz Kurzewski uczy Zachód, jak robić dobrą telewizję

POWIĘKSZENIE

6 WYSZLI Z DNA

KONFLIKT BIAŁORUSKI

12 CO JEST NIE DO PRZEKNIĘCIA

Niektórzy kandydaci na prezydenta próbują włączyć się do rozwiązywania problemu Związku Polaków na Białorusi tylko z powodu kampanii wyborczej w Polsce – mówi ambasador Białorusi Paweł Łatuszka

15 PRASA PRECZ!

Władza białoruska boi się wolnych mediów

NAJSZTUB PYTA

16 NIEWYGWIZDYWALNY

Gdybym ja w tej chwili ustąpił, to w powszechnej opinii przyznałbym się do stawianych zarzutów – broni się prezes PZPN Michał Listkiewicz

KRAJ

20 PRZEKRÓJ TYGODNIA

22 POLITYKA JEST OKRĄGLA, A BRAMEK JEST WIELE

Politycy, szukając dobrych miejsc na listach wyborczych, co chwila zmieniają partie, do których należą. Rozpoczęła się transferowa karuzela

TEMAT NUMERU

24 AKSAMITNA REWOLUCJA W KONFESJONALE

Raport o współczesnej polskiej spowiedzi. Jak Kościół radzi sobie z naszymi nowoczesnymi grzechami i czy my sami zdajemy sobie z nich sprawę

30 AUTO TANIE ZNAJDE

Od niedawna mamy szansę kupić auto najtaniej w Europie. Wystarczy złożyć zamówienie u brokera

PRZEKRÓJ GIER
KONKURS
SUPER SZUKAJ SZCZEGÓŁÓW
WWW.PRZEKROJ.PL

ALE O CO CHODZI

32 BEZPŁATNE NIE ZNACZY SPRAWIEDLIWE

Opłaty za studia są nie tylko nieuniknione, ale też racjonalne

ZAGRANICA

34 PRZEKRÓJ TYGODNIA

36 I BĘDĄ WYBUCHAĆ DALEJ

W Europie funkcjonuje specjalna „zachodnia” komórka Al-Kaidy

40 KIWANIE PO CZESKU

Czeski futbol usiłuje pozbiierać się po rocznym zmaganiu się z korupcją

LUDZIE

42 BALLADA O PRODUCENCIE

Tomasz Kurzewski, właściciel największej w Polsce firmy zajmującej się produkcją telewizyjną. Sukces bez wpadek – aż miło poczytać

46 GROŹNY ELEMENT

Andżelika Borys – dlaczego boi się jej prezydent Białorusi?

SPOŁECZEŃSTWO

BIZNESMAGAZYN MOSZA

48 POLSKA JAK DYLIŻANS

Czy stać nas na wcześniejsze emerytury

OBYCZAJE

50 PODRÓŻ SZALONA

Maluchem, gazikiem, traktorem, na rowerze i na rollkach – tak możesz zwiedzić cały świat i przeżyć przygodę życia

NAUKA

56 UCIECZKA Z REALU

Wirtualna rzeczywistość to już nie tylko temat filmów i gier, ale poważny wynalazek służący technice i medycynie



60

60 ZAMACHOWIEC W KAŻDYM Z NAS

Jak z normalnego człowieka zrobić maszynę do zabijania? Bardzo prosto

Skąd się biorą terroryści-samobójcy

TYDZIEŃ – KULTURALNIE POLECAMY

62 WYDARZENIE Kult Ryśka Riedla

64 MUZYKA Martha Wainwright „Martha Wainwright”

66 KSIĄŻKI Miesiąc Andy’ego Warhola

68 GRY polityczne

70 TELEWIZJA Rocznicia Sierpnia

ZAWSZE CZYTAJ

3 NA CZWARTEK RACZKOWSKI, W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY

54 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ

72 EKSTRA

73 LISTY, KRZYŻÓWKA

74 RACZEJ RACZKOWSKI

76 ROZMAITOŚCI



30

Najtańsze auta w Europie

wypróbuj neostradę tp 512!

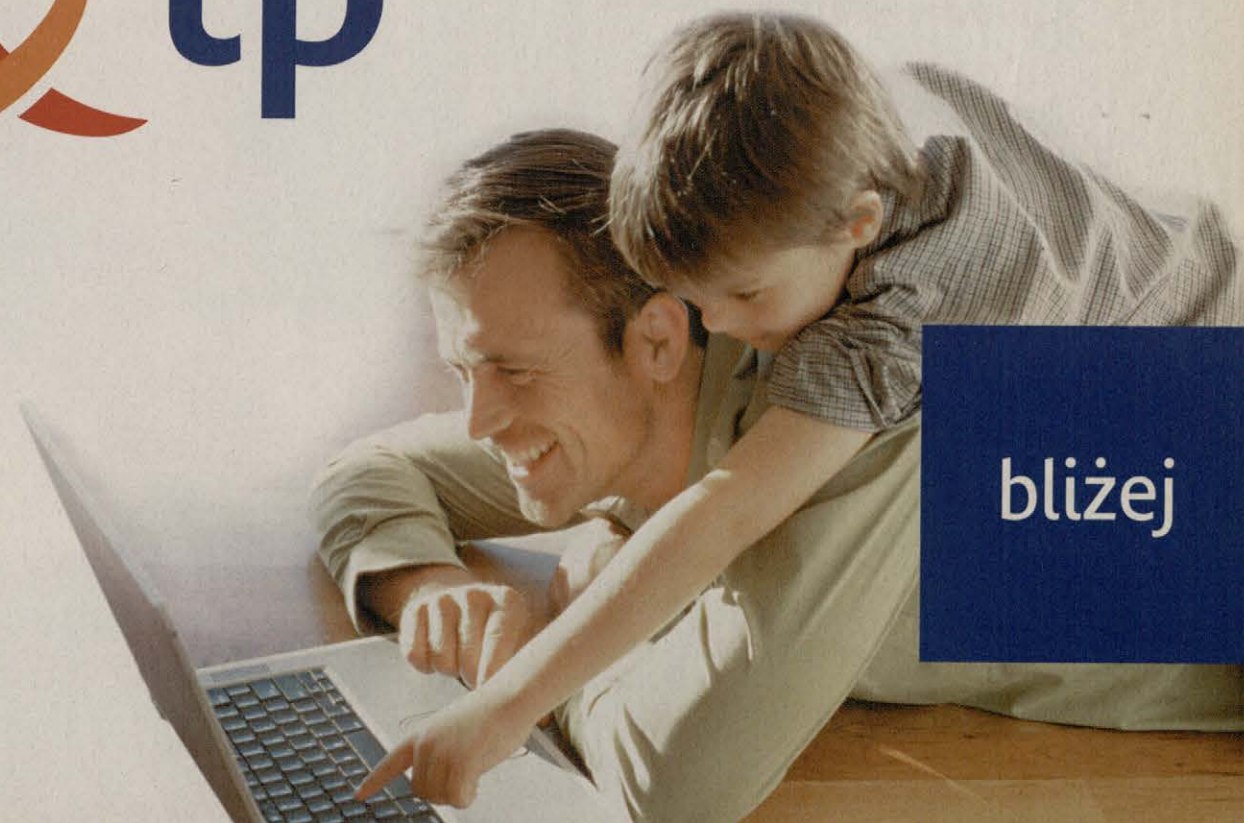
i ciesz się nią na stałe już za 69 zł (84,18 zł z VAT)!

internet w domu
neostrada tp

Promocja trwa – wciąż możesz wypróbować neostradę tp 512 za jedyne 24,50 zł (29,89 zł z VAT) miesięcznie, przez całe 60 dni bez żadnych zobowiązań! Ale to jeszcze nie wszystko. Jeżeli Ci się spodoba, możesz ją mieć na stałe już za 69 zł (84,18 zł z VAT) miesięcznie! Zamów już dziś.

znajdź rozwiązanie dla siebie:

TELEPUNKT 0-801 321 123 www.tp.pl



bliżej

JAKUB KUMOCZ

WYSZLI Z DNA

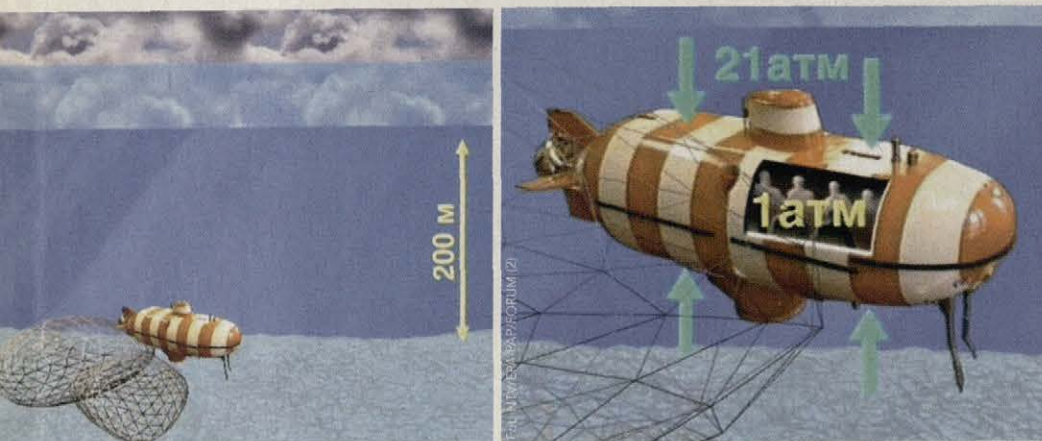
Dramat marynarzy uwięzionych 190 metrów pod wodą na dnie Morza Beringa zakończony. W niedzielę ich okręt uwolniono. Na szczęście Rosja schowała dumę do kieszeni i poprosiła zagranicę o pomoc

W niedzielę po południu brytyjski robot przepiłował ostatnią linę, która nie pozwalała okrętowi uwolnić się z dna. Po kilku minutach niewielka jednostka znalazła się na powierzchni morza. Wyczerpani marynarze mieli jeszcze na tyle siły, by otworzyć luk

Marynarze przeżyli większość czasu, leżąc na kojach w pięciostopniowej temperaturze. Choć z łodzi wyszli o własnych siłach natychmiast zabrano ich do szpitala na obserwację

Każda awaria okrętu podwodnego wywołuje w Rosji automatyczne skojarzenia z katastrofą „Kurska” w sierpniu 2000 roku. W Morzu Barentsa zginęło wówczas 118 marynarzy

Miniokręt najprawdopodobniej zahaczył o sieci rybackie. Ich przecięcie zajęło brytyjskiemu robotowi Scorpio około sześciu godzin. Minister obrony Siergiej Iwanow powiedział, że przynajmniej jedna sieć należała do kłusowników



Wielu Rosjan oczekiwano z niepokojem powtórki sprzed pięciu lat, kiedy w podwodnym okręcie „Kursk” 118 marynarzy umarło w męczarniach, nie doczekawszy pomocy. Tym razem życie ludzkie okazało się ważniejsze niż duma imperium – Rosjanie wezwali na pomoc Brytyjczyków i Amerykanów. W niedzielę nad ranem po dwudniowej akcji telewizja pokazała siedmiu wyczerpanych marynarzy wychodzących na ląd w Pietropawłowsku Kamczackim. – Tańczyłam i śpiewałam z radości – mówiła telewizji rosyjskiej żona kapitana miniokrętu. Gdy zagraniczna pomoc dotarła do uwięzionych 190 metrów pod wodą marynarzy, mieli tlenu na kilka godzin.

CUDOWNY SCORPIO

Ratowniczy okręt AS-28 „Priz” legł na dnie Morza Beringa w czwartek – utknął w płataninie lin i sieci rybackich. Tym razem gdy nie powiedziała się własna próba ratowania łodzi, Rosjanie zaapelowali o pomoc do Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Japonii.

Ostatni etap dramatu rozegrał się w niedzielę. Przez kilka godzin brytyjski robot podwodny Scorpio-45 ciął liny i piłował sieci, które przywiązane do 60-tonowych kotwic trzymały założone na dnie. Rosjanom pomagali nie tylko Brytyjczycy – po morzu krążyły japońskie okręty ratunkowe, a Stany Zjednoczone skierowały do pomocy ekipy nurków.

– Cały czas wierzyliśmy, że nas uratują – powiedział po wydobyeniu okrętu jego kapitan Wiaczesław Miłaszewski. Ale i on, i jego załoga dobrze wiedzieli, że jeśli akcja zakończy się fiaskiem, pozostaną im tylko godziny życia. Marynarze położyli się na kojach i sami regulowali sobie dopływ powietrza. Temperatura na pokładzie spadła poniżej pięciu stopni.

Po raz pierwszy Rosja zachowała się jak normalne państwo – nie zastaniała się tajemnicą wojskową, nie mydliła oczu opinii publicznej. Po prostu zajęła się ratowaniem ludzi

O 16.19 czasu miejscowego (w Moskwie był wtedy dopiero niedzielny poranek) Brytyjczycy przecięli ostatnią linę. Zaczęło się wyczekiwanie. – Przez dwie-trzy minuty „Priz” się nie ruszał, mimo że na zewnątrz nie było widać żadnych uszkodzeń – opowiadał potem rosyjski minister obrony Siergiej Iwanow. Jednak mimo najgorszych obaw „Priz” wystrzelił w górę i po paru minutach ukazał się na powierzchni. Marynarze wychodzili z okrętu z pomocą ratowników, skrajnie wycieńczeni.

OKRĘT WE WNYKACH?

– Scorpio pracował prawie na samym dnie przez sześć godzin bez przerwy – powiedział Iwanow. – Przeciął pięć stalowych lin, przy czym największa z nich została zarzucona przez kłusowników – dodał. Śledztwo może wkrótce wskazać, co naprawdę znajdowało się na dnie morza. Ze słów Iwanowa wynika, że władze będą chciały obciążyć odpowiedzialnością potężną na Dalekim Wschodzie małą kłusowniczą, która nielegalnie łowi ryby powyżej ustalonych limitów i trzyma w szachu wiele dalekowschodnich regionów kraju.

Moskwa pośpiesznie zapewniła, że Amerykanie i Brytyjczycy nie naruszyli żadnej leżącej na dnie rosyjskiej tajemnicy wojskowej, bo Rosja ogarnięta jest strachem przed NATO-wskim szpiegostwem. – Decyzję o zwróceniu się o po-

moc do zagranicznych specjalistów podjął sztab rosyjskiej Floty Pacyfiku. Wiele państw samych oferowało pomoc – powiedział Iwanow. „Rosja wyraża głęboką wdzięczność Wielkiej Brytanii, USA i Japonii, które natychmiast odpowiedziały na apel o pomoc” – napisało w oficjalnym komunikacie rosyjskie MSZ. Dążył też dowódca rosyjskiej Floty Pacyfiku admirał Wiktor Fiodorow. Ale poproszenie o pomoc obcych państw to w rosyjskiej historii prawdziwy ewenement – o tej decyzji mówi się więc w Moskwie nie mniej niż o kulisach akcji ratunkowej.

Nie brak i odrobiny goryczy. – Bardzo dobrze, że dowództwo Floty Pacyfiku nie uznało awarii za „tajemnicę wojskową” i nie ukrywało jej przed cudzoziemcami, bo życie ludzkie stoi ponad wszelkimi interesami – powiedział jeden z rosyjskich agencji wiceszef parlamentarnej komisji obrony admirał Wiaczesław Popow. Gorzej – dodał – że choć po pięciu latach od tragedii „Kurska” zmieniła się mentalność, inwestycji w technikę służącą do ratowania okrętów jak nie było, tak nie ma.

Brytyjczycy, którzy tak skutecznie pomogli załodze „Priza”, są dumni z wygranej bitwy. – Nasza ekipa jest zachwycona tym, że mogła pomóc w wydobywaniu uwięzionych w okręcie podwodnym marynarzy – powiedział ekspert od akcji ratunkowych w Royal Navy komandor Jonty Powis.

PUTIN URATOWANY

Gdyby marynarzy nie udało się uratować, zapewne szybko przypomniano by sobie o ewidentnym błędzie na początku akcji ratowniczej: od tragedii do momentu, w którym o niej poinformowano, minęło kilkanaście godzin.

Tym razem szczęśliwie dla Kremla operacja zakończyła się sukcesem i Putin nie zbierał żęgów od opinii publicznej. Przed pięciu laty – chyba za namową kremlowskiego socjotechnologa Gleba Pawłowskiego – prezydent nie przerwał urlopu w Soczi, ulegając podszeptom, że jego obecność na Kremlu doda tylko rozgłosu sprawie „Kurska”. Tę bierność rosyjskiego prezydenta Rosjanie pamiętają do dziś.

W 2000 roku Putin był w korzystniejszej sytuacji. Urzędował na Kremlu zaledwie od czterech miesięcy i odpowiedzialność za wszystkie niepowodzenia mógł zrzucić na swoich poprzedników. – W tym kraju nie ma nawet sznurka – mówił wówczas rodzinom marynarzy. Po pięciu latach „sznurka”, czyli konkretnie sprawnego systemu ratowania łodzi podwodnych, w kraju wciąż nie ma, ale gospodarzem Rosji jest od dawna Putin. Tyle że prezydent potrafił nagle wyjść ze skóry czekisty. Gdyby hołdując mentalności państwotwórczej, zwlekał w obawie przed „międzynarodową kompromitacją Rosji”, wydałby tym samym wyrok śmierci na marynarzy. Na szczęście w Putinie wygrał człowiek.

JAKUB KUMOCZ

VIVA!
17 (223) 11 SIERPNIA 2005

**Seks
MĘŻCZYŹNI
i POLITYKA**
ANNA MUCHA

POKAZUJE NAM
SWÓJ ŚWIAT

0102...

HUGH GRANT
Wielki podrywacz dostał kosza!

KSIĄŻĘ WILLIAM
Poznajcie wybrankę
następcy brytyjskiego tronu

LECH WAŁĘSA
„Po śmierci Papeieża
kłóciłem się z Bogiem”

ERIN GILBERT
Wnuczka Czesława Miłosza
o ukochanym dziadku



JUŻ W SPRZEDAŻY!

PREZENT!
ORYGINALNY
MARKOWY

T-shirt



SPECJALNIE!
DLA VIVY!

KOSZULKĘ PROJEKTU
STYLISTÓW MARKI AUTOGRAF
Z GALERII CENTRUM
NOSI ANIA MUCHA



WYJĄTKOWA *jakość*: BAWĘLNA Z LYCRĄ
DWA *wzory*: WYBIERZ SWÓJ ULUBIONY!
RÓŻNE *rozmiary*: DLA KAŻDEJ FIGURY

Jak się panu podoba pomysł ekspresowego nadawania polskiego obywatelstwa Polakom na Białorusi?

– To może mieć szkodliwe skutki dla przyszłości naszego dobrosąsiedztwa, jeżeli nagle na Białorusi pojawi się w ten sposób duża grupa obywateli polskich. Myślę, że to będą raczej przypadki sporadyczne, choć z pewnością wykorzystywane medialnie i politycznie. Dodatkowym kłopotem jest to, że na Białorusi nie wolno być dwupaństwowcem.

Czy pan widzi szansę na to, żeby władze Białorusi pozwoliły Związkowi Polaków na Białorusi samodzielnie rozwiązać konflikt starych i nowych władz Związku bez „pomocy” milicji i żebyśmy jednocześnie gasili konflikt między Polską a Białorusią?

– Musimy znormalizować stosunki polsko-białoruskie, bo Białoruś i Polska są sąsiadami, mamy wspólną 400-kilometrową granicę. Mamy mniejszości – polską na Białorusi, białoruską w Polsce – wspólną historię i kulturę, dobrą współpracę gospodarczą. Nie mamy innego wyboru, jak szukać dobrego wyjścia z obecnych emocji w stosunkach polsko-białoruskich. Po pierwsze, Białoruś czy władze białoruskie w za-

Chcemy z Polską dialogu, a dostajemy ultimatum. Nie przeniesiecie Polski na Białoruś, żeby tam prowadzić swoją kampanię wyborczą – mówi ambasador Białorusi PAWEŁ ŁATUSZKA

CO JEST NIE DO PRZEŁKNIĘCIA

den sposób z własnej inicjatywy nie ingerowały w konflikt wewnętrzny Związku Polaków na Białorusi...

Wiadomo, że to stare władze ZP, klóćąc się z nowymi, wysłały do władz list z prośbą o interwencję. Ale czy możliwa jest dzisiaj sytuacja, w której władze Białorusi cofają się o krok i mówią: Członkowie Związku, załatwcie to między sobą, my nikogo nie będziemy wsadzać do aresztu, przyjdźcie nam potem powiedzieć, kto jest waszym prawdziwym przedstawicielem?

– Właśnie po to jest organizowany przez Związek Polaków na Białorusi, przez jedyne legalne władze Związku, zjazd powtórny, który ma zdecydować, kto będzie kierował tą organizacją.

Ale czy muszą temu towarzyszyć aresztowania, przesłuchania prokuratorskie?

– Jeżeli mówimy o aresztowaniach, jest mi trudno wytłumaczyć polskiej opinii publicznej, bo prasa polska o tym nie mówi, że aresztowani i przesłuchiwanie przed zorganizowaniem swoich akcji wiedzieli o tym, że te akcje będą

nielegalne. Kiedy zaczęli akcję w Grodnie, milicja ich uprzedzała, że to niedozwolone, ale szli na to, wiedząc, że nastąpią konsekwencje. Wszelkie akcje, protesty i mityngi na Białorusi wymagają zgody konkretnych władz miejscowych. Jeżeli jej nie ma, to następuje kara o charakterze grzywny lub aresztu administracyjnego. Wygląda na to, że mieli świadomość kary, prowokowali taką sytuację. Oczywiście ubolewam nad tym, że oni się znajdują teraz w areszcie, ale wiedzieli, co robią.

Niech się pan nie dziwi polskim mediom, bo dla nas sytuacja, w której ktoś idzie do aresztu, bo zorganizował kilkudziesięcioosobową uroczystość na placu, nie świadczy dobrze o demokracji w państwie, w którym się to dzieje.

– Nie zgadzam się z tym, myślę, że jeżeli popatrzymy na ustawodawstwo polskie, to na pewno i u nas w takich sytuacjach przewidziana jest kara grzywny.

U nas za to nie wsadzają i dlatego Polacy piszą, że reżim prezydenta Łukaszenki wsadza do aresztu śpiewających na placu działaczy.

– To też jest nieprawda, bo przecież widzieliśmy, co wydarzyło się w Szczuczynie, jaki zamiar mieli organizatorzy tej imprezy: po prostu chcieli wejść do tego budynku, gdzie dyrektorem jest zwolennik Kruczkowskiego, starego prezesa ZP. I to znów potwierdza sytuację, że tak naprawdę to jest wewnętrzny konflikt tej organizacji.

No i dajcie im spokój, niech to pozafatwają między sobą.

– A jaki jest inny wariant, jeśli nie zorganizowanie powtórnego zjazdu? Mamy decyzję ministerstwa sprawiedliwości, które oceniło wniosek jednej części Związku Polaków na Białorusi i stwierdziło, że podczas ostatniego zjazdu zostało naruszone prawo i statut tej organizacji. A w Polsce zaczęto wtedy pisać, że to jest naru-

szenie prawa, naruszenie zasad demokracji i tak dalej. Ministerstwo sprawiedliwości podjęło apolityczną decyzję, że prawo zostało naruszone. W tej sytuacji były dwa warianty działalności: zorganizować powtórny zjazd albo zaskarżyć decyzję ministerstwa w sądzie najwyższym. A pani Borys powiedziała: Nie będę organizowała powtórnego zjazdu i nie będę skarżyła decyzji.

I co robią władze Białorusi? Wysyłają milicjantów. To jest chory.

– Tak zwany nowy zarząd ZP jednoznacznie powiedział, że nie podporządkuje się prawu. A większość krajów stara się, żeby ich prawo było egzekwowane.

Czy warto używać milicji w takich sprawach?

– Ale tak naprawdę kto stanął przeciwko prawu? Kto swoim działaniem powiedział: Nie widzę sensu realizować procedur prawnych, organizować drugiego zjazdu lub skarżyć decyzji ministerstwa? To pani Borys powiedziała w cudzysłowie:

Ja jestem poza prawem, bo mnie popiera Polska. I mamy teraz taką sytuację, jaką mamy w stosunkach polsko-białoruskich. Trzeba zrozumieć, że nie ma nagonki na mniejszość polską na Białorusi, jest konflikt w ramach tej organizacji. Na Białorusi język polski studiuje 20 tysięcy osób, działa 16 domów polskich, 100 polskich zespołów artystycznych et cetera, et cetera. Białoruś nie jest zainteresowana potęgowaniem tego konfliktu. Naród białoruski, do którego włączamy i Polaków, i Ukraińców, i Rosjan, i Żydów, i innych żyjących na Białorusi, nie jest tym zainteresowany i na pewno będziemy próbowali w miarę możliwości spowodować, żeby tam nastąpił spokój, również w ramach tej organizacji.

Cmentarny?

– Nie, normalny spokój pomiędzy ludźmi, jak zawsze było na Białorusi. Inaczej, niż się tutaj o nas mówi – tylko źle lub nic.

Źle mówimy o Łukaszence, a nie o Białorusi.

– Jest taka błędna ocena, że na Białorusi nawet o zakupie traktora w kolchozie decyduje prezydent. Tak nie jest.

Panie ambasadorze, pan oczywiście będzie bronił prezydenta Łukaszenki, bo jest pan jego ambasadorem i taką ma pracę...

– W pierwszej kolejności jestem ambasadorem swojego kraju, Białorusi, mianowanym przez prezydenta i go reprezentującym.

Chcę tylko powiedzieć, że polskie media nie mają nic do Białorusinów, do waszego kraju. Nam się nie podoba wasz prezydent i jego totalitarny styl rządzenia.

– Białoruś nie jest ani totalitarnym, ani idealnym krajem. Jak każdy kraj w Europie ma problemy...

Wasz prezydent nie jest idealnym prezydentem.

– Pozwoli pan, że skończę. Jak każdy kraj w Europie mamy problemy i przypuśćmy, że nawet mamy więcej tych problemów niż inni. Ale trzeba zrozumieć jedną podstawową rzecz, że jeżeli ktośkolwiek chce, żeby na Białorusi nastąpiły jakiegokolwiek zmiany, jeżeli przyjąć na użytek tylko tej rozmowy założenie, że one są potrzebne, to w tej sprawie trzeba rozmawiać, prowadzić dialog z tym, kto rządzi na Białorusi, to znaczy z prezydentem, z rządem i z parlamentem. Poprzez dialog można dojść do jakichś zmian. Poprzez stawianie ultimatum nigdy tych zmian się nie osiągnie.

Państwo nie kocha u was opozycji.

– Opozycja na Białorusi jest marginalna, bo nie ma społecznego oparcia. Prezydent ma poparcie 50 procent Białorusinów nawet z punktu widzenia niezależnych zachodnich instytucji badawczych. Czy Polacy chcą przekonać te 50 procent, że prezydent jest zły? Moim zdaniem to nie jest sprawa dla Polaków, to jest sprawa dla Białorusinów, oni powinni to oceniać i podejmować decyzje. Ale wróćmy do sprawy, bo my tu za dużo o prezydencie rozmawiamy.

To jest ważne, bo ten nasz konflikt cały czas ma w tle prezydenta Łukaszenkę. Bo my mamy w głowie obraz tyrańca, który – być może dobrze dla większości Białorusinów, skoro go kochają – rządzi, ale metodami, które już u nas akceptacji nie uzyskuje.



Andżelika Borys, nieuznawana przez Łukaszenkę prezes Związku Polaków na Białorusi

Ambasador Białorusi domaga się, aby polscy politycy przestali wtrącać się w sprawy Związku Polaków. Na zdjęciu: Donald Tusk z Andżeliką Borys w Grodnie 1 sierpnia



PAWEŁ ŁATUSZKA

Rocznik 1973, ambasador Białorusi w Polsce. Absolwent prawa (specjalność: prawo międzynarodowe) na Uniwersytecie Mińskim, jest też anglistą. Urzędnikiem został w 1993 roku, jeszcze przed objęciem władzy przez Aleksandra Łukaszenkę. Pracował w ministerstwie pracy, w wydziale prawnym MSZ oraz na stanowisku rzecznika tego ministerstwa. W latach 1996–2000 był wicekonsulem, a następnie konsulem w Białymstoku. Od 2002 roku jest ambasadorem Białorusi w Polsce. Ma żonę i 10-letnią córkę, biegle mówi po polsku. W związku z kryzysem polsko-białoruskim jest przez media rozchwytywany jako jedyny dostępny przedstawiciel Białorusi. Złej sławy przysporzył mu ostatnio wywiad w Radiu TOK FM, w którym zarzucił Polsce, że odmówiła przyznania wiz 50 polskim dzieciom z białoruskimi paszportami. Polski MSZ od razu zdementował tę wiadomość. Łatuszka tak kwituje obecny kryzys: – Nie ma na Białorusi nagonki na polską mniejszość. Jest problem Związku Polaków na Białorusi.



FOT. RAPAL MIŁAGICH

organizacja tak jak dotychczas działała w kierunku podtrzymania kulturalnego, edukacyjnego mniejszości polskiej. I nie była organizacją polityczną, bo uważamy, że kiedy przedstawiciele mniejszości za ostro wchodzi w politykę, to raczej szkodzi współpracy Białorusi z państwem swoich rodaków.

Co pan nazywa w tym kontekście polityką?

– Moim zdaniem polityka jest wtedy, kiedy tak jak teraz kilku działaczy Związku Polaków na Białorusi krytycznie ocenia to, co dzieje się na Białorusi, poza granicami swojego państwa. Dyskusja o tym powinna się odbywać w kraju, nie powinno się do niej włączać polityków obcych państw, którzy przyjeżdżają do nas i mówią, co i jak trzeba zmienić na Białorusi. Opozycja powinna toczyć spór z władzą w ramach państwa, a nie wyjeżdżać za granicę i prosić: Pomóżcie nam obalić ten reżim!

A jeżeli dojdzie do tego zjazdu ZP i zwolennicy Andżeliki Borys wezmą w nim udział, i w wyniku głosowania ona zostanie wybrana na przewodniczącą, to władze ten wybór uznają, przestaną ją szkanować?

– Jestem przekonany, że uznamy każdego lidera Związku Polaków na Białorusi, który będzie wybrany w ramach procedur demokratycznych, zasad statutowych tej organizacji i prawa białoruskiego.

A czy nie będzie tak, że jeśli zjazd ją wybierze, to wtedy minister sprawiedliwości powie: Przecież to jest osoba, która łamała prawo, nie możecie mieć takiej przewodniczącej?

– Najważniejsze są realizacja statutu i nienaruszenie ustawodawstwa białoruskiego.

Wisi w powietrzu groźba zerwania stosunków dyplomatycznych, przynajmniej tak mówią polscy politycy. Czy taka groźba jest dla was ważnym elementem naszego nacisku?

– Jest jakaś błędna opinia o tym, jaka jest Białoruś i co się dzieje na Białorusi. Niektórzy polscy politycy sami się okłamują. Uważają, że na Białorusi lada moment wybuchnie rewolucja. Że przez bardzo ostry nacisk Unii Europejskiej, Polski, Stanów Zjednoczonych w związku z sytuacją Związku Polaków na Białorusi można przyspieszyć rewolucję. Po pierwsze, nie ma podstaw – ani socjalnych, ani gospodarczych – ku temu, żeby na Białorusi wybuchła rewolucja. Mamy pod tym względem najlepszą sytuację wśród państw WNP. Po drugie, zerwanie stosunków dyplomatycznych to groźny argument dla zwykłych Białorusinów i dla Polaków, ale nie dla władzy. Trzeba zrozumieć jedną rzecz, że władza na Białorusi nie będzie ulegała żadnym groźbom czy szantażom z zagranicy. Nie będziemy zapominali o łamaniu

naszego prawa przez naszych obywateli, po to żeby nie zaszkodzić swoim interesom międzynarodowym. Polska jest bardzo ważnym partnerem Białorusi w Unii Europejskiej, ale nie będziemy ulegali szantażowi. Raz ulegniemy, potem jeszcze raz i już nie byłoby suwerennej Białorusi.

Ta cała sprawa wywołała w Polsce zainteresowanie mniejszością polską na Białorusi. Może teraz Polacy będą jeździli na Białoruś, wozili pieniądze na działalność, książki i na przykład zaczęli edukować mniejszość polską, czym jest społeczeństwo obywatelskie, czym jest demokracja. Czy to będzie dla władz białoruskich do przelknięcia?

– Chciałem jeszcze skończyć poprzednią odpowiedź. Jeżeli ktoś myśli, że po zerwaniu stosunków dyplomatycznych współpraca między Polską a Białorusią będzie się normalnie rozwijała, to się myli. Zerwanie stosunków dyplomatycznych faktycznie odbije się rykoszetem na obywatelach, bo dla nich pojawiają się dodatkowe przeszkody stawiane przez urzędy państwowe.

A co z przelknięciem?

– Każda pomoc dla polskiej mniejszości na Białorusi (pomoc kulturalną, edukacyjną, sportową) ma prawo być realizowana na Białorusi. Jednak ona nie może być pomocą w działalności politycznej, taka pomoc nie może być realizowana, bo to jest sprzeczne z prawem. Czy z zagranicy może ktoś finansować partię polityczną w Polsce? Nie.

A jeżeli jacyś polscy politolodzy wybiorą się na cykl wykładów dla mniejszości polskiej i będą tłumaczyli, dlaczego uważają, że prezydent naszego kraju jest złym prezydentem? Pozwolicie na to?

– Nie, to już jest działalność polityczna.

Edukacyjna. Czyli, żeby zakończyć optymistycznie, nie pozwolicie naszym kolejnym kandydatom na prezydenta odwiedzać polską mniejszość na Białorusi?

– Ministerstwo spraw zagranicznych Białorusi jednoznacznie powiedziało, że polska mniejszość nie będzie wykorzystywana w kampanii przedwyborczej w Polsce. Uważamy, że niektórzy kandydaci na prezydenta próbują włączyć się do rozwiązania problemu Związku Polaków na Białorusi tylko z powodu kampanii wyborczej w Polsce, a nie dlatego, że chcą rozwiązać problem.

Może się zdarzyć, że aresztujecie jakiegось polskiego polityka?

– Białoruś nie jest zainteresowana aresztowaniem żadnego polskiego polityka. My jesteśmy zainteresowani tym, żeby sprawą mniejszości polskiej, sprawą Związku Polaków zajęli się sami Polacy, członkowie Związku Polaków na Białorusi. Dajmy im to prawo. Pan mnie zapytał, czy Białoruś, władza da im to prawo. To ja pytam: czy politycy polscy dadzą prawo samym Polakom na Białorusi, by rozwiązać ten konflikt?

Może zrobimy tak: wy wycofacie milicję, a my polityków?

– To już jest krok do kompromisu.

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB
WARSZAWA, 5 SIERPNI 2005 R.

WYWIAD POWSTAŁ PRZED ZATRZYMANIEM DZIENNIKARZA I FOTOGRAFA „PRZEKROJU” NA BIAŁORUSI



Cezary Łazarewicz w domu Andżeliki Borys w Grodnie.

Obok: Adam Tuchliński czeka na deportację w grodzieńskim urzędzie wizowym



FOT. MICHAŁ WISIAŁ/FAKTI

PRASA PRECZ!

Na Białorusi trwa nagonka na polskich dziennikarzy. W zeszłym tygodniu doświadczyli tego też reporterzy „Przekroju”

Kiedy zamknęli mnie na komisariacie w Grodnie, podszedł do mnie milicjant, konfidencjonalnie ściszył głos i powiedział, że w kraju, w którym bije się pałkami bezbronnych górników, nie można żyć godnie. Dopiero po jego litościwym spojrzeniu zorientowałem się, że mówi o Polsce, a nie o Białorusi. Pytał, jak to jest z tymi bandytami grasującymi po ulicach Warszawy i czy się ich nie boję. Co z tabunami bezrobotnych, którzy szukają jedzenia po śmietnikach? Bo obywatel białoruski całą wiedzę o świecie czerpie z telewizji. A tam może zobaczyć, jak pod rządami Aleksandra Łukaszenki kraj się rozwija i pięknieje. Zadowoleni ludzie szczerze mówią do kamery, że są tacy szczęśliwi. A potem można zobaczyć, jakie plagi spadają na obywateli Euro-Sojusza i Ameryki. Szerzą się bezrobocie, rasizm, choroby. A gdy biedni ludzie idą przeciwko temu zaprotestować, bije się ich pałkami. I oni chcą nas pouczać, czym jest demokracja? Człowiek białoruski demokrację wyobraża sobie inaczej. Demokracja jest wtedy, gdy prezydent Łukaszenko pogrozi w telewizji palcem struchlałemu ze strachu ministrowi rolnictwa i powie: Przecież mówiłem wam, że zboże ma być zebrane z pól do ostatniego ziarenka. Widać wtedy, że jak prawdziwy dyrektor kołchozu troszczy się o każdego człowieka. Dlatego nie trzeba się dziwić, że gdy aresztowano działacza Związku Polaków na Białorusi Józefa Porzeckiego, sąsiadki Białorusinki, które

bardzo szanowały pana Józefa, przychodziły do jego żony i podtrzymywały ją na duchu: Zamknęli Józefa przez pomyłkę. Gdy nasz prezydent się o tym dowie, zaraz go wypuszczą.

SHOW Z DEPORTACJĄ

Na Białorusi trwa polowanie na polskich dziennikarzy. Bo oni nic nie rozumieją. Piszą o reżimie, łamaniu praw człowieka, ograniczeniu praw obywatelskich. Jak się ich wszystkich wyrzuci, znów będzie przepięknie.

Wydawało mi się, że jestem dla reżimu niegroźny. Do Grodna przyjechałem w minioną środę. Razem z fotoreporterem Adamem Tuchlińskim. Miałem opisać Andżelikę Borys, prezes Związku Polaków na Białorusi. Spędziłem z nią trzy dni. Spotykałem się też z innymi działaczami związku. Adam w tym czasie robił zdjęcia: pod prokuraturą, w domu Borys, w domach polonijnych działaczy. Gdy w piątek Adam i inni dziennikarze pojechali do Lidy do Józefa Porzeckiego wychodzącego właśnie z więzienia, byłem jedynym polskim dziennikarzem w Grodnie. Spacerowałem główną ulicą, czyli Sowiecką, i na moment wszedłem do restauracji Karczma. Tam zostałem zatrzymany przy stoliku. Kiedy zatrzymuje dziennikarza trzech komandosów w centrum miasta, a czwarty wszystko filmuje, nie można czuć się pewnie. To nic, że godzinę później przeproszą i mówią o wielkiej pomyłce.

Gdy tylko dotarłem do mojego pokoju w hotelu Turist, do drzwi zapukał miejscowy ubek z tym samym kamerzystą i poprosił, bym pomógł w odna-

lezeniu „pana Adama”. Odmówiłem. Adam został zatrzymany następnego dnia przez dwóch cywilów na dworcu w Grodnie na pół godziny przed odjazdem pociągu do Polski. Zawleczono go do radiowozu, którym pojechał do miejscowego urzędu wizowego, gdzie przed kamerą miejscowego kagibisty dokonał się proces deportacji. Tuchlińskiemu wpisano w paszport pięcioletni zakaz wjazdu na teren Białorusi. Jeśli chcieli się go pozbyć, można było go następnym razem nie wpuścić na Białoruś. Tak jak Marcina Śmiałowskiego z TVN24, który przeszedł przez granicę polsko-białoruską podać nagrany kasetę, a gdy po paru minutach próbował wrócić do zaparkowanego przy granicy samochodu, powiedziano mu, że ma zakaz wstępu. Nie mógł nawet odebrać swojej torby z kamerą. Po co więc z Adamem Tuchlińskim zrobiono show? Bo nie wystarczy człowieka nie wpuścić na Białoruś. Łukaszenko potrzebny jest wróg, którego można nazwać z imienia i nazwiska, a potem pokazać w białoruskiej telewizji. Tam zapewne wkrótce wyładuje kasetę nagrana przez oficera KGB w trakcie wydalania z Białorusi Tuchlińskiego. Będzie to też ostrzeżenie dla innych. To kwestia czasu, kiedy wszyscy polscy dziennikarze zostaną wyrzuceni z Białorusi. Wtedy nikt już nic złego o reżimie Łukaszenki nie napisze i nie powie.

NIE MAJĄ DO KOGO ZADZWONIĆ

Nie można przecież narzekać, że polskich dziennikarzy traktuje się na Białorusi w jakiś wyrafinowany sposób. Mamy tam nawet więcej swobody niż przeciętny obywatel. Tylko nie można zapominać, że obywatel nie ma tam żadnych praw i można go w każdej chwili wezwać na przesłuchanie, zaarrestować i po paru minutach skazać na przykład na 15 dni aresztu. Sędziowie na Białorusi są niezawisli, jak tłumaczył mi jeden z opozycyjnych adwokatów, i polecenia płynące z góry dotyczą tylko tego, kogo i na ile skazać. Przy tym każdy sędzia sam decyduje, z jakiego paragrafu skazać człowieka i jak umotywuje swój wyrok. Najłatwiej jest skazać za nielegalną manifestację, tak jak Polaków, którzy przyszli spotkać się z Donaldem Tuskiem przed siedzibą Związku Polaków. Nie zapomnijmy też o tym, że białoruskich dziennikarzy już prawie nie ma. Alesja Siedlarewicz pracowała w gazecie „Pahonia”, ale reżim ją zamknął. Alesja pracuje więc w internetowym wydaniu tej niezależnej gazety. Ale siła rażenia tego, co napisze, jest żadna, bo do Internetu na Białorusi ma dostęp pięć procent społeczeństwa, a na dodatek strony niezależnych wydawnictw są często blokowane. Zresztą polski dziennikarz ma tę przewagę nad białoruskim, że zawsze może zadzwonić do polskiego konsula w Grodnie, a Andrzej Krentowski stanie na głowie, by wyciągnąć człowieka z więzienia. Paweł Możejka, białoruski niezależny dziennikarz z Grodna, nie ma dokąd zadzwonić. On za opublikowanie jednego zdania, w którym napisał, że nie chce takiego prezydenta, który niszczy opozycję, musiał przez siedem miesięcy rąbać drzewo w obozie karnym w Żłobinie. Nikt specjalnie jego losem się nie przejął. Bo na Białorusi takie represje nikogo nie obchodzą.

CEZARY ŁAZAREWICZ

Panie prezesie, wszyscy piszą, że to pan jest największym kłopotem polskiej piłki nożnej.

– Jeśli brać poważnie to, co piszą media, szczególnie tabloidy, to tak.

I jeśli brać poważnie to, co mówi skruszony Dziurawicz w „Gazecie Wyborczej”.

– 80 procent rzeczy, o których mówi, jest albo nieprawdziwych, albo bez sensu, albo nie zależą ode mnie. Bo w 20 procentach ma rzeczywiście rację.

W których sprawach ma rację?

– Przede wszystkim w sędziowskich, że każde podejrzenie o nieuczciwość sędziego musi być kierowane do prokuratury. Tak jest dopiero od pewnego czasu. Ma rację, że trzeba to było zrobić wcześniej.

Ile dotąd było takich skierowań?

– Dwadzieścia kilka, duża część została umorzona, bo okazało się, że to zawiść środowiskowa, złość po przegranej meczu. Natomiast te 80 procent, gdzie on nie ma racji, podzieliłem na trzy kategorie. Pierwsza część to kłamstwa. Druga część to rzeczy, na które ja nie mam wpływu, więc zarzucanie ich mnie jest nieporozumieniem.

Na co pan nie ma wpływu?

– Na przykład na sprawy kar dyscyplinarnych. Mnie nie wolno pójść na wydział dyscypliny i powiedzieć: Dajcie im pięć tysięcy złotych kary, bo byłoby to naruszenie ustawy o kulturze fizycznej i naszego statutu. I trzecia kategoria to jest jakaś taka fantazja, bo można o każdym luźno rzucić, że konserwuję jakieś grupy interesów albo toleruję jakieś układy itd., nie podając ani jednego przykładu.

A zarzut, że pan nie panuje nad sytuacją, bo ciągle pana nie ma?

– Ten zarzut odziedziczył po swoim ojcu, nieżyjącym już byłym prezesie PZPN, wobec którego zresztą zachował się

CO PIOTR DZIURAWICZ ZARZUCA PZPN:

• Korupcję działaczy sędziowskich. – Według prezesa katowickiego GKS część pieniędzy z łapówek, które wręczał sędziom, prawdopodobnie szła do działacza decydującego o ich obsadzeniu w konkretnych meczach.

• Tuszowanie korupcji. – Związek przyzwala na handel wynikami. Nigdy nie był zainteresowany oczyszczeniem polskiej piłki – zapewnia Dziurawicz.

• Kumoterstwo i koleśnictwo. – Związek kłamiem rządzi dziesiątki koterii i układów. Jak mówi prezes GKS Katowice, „każdy ciągnie w swoją stronę i rozszarpuje”.

• Brak profesjonalizmu. – Działacze PZPN to kompletni amatorzy, którzy wydając decyzje, bez przerwy gubią się w przepisach. – Większość wydziałów powinni przejąć profesjonalści, a nie leśne

nie najlepiej, opowiadając, że był de facto przestępcą, bo korumpował.

W dzienniku „Fakt” mogliśmy przeczytać wypowiedź Dziurawicza, że korumpował również pana.

– I za to chciałem go podać do sądu, ale usłyszałem od niego, że nigdy czegoś takiego „Faktowi” nie mówił, więc rozważam podanie do sądu samej gazety.

To ile dni w roku pana nie ma?

– Jakies 120 dni. Są dwa rodzaje tych wyjazdów. Jeden to funkcja delegata na konkretnym meczu Ligi Mistrzów czy międzynarodowym, kiedy sprawdzam przygotowanie stadionu, bezpieczeństwo, zachowanie drużyn, pracę sędziów itd. A drugi rodzaj to moje – jako przedstawiciela Polski – funkcjonowanie w komisjach FIFA i UEFA. I żeby było to jasne: biorę urlop ku złości mojej żony i nie jeżdżę za pieniądze PZPN.

Może w sytuacji, w jakiej jest polska piłka, powinien pan ograniczyć te wyjazdy?

– Może.

Po tych wszystkich skandalach przestaniemy być szanowani w międzynarodowych organizacjach piłkarskich?

– Nie wiem, właśnie z trwogą zobaczyłem, że pismo „Fakt” wysłało donos do FIFA – UEFA, co dla mnie jest już zupełnym zdżiraniem, bo można polować na mnie, ale żeby szkodzić polskiej piłce na arenie międzynarodowej?!

To trochę demagogiczny argument. A podobnie używał nieślawny prezes siatkówki: Szkodząc mi, szkodzicie Polsce, bo ja jestem polska siatkówka.

– Może tak, choć ten list – z tego, co wiem – nie tylko mnie dotyczy, ale i systemu rozgrywek, klubów itd. Nie mówię: ja to polska piłka i na odwrót.

Czy w związku ze skandalami korupcyjnymi i komentarzami po dwuodcinkowym wywiadzie Dziurawicza dla „Gazety Wyborczej” nie uważa pan, że skala napięcia wokół PZPN i wokół

rozgrywek ligowych jest już tak wielka, że niezależnie od tego, czy przyzwalał pan na korupcję wśród sędziów i zawodników lub sam w niej brał udział albo nie miał z tym nic do czynienia, powinien pan odejść?

– Może tak się stać, ale za jakiś czas. Dziś tego nie zrobię z trzech powodów. Po pierwsze, za chwilę są mecze decydujące o finale awansu do mistrzostw świata.

Pan w nich nie gra.

– Moja uwaga jest skoncentrowana na zorganizowaniu tych meczów, zrobieniu wokół nich dobrej atmosfery. Niech pan spyta trenera Janasa i zawodników, bo oni mi to mówili – może nieskromnie trochę mówię – czy mieli prezesa, który tyle dla nich robił, nawet w sensie premii, jakichś bonusów, żeby taki parasol trzymał nad tą drużyną?

Jak pana zabraknie, to źle zagrają jesienią?

– Nie, ale udział prezesa, związku to jest na pewno jeden procent naszych przygotowań i ten jeden procent może zdecydować. Zła organizacja meczu, zła organizacja pobytu, złe przyjęcie gości.

Ode tego, jak rozumiem, są jacyś organizatorzy, nie prezes?

– Gdybym ja w tej chwili ustąpił, to w powszechnej opinii przyznałbym się do stawianych zarzutów.

Nie, może pan ustąpić, mówiąc: Proszę państwa, jest już tak dla atmosfera, zarzuty i pomówienia trzeba wyjaśnić, już nie mogę narażać polskiej piłki na ciągłe odpowiadanie na ataki na mnie, więc się wycofuję i już jako osoba prywatna będę walczył z panem Dziurawiczem, a tu niech ktoś nowy, niewykłany naprawia polską piłkę.

– Wtedy musielibyśmy uznać, że media czy część mediów decyduje o tym, kto jest prezesem PZPN.

Pan był już sześć lat.

– Dziewięć miesięcy temu wybrano mnie w sposób przygniatający. Nic od tej pory się nie zmieniło.

Dziurawicz twierdzi, że ludzie się bali głosować przeciwko panu.

– To jest prześmieszne, ja jestem w ogóle taki fajtłapowaty, jak mówi żona, w życiu nie użyłem przemocy fizycznej. Jeżeli wielki Dziurawicz boi się takiego Listkiewicza...

Pańskich wpływów, a nie pańskiej siły.

– Przesadza z tymi wpływami, bo dobrze wie, jaka jest struktura w PZPN, że naprawdę na wiele spraw nie mam wpływu, bo taki jest statut, tak nam każe ustawa o kulturze fizycznej i sparcie, ja nie mogę na przykład klubu pana Dziurawicza karać dyscyplinarnie, chociażbym czasami bardzo chciał.

A co by teraz dało moje odejście? Walkę o władzę, bo musi być sukcesor. Mamy trzy najważniejsze mecze, o których nikt chwilowo nie mówi, a za tydzień, za dwa zaczną wszyscy. A z drugiej strony mamy oskarżenia pana Dziurawicza, który jest postacią średnio wiarygodną, jeżeli swój klub doprowadził do totalnej ruiny.

Ale on się nie kreuje na odpowiedzialnego, moralnego człowieka, on mówi wyraźnie: byłem zły, kradłem, dawałem łapówki. Dzisiaj występuje w roli świadka koronnego, członek mafii piłkarskiej, który chce zeznawać przeciwko swoim kolegom.

– Niektóre nazwiska wymienione przez niego były dla mnie szokiem, nie jestem w stanie uwierzyć, że ich skorumpowałem.

Teraz toczy się śledztwo w sprawie sędziego F. i kilku innych, być może najczarniejsza prawda jeszcze przed nami?

– Być może, ale musimy na to poczekać.

Chce pan na to czekać w tym gabinecie?

– A dlaczego nie, a kto ma usiąść na to miejsce?

dziadki, które tam zasiadają – twierdzi prezes.

• Łamanie i naginanie prawa. – Według Dziurawicza regulaminy związku są sprzeczne z prawem, co ma umożliwić sprzedawanie meczów. Przy wydawaniu licencji dla pierwszoligowych klubów PZPN łamie przepisy, udzielając im tym, które nie spełniają wymogów.

• Nieetyczne wspieranie wybranych drużyn. – Chodzi o Groclin Grodzisk Wielkopolski i Polonię Warszawa, klub, z którym związany jest Michał Listkiewicz. Według Dziurawicza zespołom tym nie może stać się krzywda (czytaj: nie mogą ich oszukać sędziowie). W przypadku Polonii oznacza to, że klub nie ma prawa spaść z ligi.

A CO MICHAŁOWI LISTKIEWICZOWI:

• Nieetyczne związki z klubami. – Według prezesa GKS Listkiewicz miał swobodnie dysponować pokojem w ośrodku wypożyczynowym w Wiśle, który prowadziła osoba powiązana z Zagłębiem Lubin.

• Bierność, brak nadzoru nad polską piłką i lekceważenie obowiązków. – Nie da się rządzić PZPN, jeśli 200 z 365 dni w roku spędza się w zagranicznych rozjazdach – przekonuje Dziurawicz.

• Rozdawanie stanowisk, dzięki czemu utrzymuje się u władzy. – Zdaniem katowickiego działacza prezes PZPN robi wszystko, by ludziom, którzy od lat żyją dzięki układom, nie stała się krzywda.

• Psychologię. – Jak pojawiają się problemy, to Listkiewicz wyjeżdża i chowa głowę w piasek – twierdzi Dziurawicz.

WSZYSTKIE CYTATY ZA „GAZETĄ WYBORCZĄ”
OPRAC. GREG

To już nie byłby pański problem.

– Może któryś z polityków, którzy w tej chwili ochoczo, od prawa do lewa się wypowiadają o uzdrawianiu polskiej piłki? Żadna z tych partii przez ładnych parę lat nic nie zrobiła, żeby tej piłce czy w ogóle sportowi pomóc. Rezygnując teraz, przyznałbym, że mam brudne ręce. Teraźniejsze oskarżenia dotyczące albo systemu, albo jakiejś grupy ludzi, sędziów, trenerów będą badane. Wydział dyscypliny dzień po wywiadzie czy nawet w dniu drugiej części wywiadu wszczął postępowanie.

Ile średnio kosztuje w Polsce bilet na mecz ligowy?

– Między 15 a 20 złotych.

To tak jak bilet do kina i grozi wam to, że kibice będą te bilety traktowali już wyłącznie jak bilety na wyreżyserowany spektakl. A filmy w kinach są lepsze, więc pójdą do kina, a nie na mecz.

– Ale to jest totalna bzdura!

Pan już ich chyba nie przekona, że jest inaczej.

– Tak, ale akurat tak się składa, że w ciągu najbliższych tygodni prowadzenie ligi przejmie spółka Ekstraklasa SA założona przez kluby. PZPN od ligi będzie daleko, poza nadzorem nad sędziami. A już w tej chwili sędziowanie w Polsce będzie superuczciwe.

Dlaczego? Co takiego się zdarzyło?

– System jest zupełnie zmieniony. Po pierwsze, oświadczenia majątkowe, po drugie, rotacja sędziów natychmiastowa. Do tej pory sędzia musiał gwizdać w sezonie określoną ilość meczów, nie mógł być zdegradowany, nawet jak bardzo źle sędziował, nie nieuczciwie, tylko po prostu był za słaby. Teraz to się zmieniło.

Takimi argumentami pan tych kibiców nie przekona, że nie idą do kina.

– Nie, ale chyba przekona ich spółka Ekstraklasa, która we wrześnieju powie im: co było, to było, teraz my przejmujemy organizację tych rozgrywek, my przejmujemy odpowiedzialność za to, my będziemy walczyć z patologiami, a PZPN ma nam w tym pomagać i taka jest jego rola.

W wywiadzie dla „Gazety” Dziurawicz przytoczył przykłady konkretnych meczów, które były sprzedawane. Czy PZPN wyciągnął już taśmy z nimi, obejrzał i sprawdził, czy to było możliwe?

– Wydział dyscypliny PZPN chce wezwać ludzi tam wymienionych i obejrzeć taśmy. Żeby z sensem obejrzeć taki mecz, trzeba wziąć fachowca od sędziowania, trzeba naszych trenerów z Andrzejem Strelątem na czele, żeby oni ocenili grę zawodników. Bo ja pewnie bym się nie zorientował, że mecz jest ułożony między zawodnikami, natomiast wytrawny trener tak.

Dlaczego pańskim zdaniem Dziurawicz powiedział to wszystko?

– Dlatego żeby odwrócić uwagę od tego, co się dzieje wokół niego i w jego klubie.

To było już i tak wiadome, tu już nic gorszego nie mogło go spotkać. I tak jest skończony jako działacz sportowy.

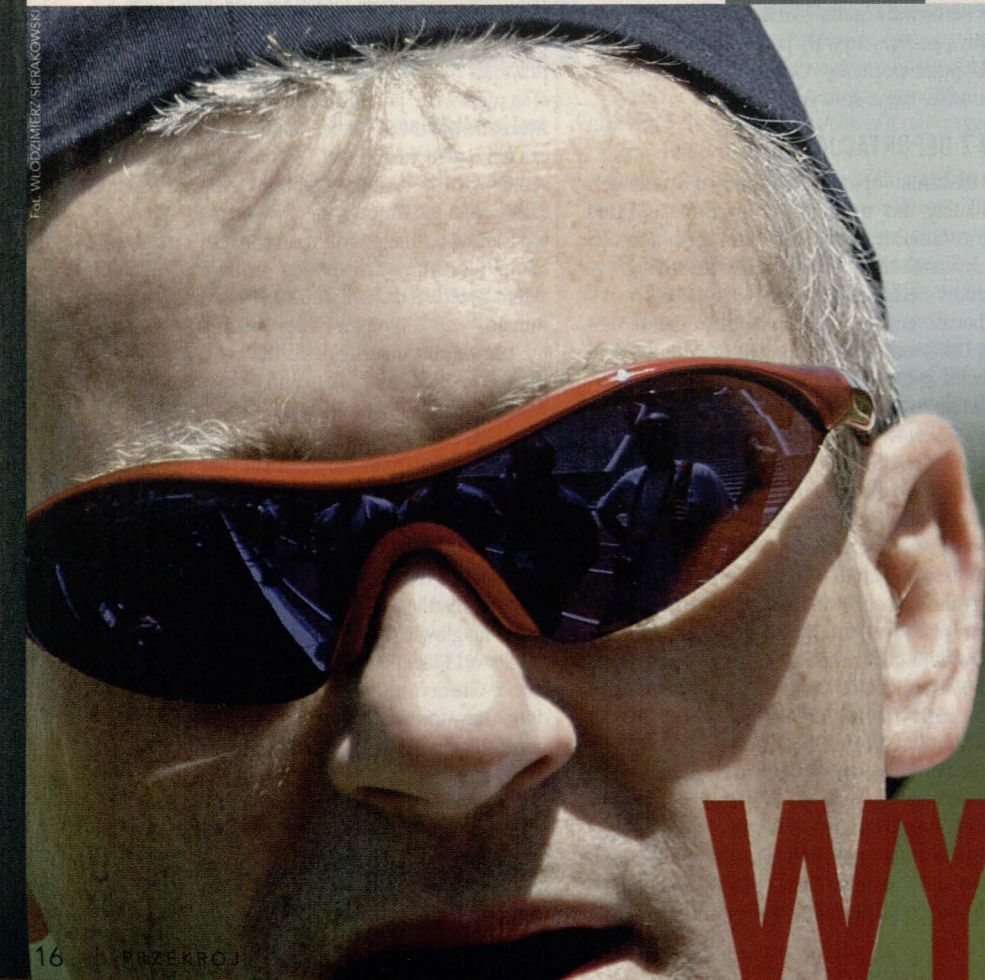
– Nie mogę wszystkiego mówić, bo nie wszystko wiem, ale z tego, co wiem, w samym zarządzaniu klubem były ogromne nieprawidłowości, część pieniędzy, że tak powiem, przeciekła między palcami, więc może to jest chęć odwrócenia uwagi.

Pamięta pan pewnie warszawskich kieszonkoczków krzyczących: „Łapać złodzieja!”? Pytam pana o to, bo mi trudno znaleźć takie racjonalne uzasadnienie, dla którego on miałby kłamać w tej sprawie, co być może wskazuje, że mówi prawdę.

– To przecież łatwo będzie można sprawdzić, są nazwiska, są mecze, są daty, więc to wszystko jest do sprawdzenia.

Sędziowie i trenerzy zaprzeczają, że to miało miejsce. Ale we mnie pozostają wątpliwości.

– Nie mogę każdej osoby wymienionej przez Dziurawicza zawiesić, bo dojdziemy do absurdu. Ktoś może się mścić za to,



LISTKIEWICZ nie odejdzie, bo nie może.

Nie może, bo panuje schamienie.

I jakiś cham mógłby uznać, że ucieka

NIE WYGWIZDOWAŁNY

że sędzia nie po jego myśli sędziował rok temu i powie: Dałem mu łapówkę. Może dojść do takich rozgrywek, rozliczeń, zemsty. Myślę, że Dziurawicz zachowuje się trochę jak raniony zwierz. Klub zniszczony, kłopoty z finansami, tłum rozwścieczonych ludzi wokół niego, kibice, piłkarze, trenerzy. Człowiek osaczony, więc atakuje.

Dlaczego w takim razie dołącza do niego Jan Tomaszewski, który mówi, że mecze ligi są w 99 procentach ustawiane?

– Zdziwiła mnie ta wypowiedź i zapytałem Janka, dlaczego to powiedział, i usłyszałem, że to taka prowokacja, może nie 99, a 79, ale ja się z tym absolutnie nie zgadzam.

A pańskim zdaniem w ilu procentach mecze są fikcją?

– Na pewno jest ciągle grupa ludzi, którzy zasługują na miano czarnych owiec, i tu się biję w piersi, że mówiłem: F. to czarna owca, a teraz mogę mówić, że F. to jeden ze stadka, ale ciągle stadka, a nie stadka czarnych owiec.

Problem z tą pańską wypowiedzią polega na tym, że dziennikarze mają panu za złe, że pan mówi, że czarna owca, zamiast powiedzieć po prostu, że przestępca. Pańską pobłażliwość widać w nazwaniu takiego pana F. czarną owcą, a nie przestępca.

– Przysnążę, że trzeba było nazwać rzecz po imieniu, tym bardziej że sprawa była ewidentna.

Może pan jest za delikatnym człowiekiem, prezesem nie na te czasy?

– Może tak, ja każdą sprawę usiłuję rozwiązać kompromisowo poprzez rozmowy, poprzez czekanie, jakieś ustępstwa. Mój poprzednik był tego zupełnym przeciwieństwem, walił pięścią, był autokratą i może chcąc zmienić wizerunek związku, za bardzo byłem miękki? A może nie zauważyłem, że świat za oknem się zmienił, schamiał, o czym świadczą tabloidy?

Dziennikarze mówią i piszą, że trzyma się pan tego stołka, bo jest wygodny, daje dużo pieniędzy i właściwie odpowiedzialność jest daleko od pana.

– Na pewno lubię ten stołek, fotel, lubię to, co robię. Natomiast chyba jestem w sumie za miękki, nigdy nie podniosłem głosu, nigdy nie ubliżyłem, ale zwolniłem z PZPN więcej ludzi niż trzech prezesów razem wziętych, czyli wymieniałem kadry, ale nie w atmosferze jakiejś awantury. Żona też mi mówi, że jestem za miękkim człowiekiem. Mamy taki trwający już, niestety, trzy lata spór o stosunek do śmierci mojej mamy. Ma mi za złe, że pomagam morderczyni mojej mamy, która siedzi w więzieniu. A ja uważam, że to dziewczyna, której życie się potoczyło strasznie nieszczęśliwie. Tak uważam, mimo że zamordowała moją mamę, więc jej pomagam paczkami, pieniędzmi. Moja żona nie jest w stanie tego zrozumieć.

To by wszystko świadczyło o tym, że pan jest dla ludzi, nawet tych, których o coś podejrzewa, za miękki.

– Mam zasadę, że jak kogoś w życiu spotykam, to z góry zakładam, że jest to osoba w porządku.

A jak coś robi źle, to pan uważa, że pobłdził, tak?

– Pobłdził i trzeba dać mu jeszcze jedną szansę. Może rzeczywiście to nie jest pogład na te czasy?

A ile pan zarabia?

– Zarabiam na rękę dziewięć i pół tysiąca. Do tego, nie ukrywam, jakieś przyjemności typu wyjazdy zagraniczne, obserwacja meczu, diety.

Co by pan mógł robić, z czego żyć, gdyby odszedł pan z PZPN?

– Zbyszek Boniek kiedyś pół żartem, pół serio, ale podczas jakiegoś sporu ze mną mówił: Co on zrobi, jak nie będzie prezesem, chyba nie będzie udzielał korepetycji z węgierskiego? Bo ja jestem hungarystą i ja mówię: czemu nie, bardzo ładny język.

Nie zarobiłby pan wiele.

– Mógłbym być menedżerem, zdać egzaminy, które chyba bym zdał bez problemu przy moim doświadczeniu.

MICHAŁ LISTKIEWICZ,
LAT 53, SĘDZIA PIŁKARSKI,
PREZES POLSKIEGO
ZWIĄZKU PIŁKI NOŻNEJ,
WARSZAWIAK
OD URODZENIA,
SKOŃCZYŁ FILOLOGIĘ
WĘGIERSKĄ NA
STOLECZNYM
UNIWERSYTECIE. JUŻ
PODZAS STUDIÓW
ZOSTAŁ DZIAŁACZEM
– W POLONII WARSZAWA
BYŁ KIEROWNIKIEM
DRUŻYNY KOSZYKARZY,
A TAKŻE SEKRETARZEM
SEKCYJI PIŁKI NOŻNEJ.
SĘDZIOWAĆ ZACZĄŁ
W 1973 ROKU.
PO STUDIACH PISYWAŁ
TROCHĘ DO „SPORTU”
I TYGODNIKA „TAK I NIE”.
W LATACH 80. STAŁ SIĘ
„NAJBARDZIEJ
UTYTULOWANYM
POLSKIM SĘDZIĄ”,
W CZYM NIKT GO
JESZCZE NIE PRZEBIŁ.
SĘDZIOWAŁ GŁÓWNIIE
JAKO LINIOWY
W FINAŁACH
MISTRZOSTW ŚWIATA
W 1990 I 1994 ROKU,
W MISTRZOSTWACH
EUROPY W 1988 ORAZ
NA OLIMPIADZIE W TYM
SAMYM ROKU. JEDNAK
OD CZASU GDY
W 1999 ROKU PRZEJĄŁ
STER W PZPN, DO TEJ
CHŁUBNEJ PRZESZŁOŚCI
CORAZ RZADZIEJ SIĘ
WRACA. KRYTYCY
ZARZUCAJĄ MU
UTOPIENIE MILIONÓW
W RENOWACJI STADIONU
ŚLĄSKIEGO,
KOLESIOSTWO I CAŁE
ZŁO ZWIĄZANE Z POLSKĄ
LIGĄ, ZWOLENNICY
– ŻE ZA JEGO KADENCJI
POLACY AWANSOWALI
DO FINAŁÓW
MISTRZOSTW ŚWIATA
W KOREI W 2002 ROKU.
W GRUDNIU 2004
LISTKIEWICZ ZOSTAŁ
WYBRANY NA DRUGĄ
KADENCJĘ. WYNIK BYŁ
„BIAŁORUSKI”: 193 GŁOSY
ZA, 3 PRZECIW,
2 WSTRZYMUJĄCE SIĘ.

Menedżerem czego?

– Piłkarskim, kiedyś dość dużo pomagałem przy transferach, nie polskich piłkarzy, ale między innymi krajami. Mógłbym być menedżerem do spraw organizacji imprez, jako że pracuję dla FIFA od wielu lat i dla UEFA jako współorganizator mistrzostw świata, Pucharu Konfederacji, mistrzostw olimpijskich – tu mam niezbędne doświadczenie. Mógłbym pójść tym śladem, którym poszło wielu moich kolegów we Francji, we Włoszech, czyli być związanym z jakimś silnym klubem i pomagać mu w relacjach międzynarodowych. Chciałbym też w przyszłości założyć szkołę dla sędziów, bo prędzej czy później to będzie normalny zawód.

Co pan myślał, czytając wywiad z Dziurawiczem? Wskazywał pan?

– Nie.

Pan jest jednak niesłuchanie spokojnym człowiekiem.

– No, przeżyłem troszeczkę szoku, jeśli chodzi o pewne nazwiska.

Chociaż przez chwilę pan pomyślał: A może on ma rację?

– Pomyślałem, że 20 procent rzeczy, które tam są powiedziane, mnie wygląda na prawdopodobne, ale szkoda, że tylko 20. Mówiło się w środowisku, że są trenerzy, tak zwani załatwiacze, nawet była taka anegdota: trener przychodzi po sezonie i mówi: Panie prezesie, jakaś premia mi się należy, bo przecież zdobyłem 30 punktów. A prezes mówi: Nie, ty zdobyłeś dwa, a ja 28, więc nie będzie premii. Natomiast jak przeczytałem drugą część, no to się bardziej zajezyłem, bo tam był tytuł „Listkiewicz winien wszystkiemu”. To jest ogromne uproszczenie, bo wszyscy doskonale wiemy, że to nie jest firma jednoosobowa i to nie jest tak, że osobiście sobie dobieram pracowników. Muszę zaakceptować ludzi wybranych przez walne zgromadzenie, nie ukrywam, że czasami są to trudne kompromisy. Ktoś, kto przyjdzie na moje miejsce, też będzie niewolnikiem tego systemu, że są interesy regionalnych związków, małych klubów i interesy dużych klubów, i to wszystko trzeba starać się jakoś godzić.

A pańska żona co powiedziała po lekturze?

– Żona akurat ma zupełnie inny charakter niż ja, jest taka walcząca. I powiedziała mi, że jeżeli jakieś mi chodzą głupoty po głowie, żeby zrezygnować, to w ogóle mam to sobie wybić z głowy, spokojnie mam walczyć, wyjaśniać, nie ma mowy o kapitulacji.

A pan jest pantoflarzem?

– Myślę, że jestem pantoflarzem. Ponieważ jestem jedynakiem, wychowywany byłem przez dwie kobiety, bo ojciec był stale w rozjazdach, przez babcię i mamę. To zostaje.

Czyli rozumiem, że pan posłucha żony, nie będzie pan rezygnował, spokojnie tłumaczył i walczył?

– Tak, ale nie jestem przekonany, czy dotrzmam do końca kadencji w 2008. Natomiast na pewno chcę być prezesem, który jako jedyny w historii wywalczy za swojej kadencji dwa awanse do finału mistrzostw świata. I to tak może z próżności wynika. To oczywiście nie ja je wywalczę, tylko zawodnicy, ale będę mógł z podniesionym czołem stąd wyjść. Poza tym gdybyśmy żyli w normalnym kraju, gdzie ludzie zachowują się wobec siebie normalnie, to miałby pan rację, że powinienem powiedzieć: Jestem niewinny, nie mam sobie nic do zarzucenia, starałem się najlepiej, jak mogłem, coś tam zrobiłem, ale odchodzę, żeby nie przeszkadzać swoją osobą, żeby kibice itd. – to byłoby w porządku. Natomiast przy dzisiejszym totalnym zdziwieniu 90 procent ludzi odbierze to tak: odszedł, bo miał coś na sumieniu, boi się, chce zniknąć. Na to nie mogę sobie pozwolić, bo ileś tam lat pracowałem na dorobek, który nie jest wcale taki mały.

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB
WARSZAWA, 5 SIERPNI 2005 R.

AlleJazda

www.allegro.pl/allejazda

Weź udział w letnim konkursie

Allegro.pl



WYGRAJ główną nagrodę
Nissana Micrę!

w wersji 3-drzwiowej, pakiet wyposażenia: Visia, silnik 1.2

więcej informacji na www.allegro.pl/allejazda/

Wiśniewski à la Pigwa

Michał Wiśniewski nie pozwala o sobie zapomnieć. Po debiucie filmowym powraca na scenę muzyczną, prezentując mało wybredny happening pod pseudonimem Renia Pączkowska. Zarówno aktorska stylizacja, jak i życiorys pełen idyllicznych opowieści o dojrzewaniu Reni w podbeskidzkiej wiosce (ten można znaleźć na stronie www.reniapaczkowska.com) przywodzą skojarzenia z kabaretową postacią Genowefy Pigwy. Pierwszy album Wiśniewskiego-Pączkowskiej ukaże się we wrześniu. Promuje go utwór „Hop Hop Hop, czyli zabrali serce moje” – skrzyżowanie przebojów Bregovicia, disco polo i piosenki aktorskiej – który radiową premierę będzie miał już w połowie sierpnia. (GIN)

OH, MAN!

PO LATACH POSUCHY ZNALAZŁY SIĘ WRESZCIE WIELKIE KONCERNY MOTORYZACYJNE, KTÓRE ZAINWESTUJĄ U NAS WIELKIE PIENIĄDZE

Do tej pory inwestycje kończyły się na etapie rozmów. Rozmawiali Francuzi z PSA (producent Citroenów i Peugeotów), Japończycy z Toyoty oraz Koreańczycy z KIA, Hyundai i Hankooka (ci ostatni robią opony), ale idące w setki milionów euro inwestycje przechodziły nam koło nosa, trafiając do Czech lub na Słowację.

Wreszcie karta się odwróciła. Najpierw niemiecki MAN ogłosił, że w podkrakowskich Niepołomicach za sto milionów euro powstanie największa w Europie Środkowej fabryka ciężarówek, w której znajdzie zatrudnienie 650 osób. Drugie tyle miejsc pracy powstanie w firmach kooperujących. Pierwsze kilkunastotonne MAN-y zjadą z linii produkcyjnej w maju 2007 roku. Pracując



W FABRYCE MAN W NIEPOŁOMICACH PRACUJE 650 OSÓB. NA ZDJĘCIU: PRODUKCJA MAN W MONACHIUM

pełną mocą, fabryka będzie wytwarzać 15 tysięcy ciężarówek rocznie.

Potem Włosi ogłosili, że za 600 milionów euro uruchomią w Tychach w ciągu dwóch lat produkcję następcy Seicento – Fiata 500. Będzie to nowa wersja kultowego samochodu produkowanego od połowy lat 50.

I wreszcie Volvo. Szwedzki producent limuzyn, ciężarówek i autobusów umieści we Wrocławiu centrum

usług finansowych i informatycznych. Choć wartość inwestycji – 26 milionów złotych – nie powala na kolana, to jednak znajdzie tam pracę co najmniej 500 osób.

Niewykluczone, że do Polski trafi też warta pół miliarda euro inwestycja Hankooka. Po tym, jak słowacki rząd nie zgodził się na przyznanie Koreańczykom ulg, ci wrócili do rozmów z nami.

GRZEGORZ RZECZKOWSKI

ZOSTAN SUPERDZIAŁACZEM

To gra z gatunku tych, w których wcielasz się w menedżera drużyny piłkarskiej. Drużyna nazywa się GKS Katowice. Zadanie – awansować do pierwszej ligi. Cholernie trudne. Pozostałe drużyny z góry tabeli zrobili zrzutę, żeby GKS nie awansował i mają za co przekupować sędziów.

Dysponujesz 500 tysiącami złotych, ale masz też masę innych środków, aby walczyć o awans: możesz kupić mecz u sędziego Antoniego F., ale uważaj – jest podejrzliwy, więc umawiaj się z nim w lasku. Odkrywasz doświadczenia do tych, co ustawiają mecze. Dowiadujesz się, że działacz Amiki, Fryzjer, ma kontakty z drużynami z Wybrzeża, a w zespole Pawła Kowalskiego – trenera twojej drużyny – są numery telefonów piłkarzy sprzedających mecze.

Uwaga! Błąd w grze może drogo kosztować. Nie przekupuj trenera Wisły Kraków, bo on łapówki nie przyjmie (zarabia za dużo), za to może podać cię do prokuratury. Innych trenerów przekupuj do woli. Jeżeli wyraźnie przegrywasz, jest opcja zero-



Fot. WODZIMIERZ SIERAKOWSKI (5)

jest opcja zero: zgłaszasz się do prokuratury i mówisz o szwindlach w lidze. Zadania już nie wykonasz, ale odejdziesz od komputera z pewną dozą poczucia przyzwyczajenia. „Polska liga” rozwija myślenie strategiczne: kupno meczu na kilka kolejek przed końcem sezonu kosztuje mniej niż w ostatniej, ale musisz przewidzieć ruchy przeciwników. Niezła grafika, ciekawa koncepcja, brawa za realizm. „Polska liga”, gra jeszcze niestworzona. (FAMA)

kandydaci MYŚLA, że MÓWIĄ

W ostatnim tygodniu ANDRZEJ LEPPER



powiedział

Jako prezydentowi nikt mi nie powie, że nie mam dostępu do środków masowego przekazu. Będę mógł w każdej chwili zażądać wystąpienia w telewizji do narodu i powiedzieć ludziom całą prawdę – o swoich pierwszych krokach po wybraniu na prezydenta

❖ Czy chciałaby, czy nie, wyboru mieć nie będzie – zapytany, czy jego żona chce być Pierwszą Damą

ALARMOWO JEST I BOMBOWO

PO ZAMACHACH W LONDYNIE DRAMATYCZNIE WZROSŁA LICZBA FAŁSZYWYCH ALARMÓW BOMBOWYCH ZGŁASZANYCH POLSKIEJ POLICJI

O ile przed zamachami alarmów było góra dwa dniennie, to obecnie służby ratownicze co dzień odbierają średnio pięć zgłoszeń o rzekomym podłożeniu bomby. – Dzwonią głównie młodzi ludzie w wieku 13–15 lat oraz dorośli po spożyciu alkoholu – mówi mł. insp. Alicja Hytrek, rzeczniczka komendanta głównego policji. Dzwoniący robią to najczęściej z nudów lub dla zabawy. – Jeden ze sprawców, dwunastolatek, stwierdził, że zadzwonił, bo akcja ratunkowa fajnie wyglądała w telewizji – opowiada rzeczniczka.

Po londyńskich zamachach wzrosła też liczba telefonów od tych, którym głupie dowcipy wcale nie są w głowie. – Po prostu wzrosła świadomość ludzi, którzy widząc coś niepokojącego, jak na przykład pozostawioną gdzieś torbę, dzwonią na policję – mówi insp. Hytrek.

Większość sprawców fałszywych alarmów udało się złapać. Dorosłym grozi nawet osiem lat więzienia, a wszystkim – pokrycie kosztów operacji. (GREG)



POLICJI UDAJE SIĘ ZŁAPAĆ WIĘKSZOŚĆ „DOWCIPNISIÓW”. TAK JAK TEGO, KTÓRY 12 LIPCA DOPROWADZIŁ DO EWAKUACJI WARSZAWSKIEGO METRA

Fot. ROBERT KOWALEWSKI/AG

FRANIA DO RECYKLINGU

KONIEC Z WYRZUCANIEM DO ŚMIECI PRALEK, LODÓWEK I KUCHENEK MIKROFALOWYCH

Zużyty sprzęt gospodarstwa domowego będzie można za darmo odstawić do sklepu. To nowinka wprowadzona w uchwalonej ustawie o używym sprzęcie elektrycznym i elektronicznym. Jest warunek: trzeba będzie w tym samym sklepie kupić nowe urządzenie. Producenci i sprzedawcy straszą, że ten przepis doprowadzi do podwyżek. Mało kto w to wierzy, bo konkurencja jest

ogromna. Ale jest też inny sposób rozstania się z popsutą pralką, lodówką czy starą komórką. Przyjmą je specjalistyczne punkty zajmujące się ich złomowaniem, oczywiście za opłatą. Ich adresy musi nam podać sprzedawca w sklepie lub hurtowni. Wszystko dlatego, że wyrzucanie takich odpadów na zwykłe wysypiska teoretycznie nie będzie już możliwe, a za złamanie zakazu grozi grzywna. (GREG)

WARTOŚCI Z SOLIDARNOŚCI

Solidarność dzisiaj – taki tytuł nosi kampania, która pod koniec miesiąca ruszy w Warszawie i Poznaniu. Na ulicach tych miast – w formie plakatów, wlepek oraz malowanych na murach hasł – pojawią się pisane „solidarycą” słowa: Solidność, Sensowność, Społeczność, Samodzielność, Skuteczność czy Serdeczność. – Nawiązując do rocznicy utworzenia Solidarności, chcemy rozpocząć dialog z młodzieżą na temat wartości. Na-

sze hasła mają być iskierką, która roznieci ogień tej dyskusji – mówi Wojciech Błaszczysz z Brainshop U-Boot, która obok dwóch innych firm z branży reklamowo-medialnej jest pomysłodawcą kampanii.

Na stronie CoToZnaczyDlaCiebie.pl każdy będzie mógł wyrazić swoją opinię i wpisać własne hasło. Najciekawsze wraz z nazwiskiem autora zostaną umieszczone na autobusach miejskich w Warszawie i Poznaniu. (GREG)

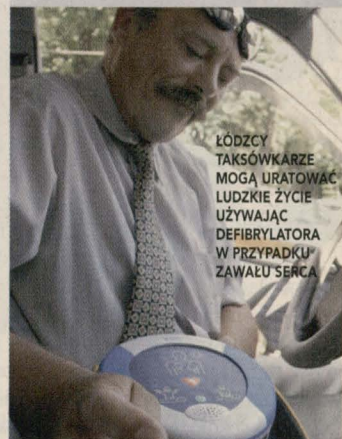


WWW.CO TO ZNACZY DLA CIEBIE.PL

Uruchomić serce

W łódzkich taksówkach instalują całkiem nowe urządzenia. I nie jest to, jak mogłoby się wydawać, kasa fiskalna, ale automatyczny defibrylator, czyli przyrząd służący do wznowienia i ustabilizowania akcji serca w przypadku jej zatrzymania. Może uratować życie w przypadku zawału czy migotania komór.

Zrzeszenie Transportu Prywatnego Radio Taxi 9622 otrzymało defibrylatory od Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Prze-



ŁÓDZCY TAKSÓWKARZE MOGA URATOWAĆ LUDZKIE ŻYCIE UŻYWAJĄC DEFIBRYLATORA W PRZYPADKU ZAWAŁU SERCA

Fot. MARCIN WOJCIECHOWSKI/AG

szkolona została też pierwsza grupa taksówkarzy. Medyczne cacko wożone jest zamiennie w 10 taksówkach przez całą dobę. – Automatyczny defibrylator w odróżnieniu od zwykłego, używanego przez lekarzy jest bardzo prosty w obsłudze – mówi doktor nauk medycznych Zbigniew Bednarkiewicz z II Katedry i Kliniki Kardiologii Uniwersytetu Medycznego w Łodzi. – W sytuacji zagrożenia życia podłącza się elektrody do klatki piersiowej osoby, która zasłabła. Wtedy aparat wyświetla instrukcję, jak postępować dalej. A jeśli wystąpi migotanie komór, wysyła impuls elektryczny, który je przerwie.

Automatyczne defibrylatory zaczęły pojawiać się w Polsce na początku ubiegłego roku. Znajdują się między innymi w urzędach wojewódzkich Łodzi i Olsztyna, w karetkach i na niektórych stacjach Orleń. – 80 procent zatrzymań krążenia poza szpitalem ze względu na zbyt późną pomoc kończy się zgonem – tłumaczy Bednarkiewicz. Dzięki automatycznym defibrylatorom może się to zmienić. (YOU)

polityka JEST OKRĄGŁA, A BRAMEK JEST WIELE



W piłce nożnej liczą się tylko drużyny z pierwszej ligi. W polityce jest tak samo, dlatego tuż przed wyborami politycy poszliby do piekła, gdyby zapewniło im to dobre miejsce na liście

Statystycznego posła lub senatora bieganie za piłką nożną brzydzi. Jednak raz na cztery lata, przed wyborami, gdy w oczy zajrzy widmo degradacji, obrzydzenie mija jak ręką odjął i polityk zamienia się w rasowego gracza. Wbity w garnitur wsiada na karuzelę transferową, która kręci się jak opętana.

Zasady rządzące tym sportem są proste. Wygrywa ten, kto się załapie do pierwszej jedenastki (czytaj: na listę wyborczą). Najbardziej się pchają zagrożeni spadkiem lub marzący o awansie. Słabsi gracze muszą szukać szczęścia na własną rękę, innych – z reguły starych wyjadaczy z tak zwaną twarzą – wyłapują drużyny lub ich kapitanowie (komitety wyborcze lub szefowie partii).

Polityków z piłkarzami łączy jeszcze jedno – o tak zwanym przywiązaniu do barw klubowych (partyjnych) nie ma mowy. Choć każdy się zarzeka, że chodzi mu o dobro sportu (kraju), w rzeczywistości liczy się miejsce w pierwszym składzie (na liście wyborczej). Jak twierdzi Marek Borowski, ten sezon jest niezwykle bogaty w transfery.

SZNURODO SAMOBRONY

Wie o tym doskonale Janusz Wójcik – bądź co bądź były selekcjoner reprezentacji Polski. Trener Wójcik najwyraźniej pozazdrościł jednemu z najlepszych polskich piłkarzy Grzegorzowi Lacie mandat parlamentarzysty. Został członkiem komitetu wyborczego kandydata na prezydenta Andrzeja Leppera i ma startować z Podlasia. Ma, bo na razie negocjuje z Samoobroną miejsce na liście. – Jeśli będzie dla mnie satysfakcjonujące, będę kandydował – mówi bez ogródek Wójcik. Co spodobało mu się w drużynie Leppera? Oczywiście program. – Samoobrona to partia lewicowa, a ja wcześniej w takich działałem. W odróżnieniu od polityków, którzy zmieniają partie od lewicy do prawicy, nie kręcę się jak zepsuty zegar. Brzydzę się czymś takim – zapewnia były członek PZPR i SLD, który być może niebawem zawiesi na szyi biało-czerwony krawat.

Partia Marszałka (tak o Lepperze mówi Wójcik) to zdecydowany lider pod względem transferów. Taka, powiedzmy, Wisła Kraków w świecie polskiej polityki. Tylko w ostatnich dniach ściągnęła co najmniej siedmiu posłów. Jak zapewnia wiceszef partii Krzysztof Filipek, wszyscy przyszli sami i na pewno nie z niskich pobudek. – Zgłosili się do nas, bo utożsamiają się z programem Samoobrony – mówi Filipek.

Zaczął się od byłego mazowieckiego barona SLD Jacka Zdrojewskiego, który jednego dnia był w Sojuszu, by następnego paradować we właściwym krawacie. – Samoobrona to jedyna prawdziwie lewicowa partia. SLD stracił kontakt ze społeczeństwem – ogłosił Zdrojewski. Ale wiadomo, że nowe władze Sojuszu nie widziały utożsamianego z partyjnym betonem eksbarona na pierwszym miejscu w Warszawie, więc ten wziął grabki i poszedł do piaskownicy Leppera, w której dostał to, czego chciał.

Z ORLENU W JEŻYNY

Najbardziej jednak spektakularnym transferem w wykonaniu działaczy partii Leppera było przeciągnięcie na swoją stronę Andrzeja Aumillera. Niedawny poseł Unii Pracy i przewodniczący orlenowskiej komisji śledczej obraził się na swo-

ją partię, bo w jej programie wyborczym nie ma nic o rolnictwie. A on, były szef kombinatu ogrodniczego, chciałby w przyszłym Sejmie zajmować się problemami skupu truskawek, malin i jeżyn. Dzięki Samoobronie wystartuje oczywiście z pierwszego miejsca w Poznaniu. Gdyby został w UP, dostałby drugie i szanse na wejście do Sejmu miałby zerowe.

Oprócz Zdrojewskiego i Aumillera pod skrzydła Andrzeja Leppera trafili między innymi posłanka SLD Aldona Michalak, były poseł tej partii i były szef Budimeksu Grzegorz Tuderek, a nawet Tomasz Mamiński wraz z całą swoją Krajową Drużyną Emerytów i Rencistów. Mamiński wszedł do Sejmu z list SLD, ale z hukiem wyleciał z klubu po zajęciu w restauracji sejmowej, kiedy to będąc pod wpływem alkoholu, miał krzyknąć do austriackiego dziennikarza: „Heil Hitler!”.

Prawie przesądzone jest przejście do Samoobrony posła Jerzego Müllera – jednego z transferowych rekordzistów. Karierę poselską w tej kadencji Müller rozpoczął w barwach klubu UP. Gdy Unia Pracy przestała mu się podobać, założył własną formację – Lewicę Demokratyczną RP. Ponieważ na to ugrupowanie poza rodzinami kandydatów nie zgłoszowałby nikt, poseł postanowił przytulić się do SdPL. Nie na długo. Mówi,

że opuścił Socjaldemokrację, bo nie podobała mu się jej strategia wyborcza i alians z Unią Pracy. Szef SdPL Marek Borowski wie jednak swoje: – Jak nie dostał pierwszego miejsca, to się zawiął i poszedł.

Borowski nie przejął się szczególnie jego odejściem, bo na głowie ma ważniejszy problem, który nazywa się Tomasz Nałęcz. Obecny wicemarszałek Sejmu miał być jedną z gwiazd wyborczych Socjaldemokracji, ale obraził się na

Rutkowski miał sporo szczęścia, bo na przykład taki zawodnik jak Sebastian Florek, który również niczym się nie wyróżniał, już nie znalazł uznania w oczach ludowców. Ani w żadnych innych. Florek tak bardzo chciał kandydować, że zastukał również do gabinetu Andrzeja Leppera, rzucając po drodze SLD, który go nie chciał. I dostał kosza. Wygląda na to, że znanej z „Big Brothera” poczciwej twarzy Sebastiana Floraka w przyszłym Sejmie nie zobaczymy.

ściągając każdego, kto się nawinał. I doczekał na grody – dostał miejsce na liście Sojuszu w Piotrkowie Trybunalskim. Nagrodzony za wierność został też były szef klubu Unii Pracy Janusz Lisak, który kilka miesięcy temu marzył o SdPL. On z kolei wystartuje z Chrzanowa. Jeśli wejdzie do Sejmu, jego kolegami klubowymi może być dwójka byłych posłów Samoobrony oraz była koleżanka Lisaka z UP Izabela Jaruga-Nowacka, która jeszcze niedawno ostro krytykowała SLD.



Od lewej: Jacek Zdrojewski przetransferował się z SLD do Samoobrony; Stefan Niesiołowski przeszedł z prawej strony do centrum i zagra w Platformie; Krzysztof Rutkowski kiedyś już występował w Samoobronie, teraz włoży zieloną koszulkę PSL; w tych samych barwach wystąpi Hanna Gucwińska; Tomasz Nałęcz zrezygnował z gry w składzie SdPL na rzecz ławki rezerwowych w drużynie Cimoszewicza

Borowskiego, gdy ten nie zgodził się zrezygnować z wyścigu do prezydenckiego fotela na rzecz innego zawodnika – Włodzimierza Cimoszewicza. Nałęcz – były członek PZPR, SdRP i UP – nie zachował się jak prawdziwy sportowiec. Zrezygnował ze startu, złożył funkcje partyjne i poparł Cimoszewicza. – Nie ubiegam się o żadne stanowiska. Politycy zmieniają partie, by znaleźć się na listach wyborczych. Ja, chcąc być w zgodzie ze swymi przekonaniami, zrobiłem coś odwrotnego: zrezygnowałem z pierwszego miejsca w Plocsku – mówi nam Nałęcz.

ZIELONO IM

Pod względem transferów Andrzejowi Lepperowi dotrzymuje kroku tylko Polskie Stronnictwo Ludowe, które upodobało sobie szczególnie byłych parlamentarzystów... Samoobrony. W przeciwieństwie do partii Leppera dołączając w sondażach PSL samo zabiega o znane twarze, które mogłyby mu zapewnić przekroczenie progu wyborczego.

Transferowym hitem jest bezwzględnie ściągnięcie detektywa i posła w jednej osobie Krzysztofa Rutkowskiego, który w mijającej kadencji częściej występował na okładkach tabloidów niż na trybunie sejmowej. Mimo to władze PSL są pełne uznania dla dokonań Rutkowskiego. – W walce ze złem prezentował oryginalne, ale skuteczne sposoby. To jest wartość. A że się nie wyróżniał w Sejmie? Po prostu w klubie nie został wprzęgnięty do roboty. U nas będzie inaczej – mówi wiceprezes PSL Janusz Piechociński.

Co innego jowialne oblicze Zbigniewa Witaszka. Po rozstaniu z Lepperem Witaszek tak długo szukał swego miejsca, aż je znalazł – w PSL, na drugim miejscu w okręgu podwarszawskim. Podobnie zresztą jak kilku innych posłów Samoobrony oraz Hanna Gucwińska, która z rozbijającą szczerością wyznała dziennikarce „Gazety Wyborczej”: – Jak człowiek chce być aktywny, szuka swego miejsca. Pod koniec kadencji wszyscy szukają.

Gucwińska przygodę z polityką zaczęła 12 lat temu, wspierając kampanię wyborczą Kongresu Liberalno-Demokratycznego Donalda Tuska. Cztery lata temu zmieniła front i wystartowała z listy koalicji SLD-UP. Teraz także postanowiła zadbać o siebie. Jak sama przyznaje, o kandydowaniu rozmawiała z Samoobroną, na start w wyborach namawiała ją też UP. Od partii Leppera odstraszyły ją wysokie wymagania, jakie stawia Samoobrona swym kandydatom, a UP proponowała zbyt niskie miejsce, bo dopiero trzecie.

JAK KALI UKRAŚĆ KROWĘ...

O spory zaciąg, który ma wyrównać straty, zadbał również SLD. Na łono Sojuszu wrócił skruszony Mieczysław Teodorczyk, który jeszcze nie tak dawno nie mógł się nachwalić Partii Demokratycznej.

Sojuszu nie zapomniał także o wiernym Romanie Jagielińskim, który przez pół kadencji robił co mógł, by wesprzeć mniejszościowy rząd SLD. W tym celu do swego koła poselskiego o zmiennej nazwie (ostatnio Stronnictwo Gospodarcze)

– Mam prawo sądzić, że przyszli z wyższych pobudek, bo zdobycie mandatu z list SLD będzie bardzo trudne – chwali nowe nabytki wiceszef Sojuszu Andrzej Jaeschke. Ale tych, którzy opuścili partię, ocenia bezwzględnie: – Kierowali się politycznym wyrachowaniem. Nie mam dla nich szacunku.

W transferowej karuzeli bierze udział także prawica, choć nie tak aktywnie jak partie lewicowe i chłopskie. PO przyjęła pod swe skrzydła między innymi Stefana Niesiołowskiego (kiedyś ZChN i AWS), a PiS już wcześniej przyciągnął dwóch wytrwałych graczy z dużym stażem partyjnym – Jacka Kurskiego oraz Wojciecha Mojzesowicza. Pierwszy to absolutny rekordzista. Występował w barwach Porozumienia Centrum, Ruchu Odbudowy Polski, ZChN oraz LPR, do której poszedł, rzucając PiS. Teraz wraca. Bogaty staż ma również Mojzesowicz – był w PSL, Samoobronie i zakładał własne ugrupowanie. Ale dla władz PiS nie ma to większego znaczenia.

Jeden z prominentnych posłów polityczne transfery komentuje krótko: – To dowód kompletnego zdeprawowania polityków, którzy tylko szukają tyłkiem najlepszego miejsca, by wskoczyć do Sejmu.

Maruderzy muszą się spieszyć. Okno transferowe zamyka się o północy 16 sierpnia, gdy Państwowa Komisja Wyborcza zakończy przyjmowanie list kandydatów.

GRZEGORZ RZECZKOWSKI

AKSAMITNA REWOLUCJA

Ma być dłuższa, mądrzejsza
i głębsza – spowiedź po polsku zmienia się na lepsze.
Ale nasze grzechy zmieniają się na gorsze

JULIUSZ ĆWIELUCH
RAFAŁ MADAJCZAK

Maria ma 55 lat, jest emerytowaną nauczycielką. Lubi mówić o sobie: wierząca, poszukująca, ale nie wątpiąca. Zdarzyło się jej odejść od Kościoła i do niego wrócić. Wróciła, bo wiele się zmieniło. Dla niej barometrem zmian jest spowiedź. – Jeszcze niecałe 20 lat temu to był dla mnie koszmar. Albo trafiło się na funiata, który się miotał i na cały kościół wyzywał od grzesznicy, albo na sennego proboszcza, który ziewał z nudów – wspomina. Jeśli już wyznała jakiś grzech, to ksiądz pytał, ile razy się go dopuściła. Ale nigdy dlatego.

– Nie chciałam zrozumieć, co mną powodowało. Liczyły się grzechy, a nie ja – dodaje. Najbardziej denerwowała ją pokuta. W jej parafii wikary dawał różaniec, a proboszcz litanie. I to wszystkim, jak leci.

Kilka lat temu pojechała na Jasną Górę. Bardziej z ciekawości niż z chęci poszła do spowiedzi. Trafiła na rasowego spowiednika. – Zaczął normalną rozmowę. Prześwietlił mi na wylot, ale przy okazji pomógł zrozumieć kilka spraw, które nie dawały mi spokoju – wspomina. Spowiedź trwała godzinę, a jej konsekwencje Maria odczuwa do dziś. Jako pokutę dostała obowiązek spowiadania się co miesiąc przez pół roku. – Znalazłam stałego spowiednika. Razem zaczęliśmy analizować, co dzieje się w moim życiu. Nie tylko się spowiadam, ale szukam rozwiązania dręczących mnie problemów. Jeśli coś mnie trapi, po prostu idę do spowiedzi – mówi.

Zmiany widzą również młodzi. Justyna ma 27 lat, jest pracownikiem naukowym. Otwarcie przyznaje, że przez wiele lat jej spowiedzi były stratą czasu. – Ciągłe te same grzechy i to banalne do granic możliwości. A prawdziwe myśli, poważniejsze grzechy głęboko chowałam. Ksiądz musiał się domyślać, że dorastająca dziewczyna z dużymi piersiami ma inne problemy niż „byłam niemila dla rodziców” albo „nie posprzątałam pokoju”. Ale nigdy podczas spowiedzi nie zadał mi ani jednego pytania – wspomina Justyna. Kilka lat temu od znajomych dowiedziała się, że rewelacyjnie spowiadają warszawscy dominikanie. Umówiła się na spowiedź indywidualną. – To było straszne. Nie ma żadnej kratki, konfesjonatu. Prosto w oczy wyznajesz swoje grzechy, i to bez taryfy ulgowej, bo czułam, że ten spowiednik czyta we mnie jak w książce. Na koniec mało się nie poryczałam.

Justyna już nigdy więcej nie zdecydowała się na spowiedź indywidualną. Ale teraz otwarcie wyznaje swoje grzechy. – O dziwo, okazało się, że kiedy ja wyszłam poza sztampe, to i księża zaczęli inaczej reagować.

KONFESJONAŁ NIE KOZETKA

Ksiądz Roman Indrzejczyk, znany warszawski duszpasterz, na nowości w konfesjonale patrzy z lekkim dystansem. – Spo-



nardyni
asztoru
ladocznicy
Roztoczu
ponują
wiedź
lenerze

w konfesjonale

wiedź to oczyszczenie, prostowanie dróg, które pogięło nam życie. W tym sensie nic się nie zmieniło. Ale jeśli chcemy mówić o rewolucji, to trzeba zaznaczyć, że jest to rewolucja aksamitna, jak podczas Praskiej Wiosny – mówi. – Zmiana się dokonała, bo zmieniły się wymagania wiernych. Zupełnie jak w wychowywaniu dzieci. Za czasów mojej młodości dominował model ojca surowego. Teraz ojciec ma być przyjacielem, ale i wyrozumiałym przewodnikiem przez trudny świat – dodaje ksiądz Indrzejczyk. Ale choć sam jest z wykształcenia psychologiem, przestrzega przed myleniem spowiedzi z psychoanalizą.

Psychoterapeuta Wojciech Eichelberger tak kiedyś uchwycił główną różnicę między spowiedzią a psychoterapią: psychoterapia nie zajmując się wybaczeniem.

– Główna różnica to wiara w Boga – mówi z kolei jezuita Dariusz Kowalczyk. – Grzechy odpuścić może jedynie Bóg, a niektóre formy psychoterapii starają się nie rozgrzeszać, ale tłumaczyć, że w człowieku nie ma winy, bo środowi-

sko, bo kultura, bo rodzina. To odbieranie człowiekowi wolności, bo mówi się mu: to nie twoja wina, bo nie byłeś wtedy wolny. Podczas spowiedzi trzeba się jasno określić i po męsku powiedzieć: moja wina.

DZIĘCIÓŁ PUKA ZAWSZE TRZY RAZY

Michał, głęboko wierzący członek chrześcijańskiej wspólnoty Chępsiba: – Spowiedzi nie traktuję jako wyrzucenia grzechów, sposobu na poprawę samopoczucia. W spowiedzi pozbywam się tego, co rani bliską osobę. Uczę się przeproszać Boga na bieżąco.

Według Michała to alternatywa dla niedzielnego katolicyzmu, który często żywi się schematem: – Kilka lat temu słyszałem, jak ksiądz w jednej parafii wyrzucał ludziom, że się źle spowiadają. Jako przykład podał 70-letniego staruszka, który aż po starość spowiadał się „Bozi” z tego, że nie słuchał rodziców.

Sami księża zauważają potrzebę zmian. – My, młodzi, żartujemy, że dzieciół, czyli księża, którzy spowiadają taśmowo i tylko pukają w konfesjonał na rozgrzeszenie, odchodzą w zapomnienie – mówi wikary, który przeczornie woli jednak nie ujawniać imienia. Co prawda nadal najwięcej osób spowiada się zgodnie z zaleceniami kościelnych przykazań przed Wielkanocą, kiedy w obliczu długiej kolejki trudno liczyć na pogłębioną spowiedź. – Ale coraz więcej z nich później wraca i chce czegoś więcej – mówi ksiądz Indrzejczyk.

Coraz popularniejsze staje się wybieranie stałego spowiednika. Jan Turnau, publicysta religijny „Gazety Wyborczej”, stałego spowiednika ma od prawie pół wieku. – Moje pierwsze doświadczenia z konfesjonatu nie są warte opisywania. Zmieniło się, odkąd zacząłem spowiadać się u nieżyjącego już księdza Bronisława Bozowskiego. Teraz spowiadam się u mojego przyjaciela, księdza profesora Michała Czajkowskiego – mówi. Ale choć do sakramentu pokuty przystępuje przynajmniej raz w roku, to przed konfesjonalem nie klękał już od lat. Najczęściej spowiada się podczas spacerów ze swoim przyjacielem i spowiednikiem jednocześnie. Taki luksus nie jest już tylko zarezerwowany dla elit. Naprzeciw potrzebie posiadania własnego spowiednika wyszedł też Kościół. Od kilku lat w większości parafii podaje się nie tylko, kiedy będzie spowiedź, ale i kto zasiądzie w konfesjonale.

SPOWIEDŹ W PROCENTACH

Według danych Instytutu Statystyki Kościoła katolickiego co prawda nic nie wskazuje na to, że Polacy stali się w ostatnich latach lepsi, ale spowiadają się rzadziej – tak jakby mniej grzeszyli. Szczególnie tonięje grupa spowiadających się raz w miesiącu. W 1991 roku było to 27,4 proc., w 1998 roku 34 proc., jednak w roku 2002 już tylko 12,9 proc. Pęcznieje natomiast kategoria „kilka razy w roku”, co w praktyce oznacza najczęściej tradycyjną spowiedź na Wielkanoc i Boże Narodzenie. O ile 14 lat temu praktykował tak co 10. Polak (11,7 proc.), obecnie jest to już ponad połowa wiernych (56 proc.). Statystyka mówi, że dziś 70 proc. Polaków chodzi do spowiedzi kilka razy w roku lub częściej. To i tak ewenement na skalę europejską.

POLACY O SPOWIEDZI

Spowiedź jest dla mnie:

- czymś świętym,
- możliwością głębszej rozmowy,
- okazją do upokorzenia się i przyznania do słabości,
- spełnieniem obowiązku,
- czymś, co daje lepsze samopoczucie i możliwość do poprawy,
- momentem wypowiedzenia wszystkich swoich problemów i okazją do zasięgnięcia rady,
- udręką, bo powinniśmy się spowiadać bezpośrednio przed Bogiem,
- przykrym spotkaniem, dziś księża nie angażują się w spowiedź,
- czymś poniżającym,
- nie powinno jej być, bo ksiądz wykorzystuje to potem w kazaniu.

(Według „Kościół katolicki na początku trzeciego tysiąclecia w opinii Polaków”, Warszawa 2004)

Wierni czekają na księdza. Kalwaria Zebrzydowska 1994 rok



Fot. BOGDAN KRZYZEL (2)



Fot. GRZEGORZ KOZANEWICZ/PORUM

Antyklerykalne graffiti na jednej z krakowskich kamienic



Fot. ICOR/WDR/FAK

Konfesjonał nie jest już niezbędny do udanej spowiedzi. W 2002 roku podczas spotkania młodzieży katolickiej w Zielonej Górze wystarczył prywatny samochód księdza

Niekiedy ktoś się przyzna spowiednikowi do ściągania nielegalnych gier lub filmów z Internetu, ale takich osób nie ma wiele

sjonale mówił, że miał nienawistne myśli na temat władzy, to trudno było mu tłumaczyć, że to straszny grzech. Kiedy teraz ktoś spowiada się z nienawiści do polityków, to też mi trudno tłumaczyć, ale robię to, bo istotą naszej religii jest miłość i miłosierdzie – wyznał jeden z księży z Kielc.

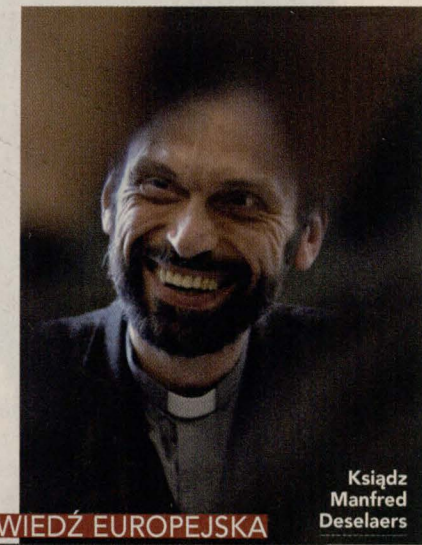
Również technika odbija się na naszych grzechach. – Dzieci mówią już nie tylko, że nie słuchały rodziców, ale że zamiast im pomóc, grały w „Diablo II” – mówi młody ksiądz z Poznania. Według relacji spowiadających niekiedy zdarza się, że ktoś przyzna się do ściągania nielegalnych gier czy filmów z Internetu, ale nie ma takich osób za wiele.

BRUDNE MYŚLI I SZYBKI SEKS

Jednak to nie podatki ani komputer są największym problemem Polaków. W tym kontek-

ście najczęściej wymieniane przez księży słowo to „seks”. – Współżycie przedmażeńskie to niemal norma wśród młodych. Nawet jeśli się kochają, nie jestem w stanie udzielić im rozgrzeszenia bez postanowienia poprawy. Staram się rozmawiać z nimi na ten temat – mówi jeden z warszawskich księży. Z tego powodu Patrycja od półtora roku nie była u spowiedzi. – Według księdza żyję w grzechu, a według mnie w miłości. W tej kwestii nigdy się nie dogadamy – mówi.

Zmiany w obyczajowości seksualnej widać też po zachowaniu młodych chłopców. – Z założenia nie pytam chłopców do 13.–14. roku życia o te sprawy. Uważam, że to za wcześnie. Ale zdarza się, że sami przyznają się do masturbacji. Kiedyś był to temat tak wstydlivy, że niemal nigdy nieporuszany, jeśli nie było pytań ze strony księdza – mówi jeden z poznańskich kapłanów.



Ksiądz Manfred Deselaers

SPOWIEDŹ EUROPEJSKA

W Europie Zachodniej sakrament pokuty przechodzi kryzys. Francuscy księża już niemal nie spowiadają. Niemcy wolą wyznawać grzechy w specjalnym pokoju, a nie w konfesjonale. – Ci, którzy unikają spowiedzi, zasłaniają się postawą: „Przecież nikogo nie zabiłem ani nie okradłem, więc czemu ksiądz się czepia?” – mówi Manfred Deselaers, niemiecki ksiądz od 15 lat sprawujący posługę w Polsce. – Kiedyś Niemiec, spowiadając się, wyliczał: pierwsze przykazanie – nic, drugie przykazanie – nic – śmieje się ksiądz Manfred. – Teraz to poważne rozmowy o trudnym życiu.

Niektóre sytuacje potrafią wprowadzić w głębokie zakłopotanie, na przykład mężczyźni zwierający się z kłopotów z zaspokojeniem żony. Ale czy to jest grzech?

– Pary homoseksualne, rozwodnicy, młodzi bez ślubu, prostytutka to wielkie wyzwania dla Kościoła i księdza, który musi przecież wszystkich wysłuchać, każdemu starać się pomóc – mówi ksiądz Indrzejczyk. Ale to najczęściej z powodu seksu większość Polaków nie słyszy po spowiedzi potrójnego pukania. – Bo w konfesjonale może dokonać się rewolucja aksamitna, ale na pewno nie seksualna – mówi jeden z księży.

JULIUSZ CŹWIELUCH
RAFAŁ MADAJCZAK

Podyskutuj o tym na **onet.pl**

i księdzu się to zdarza – dodaje. Teraz spowiadanie się z łapania przepisów drogowych żądanie księdza raczej nie zdziwi. Podobnie jest ze ściąganiem. Jeszcze kilka lat temu sami nauczyciele namawiali uczniów do robienia ściągawek. – Mówiło się: zrób, to przy okazji się nauczysz.

Teraz coraz więcej młodych ma świadomość, że ściąganie to oszukiwanie siebie i innych – mówi ksiądz Indrzejczyk.

Zmiana sytuacji politycznej spowodowała, że te same myśli mogą być różnie odczytane. – Jak w czasie stanu wojennego człowiek przy konfe-



SZKOŁA DLA SPOWIEDNIKÓW

Rozmowa z ojcem PIOTREM JORDANEM ŚLIWIŃSKIM z krakowskiej prowincji zakonu braci mniejszych kapucynów, pomysłodawcą szkoły dla spowiedników



Szkołę spowiedników w Skomielnej Czarniej co roku kończy 30 księży

Czy w szkole spowiedników są stopnie i egzaminy?

– (śmiech) Nazwę „szkoła” traktujemy z przymrużeniem oka. Szkoła działa we wsi Skomielna Czarna. Na uboczu, dlatego że to ma być nie tylko nauka na zasadzie kursokonferencji, ale czas modlitwy, spotkania, rozmowy. Nasi uczniowie mają się nie tylko uczyć.

– Na szczęście u nas jest duża potrzeba uczestniczenia w tym sakramencie. Ale wymagania wobec spowiednika są większe. Coraz więcej wiemych szuka stałego spowiednika, człowieka, którego znają, któremu ufają. Zmiany są tak dynamiczne, że trzeba się ciągle do nich dostosowywać. Spowiednik musi się ciągle uczyć, poznawać życie. I to widać na poziomie języka. Bywa, że język teologii, którym się posługujemy, jest zupełnie niezrozumiały dla osób przychodzących do spowiedzi. Dlatego czasem trzeba użyć języka młodych. Powiedzieć: słuchaj, wyślij jakby takiego SMS-a do Pana Boga.

Moja znajoma mówi, że denerwuje ją już sam wstęp – dlaczego musi uklęknąć przed spowiednikiem?

– Najpierw staje przed Bogiem, a pozycja ciała to jest akurat rzecz wtórna. Nasze konfesjonały w Krakowie to klimatyzowane pokoiki, w których można uklęknąć albo usiąść i to staje się coraz częściej regułą.

Szkoła spowiedników powstała, bo zmienili się ludzie. Czy spowiedź maklera giełdowego różni się od spowiedzi robotnika?

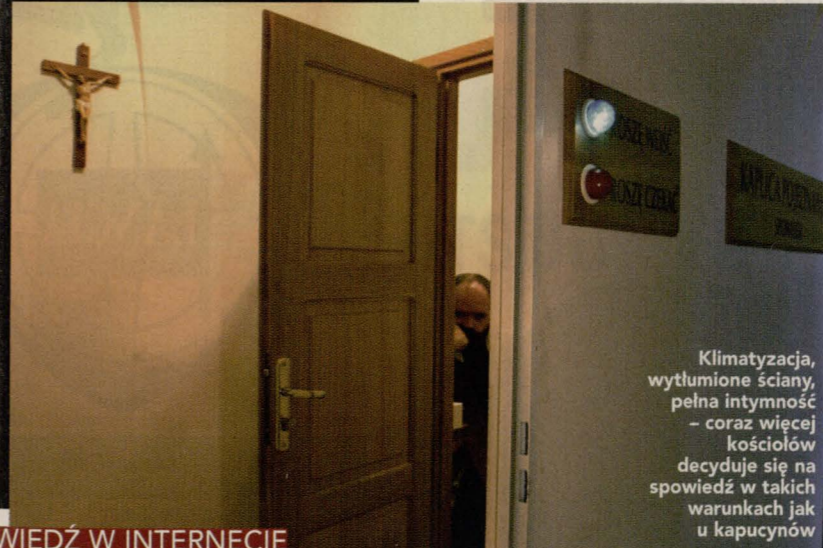
– I tak, i nie. Odwołajmy się do przykazania „Nie kradnij”. Makler może kraść inne rzeczy niż robotnik, ale istota grzechu jest taka sama. Żeby jednak do tych obu ludzi dotrzeć, na pewno trzeba używać innego języka.

Czy seminarium tego nie uczy?

– Uczy, i to przez lata. Jest psychologia ogólna i psychologia rozwojowa oraz psychopatologia w ramach wykładów seminarium, a obok tego są specjalne przedmioty poświęcone tylko spowiedzi, na przykład spowiednictwo. A więc kapłan jest przygotowany, i to nie tylko od strony psychologicznej. Ale świat jest w ciągłym ruchu.

Zmienili się ludzie, a ich świadomość grzechu?

– Obserwuję choćby zwiększoną wrażliwość na obowiązki wobec państwa, na przykład płacenie podatków, uczciwość w życiu społecznym. Świadomość postsowiecka, że wszystko, co wspólne, można brać, mija.



Klimatyzacja, wytłumione ściany, pełna intymność – coraz więcej kościołów decyduje się na spowiedź w takich warunkach jak u kapucynów

SPOWIEDŹ W INTERNECIE

Na razie nie jest możliwa, ale w sieci pęta jest tak zwanego poradnictwa duchowego. Różnica – jak mówi jezuita ojciec Dariusz Kowalczyk – polega na tym, że podczas spowiedzi materia są grzechy, w poradnictwie duchowym chodzi na przykład o trudności z teściową, modlitwą czy przełożonym, a rozgrzeszenie nie jest konieczne. Nie sposób jednak nie odnieść wrażenia, że katolickie strony Opoka.org.pl, Mateusz.pl czy Spowiedz.pl to forpoczta internetowej spowiedzi. Wierni zasypują je pytaniami, co to jest grzech, czy grzechem są zakłady bukmacherskie, biseksualizm, aborcja, wątpliwość w Boga, chodzenie na dyskoteki w piątek albo „kradzież, jeśli się potem tę rzecz z własnej woli oddało”.

Głównym argumentem przeciw spowiedzi internetowej jest jej bezosobowość. Ale zdaniem ojca Kowalczyka za kilka lat, gdy z informatyzowane pokolenia podrosną, wołanie o spowiedź przez Internet znacznie przybierze na sile.

Niepłacenie podatków jest grzechem?

– Płacenie podatków jest obowiązkiem moralnym. Natomiast powiedzieć, że każde niepłacenie jest grzechem, to byłoby nadużycie, zawsze jest subiektywne podejście, trzeba to rozróżniać.

Z badań Pentora wynika, że z grzechów, które najczęściej popełniamy, spowiadamy się najrzadziej.

– Stojąc w obliczu konfesjonału, staramy się usprawiedliwiać. I to jest naturalne. Często w sakramencie pokuty te złudzenia opadają.

Jaką pokutę najczęściej ojciec zaleca?

– Zwykle o pokucie rozmawiam z penitentem. Proponuję na przykład lekturę odpowiedniego fragmentu Pisma Świętego. Ale najważniejsze jest dopasowanie pokuty do osoby. Jeżeli jest to człowiek zajęty, ciągle mówi, że nie ma czasu dla rodziny, to jako pokutę proponuję mu spacer z momentem medytacji. Jeżeli ktoś żyje w swoim świecie, myśli tylko

o własnych kłopotach, to polecam słuchanie dziennika radiowego, żeby zrozumiał, że ten świat jest pełen problemów, że nie tylko te jego są najważniejsze. Jeśli ktoś ma tendencję do mówienia złych rzeczy, często radzę, żeby kogoś pochwalił, na przykład żonę.

Czy jest coś trudniejszego dla kapłana niż spowiedź?

– Spowiedź to najtrudniejsza posługa, bo dobrze spowiada ten, kto ma świadomość własnych słabości. Penitent wtedy czuje, że nie jest oceniany, odrzucany, nie jest ostemplowany.

Szczególnie trudne dla spowiednika wydają się grzechy związane z seksualnością. Ktoś może zadać pytanie: co ksiądz o tym wie?

– Nikogo nie zabiłem. To co? Nic nie wiem o zabójstwie i nie mogę rozmawiać na ten temat?

Zdarzyło się kiedyś bratu płakać w konfesjonału?

– Zdarzyło. Płakałem i ja, i spowiadający się.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ ĆWIELUCH

TAJEMNICA SPOWIEDZI

Księżom nie wolno pod żadnym pozorem w żadnych okolicznościach ujawnić tajemnicy spowiedzi. Kodeks prawa kanonicznego mówi przy tym o „zdradzie penitenta”, nawet gdy ten prosi o ujawnienie.

Co więcej, według kodeksu „tego, co przez kogokolwiek i w jakikolwiek sposób zostało usłyszane z okazji spowiedzi, nie można w sądzie przyjąć nawet jako śladu prawdy”. Za ujawnienie tajemnicy grozi księdzu nawet ekskomunika. Tajemnica spowiedzi zapisana jest także w prawie świeckim. Kodeks postępowania karnego nie pozwala przesłuchiwać księdza na temat faktów, o których dowiedział się podczas sprawowania sakramentu pokuty.

Zdarzają się jednak sytuacje konfliktowe. W lutym 2003 roku w końcowej fazie procesu o morderstwo kobiety z podhalańskiej miejscowości miejscowy ksiądz powiedział: – Wiem, kto jest zabójcą. Na pewno nie jest nim mężczyzna zasiadający na ławie oskarżonych. Zabójcą miał być inny mężczyzna, który w dzień zbrodni wyjawił księdzu, że „właśnie opuścił mieszkanie ofiary, gdzie zostawił ją leżącą bez ruchu”. Ksiądz tłumaczył, że mógł ujawnić tę informację, ponieważ uzyskał ją podczas porady duchowej, a nie chronionej prawem spowiedzi.

AUTO TANIE ZNAJDĘ

Fabrycznie nowy Mercedes C200 CDI, z gwarancją. Taki sam jak w salonie, ale zamiast 144 tysięcy złotych kosztuje 117. Jedyny kłopot: trzeba trochę poczekać, a samochodu przed zakupem broker nam nie pokaże.

Pierwszy w Polsce broker samochodowy zaczął działać na początku sierpnia. CleioCars Polska nie ma tradycyjnego salonu, tylko kilka biur w jednym z katowickich biurowców. Sprzedaje nowe samochody, głównie droższe modele. Od 9 do 24 procent taniej niż autoryzowani dilerzy. Rzetelność firmy gwarantują jej korzenie – firma-matka działa we Francji już ponad 20 lat.

BROKER RYNKU NIE NISZCZY

Ceny samochodów w krajach Unii nie są jednakowe, co wynika z różnych systemów podatkowych. Jak podaje monitorująca rynek samochodowy firma Samar, Fiat Punto – na przykład – kosztuje w Niemczech o 30 procent więcej niż w Finlandii. Różne są także ceny netto dyktowane przez producenta – z reguły najniższe w krajach o najwyższych podatkach. Z tego właśnie żyje broker – penetruje europejskie rynki w poszukiwaniu najniższej ceny.

Sami brokerzy mają niskie koszty – nie budują i nie utrzymują salonów, serwisów. Są pośrednikami: rachunek wystawia przykładowo diler z Estonii bezpośrednio na polskiego klienta. Broker wystawia klientowi drugi rachunek za zorganizowanie transportu, wypełnienie formalności i na marżę. Dlatego u brokera Skoda Octavia w zależności od wersji kosztuje od 4 do 10 tysięcy złotych taniej niż w salonie. Czy przy takich cenach nie puszczą z torbami tradycyjnych dilerów?

Takie firmy istnieją w Europie od dawna, ale mają zaledwie kilkuprocentowy udział w rynku – mówi Jakub Faryś, dyrektor Stowarzyszenia Oficjalnych Importerów Samochodów.

W Niemczech istnieje około dwóch tysięcy podobnych firm i nie zniszczyło to rynku – dodaje Piotr Wójcik z przedstawicielstwa Mercedes.

W Polsce jest już pierwszy broker samochodowy. Sprawdza ceny aut w całej Europie, po czym sprowadza dla nas to najtańsze



Obaj namawiają do ostrożności przy wyborze auta.

– U nas klient wie, co kupuje – twierdzi Piotr Wójcik. – Na przykład czy samochód pochodzi z ekspozycji, czy z magazynu, czy jest to może auto demonstracyjne. Historia aut z zagranicy jest nieznaną.

– Sprzedaż w Polsce idzie kiepsko, więc warto dobrze sprawdzić krajową ofertę – mówi Jakub Faryś. – Porównanie ceny brokera z oficjalnym cennikiem rzeczywiście może atrakcyjnie wyglądać. Ale trzeba doliczyć darmowe dodatki, klimatyzację, opony zimowe i tak dalej. Gdy weźmiemy pod uwagę wszystkie bonusy, różnica może okazać się fikcyjną.

Przedstawiciel CleioCars zapewnia, że samochody oferowane przez firmę są wyposażone tak jak wersje w krajowych salonach. Albo nawet lepiej. – Skoda Octavia w wersji Ambiente ma fir-



PORÓWNANIE PRZYKŁADOWYCH CEN AUT W OFERTACH BROKERA I DILERÓW

Skoda Octavia z silnikiem 1.9 TDI
wersja wyposażenia Ambiente
Cena w salonie: 76 200 zł
Cena u brokera: 67 100 zł
Różnica: 9100 zł

Audi A4 z benzynowym silnikiem 1.6
wersja podstawowa
Cena w salonie: 106 500 zł
Cena u brokera: 91 580 zł
Różnica: 14 920 zł

VW Touareg z silnikiem 2.5 TDI
wersja podstawowa
Cena w salonie: 240 790 zł
Cena u brokera: 197 200 zł
Różnica: 43 590 zł

Mercedes E280 CDI
wersja podstawowa
Cena w salonie: 235 000 zł
Cena u brokera: 187 400 zł
Różnica: 47 600 zł

Jeep Cherokee 2.4 Sport
Cena w salonie: 116 876 zł
Cena u brokera: 100 300 zł
Różnica: 16 576 zł



TOYOTA

NISSAN



MITSUBISHI



SEAT



SUBARU

mowe radio z CD i aluminiowe felgi – zaznacza Remigiusz Kiczma, kierownik sprzedaży w CleioCars. Zatem faktyczna cena u brokera na ten samochód jest o kolejne 3,6 tysiąca złotych niższa.

KOT W WORKU

Na temat cen trudno dyskutować. Broker bez trudu proponuje atrakcyjniejszą, jednak oferta ma swoje słabe strony.

Pierwsza to czas oczekiwania. Znalazienie i sprowadzenie popularnego modelu z typowym wyposażeniem trwa sześć tygodni, choć to i tak mało w porównaniu z nowościami albo samochodami w nietypowej wersji. Po drugie, klient musi zrezygnować z – dla niektórych przyjemnego – rytuału kupowania w salonie: dotykania, trzaskania drzwiami i zamęczania sprzedawcy pytaniami o szczegóły.

W pewnym sensie więc klient u brokera kupuje kota w worku. – Co się stanie, gdy okaże się, że samochód jest nie w tym kolorze, co trzeba, albo ma zarysowaną w transporcie karoserię? – pyta Jakub Faryś. – Kiedy diler jest na wyciągnięcie ręki, łatwiej uzgadniać ewentualne kwestie sporne.

Klient brokera nie skorzysta też z innych bonusów – niech raczej nie liczy na zasadę good will (dobrej woli), kiedy diler w trosce o wizerunek i przywiązanie klienta do marki może na przykład w wyjątkowych przypadkach bezpłatnie naprawić auto mimo wygaśnięcia gwarancji.

Brokerzy nigdy zbyt szeroko nie rozwiną skrzydeł, o co starają się sami producenci. Tradycyjna sieć sprzedaży jest niezbędna, zwłaszcza dla luksusowych aut. Jednak pojawienie się brokerów powinno skłonić dilerów do jeszcze bardziej zażartej wojny cenowej i większego rozpędu przy promocjach. – Peugeot Polska zrobił nam psikusa – przyznaje Remigiusz Kiczma z CleioCars. – Obniżył ceny w promocji nawet o 14 procent na dwa nasze flagowe samochody – modele 206 i 407.

MAX SUSKI

MINI CZY DŁUŻSZA?
MINI.



BEZ SZTUCZNYCH BARWNIKÓW
BEZ KONSERWANTÓW
TOP ASEPTIC

Oto lekki sposób na dobre samopoczucie i zgrabną sylwetkę. Nowy owocowy Fit z L-karnityną, która w połączeniu z aktywnością ruchową pomaga w walce ze zbędnymi kilogramami.

BO JESTEŚ FIT

www.befit.pl



BEZPŁATNE nie znaczy SPRAWIEDLIWE

Zgodnie z roboczym dokumentem, który nikogo do niczego nie zobowiązuje, za osiem lat studia na państwowych uczelniach byłyby odpłatne, a czesne ubogich i zdolnych studentów pokrywałoby państwo.

Strategię skrytykowały po kolei wszystkie partie. W przedwyborczej awanturze utonął zdrowy rozsądek, fakty zlały się z mitami, a żądania dymisji wiceminister edukacji Anny Radziwiłł zagłuszyły racjonalną dyskusję. A szkoda. Bo jeśli propozycji rządu przyjrzeć się spokojnie i bez uprzedzeń, to okaże się, że jest ona nie tylko rozsądna, lecz także społecznie sprawiedliwa. Co więcej, może otworzyć bardzo potrzebną debatę o przyszłości edukacji w Polsce.

PRZYWILEJ DLA BOGATYCH

Podstawowe pytanie brzmi, czy stać nas na bezpłatne szkolnictwo wyższe. W szkołach wyższych konstytucyjny zapis o darmowej edukacji jest, niestety, przykładem myślenia życzeniowego – ponad 40 procent studiujących obecnie Polaków płaci za swoje studia. Dlaczego? Bo inaczej się nie da. Według Radziwiłł przez ostatnie 16 lat udział studiujących 19-latków skoczył z 10 do 50 procent, a państwowe uczelnie nie są w stanie pomieścić wszystkich chętnych na bezpłatnych studiach. Dla pozostałych utworzono, omijając konstytucję, odpłatne studia wieczorowe i zaoczne. *De facto* mamy już więc studia płatne, przeciw którym podniósł się żywiołowy protest.

Kłopot w tym, że wraz z rozwojem płatnego szkolnictwa na studiach dziennych pojawiła się patologia: dziś korzystają z niego głównie studenci z bogatszych rodzin – z racji ukończenia lepszych szkół średnich wypadają lepiej na egzaminach wstępnych, stać ich też na to, by się do nich odpłatnie przygotować. Jednocześnie na studiach płatnych przeważają studenci biedniejsi. W praktyce darmowa edukacja jest więc przywilejem zdolnych i bogatych. Patologię widać nawet w języku: na dzienne studia trzeba nie tylko „zdać”, ale jeszcze się „dostać”.

Pomysł rządu nie niesie żadnej rewolucji. Zmierza jedynie do tego, by usankcjonować istniejący stan rzeczy i sprawiedliwie uregulować przywilej bezpłatnych miejsc. Rekrutacja byłaby

PO CZYM POZNAĆ W POLSCE SENSOWNY POMYSŁ? PO TYM, ŻE WSZYSCY GŁOŚNO GO KRYTYKUJĄ. TAK BYŁO W UBIEGŁĄ ŚRODĘ, KIEDY RZĄD PRZYJĄŁ STRATEGIĘ ROZWOJU EDUKACJI NA LATA 2007–2013

jednolita, a zdolni i ubodzy studenci otrzymywali by stypendia będące w praktyce zwolnieniem z opłat.

Dlaczego zmiana jest proponowana dopiero za osiem lat? Bo do tego czasu studenci dzienni staną się mniejszością, licea pod wpływem nowej matury będą miały szansę poprawić i ujednolicić jakość nauczania, a sam egzamin dojrzałości zdąży „dotrzeć” się na tyle, by być miarodajnym przy rekrutacji na studia. Pozostaje przyszłokod polityczna: reforma wymagałaby zmiany zapisu o darmowej edukacji, który – choć na uniwersytetach dawno stracił już oparcie w rzeczywistości – cieszy się wciąż ogromnym społecznym sentymentem. Stąd panika wszystkich partii na wieść o płatnych studiach.

PAMIĘTAJCIE O WYKLUCZONYCH

Pod adresem rządowego dokumentu mam jeden fundamentalny zarzut: że choć mieni się strategią, nie bierze za róg długofalowych problemów. Co z tymi, którzy nie mają dostępu nie tylko do bezpłatnej edukacji, ile do systemu edukacji w ogóle? Co z ludźmi, którzy zostali z niego wyeliminowani na długo przed egzaminami na studia? Grupa wykluczonych z oświaty rośnie, a system opłat i stypendiów niewiele im pomoże, bo reforma porządkuje życie tylko tym, którzy mają elementarną szansę na zdobycie wykształcenia. Wykluczony to człowiek, który tej szansy – przysługującej teoretycznie każdemu obywatelowi – nie ma.

Jedną z przyczyn wykluczenia edukacyjnego jest niewydolna polityka oświatowa państwa,

oparta przez lata na systemie nauczania nieuwzględniającym różnic w sposobie przyswajania wiedzy, na nieuczciwej selekcji edukacyjnej i akceptacji wykluczenia jako jej naturalnego następstwa. Szczególnie wobec tych ludzi państwo ma obowiązek nie tyle socjalny, ile moralny, bo wielu z nich zostało przez nie po prostu nieuczciwie potraktowanych.

Do szkół wyższych dotarł w tym roku niż demograficzny, na wielu kierunkach miejsc jest więcej niż chętnych. To doskonała okazja, by wyciągnąć z wykluczenia choć jedno pokolenie. Zanim sformalizujemy płatne studia, państwo mogłoby zapisać w strategii program „pomostowy”, składający się z poradnictwa edukacyjnego, które wyławiałoby chętnych do zdobycia wykształcenia oraz lokalnych college'ów pozwalających w intensywnym trybie nadrobić zaległości, uzupełnić maturę i zdać na studia. W sektorze pozarządowym takie instytucje już działają.

Skąd wziąć pieniądze? Unia uruchamia właśnie Nowy Zintegrowany Program w Zakresie Edukacji i Kształcenia Ustawicznego. Państwo musi mieć tylko pomysł, jak te środki skutecznie wykorzystać. W dalszej perspektywie konieczna jest korekta myślenia o edukacji, tak by szkolnictwo wspierało rozwój indywidualnych umiejętności, zamiast wpędzać młodych w rywalizację o miejsca, której owocem jest wykluczenie.

JAKA WIEDZA DAJE PRACĘ?

Jeśli kogoś nie przekonują argumenty społecznej solidarności, to może spojrzeć na tę propozycję jak na gwarantowaną inwestycję w długofalowy wzrost gospodarczy. Raz wykluczeni z systemu edukacji młodzi ludzie niemal automatycznie stają się długotrwałymi bezrobotnymi. Z kolei wkluczeni łatwiej znajdują pracę, płacą podatki, zyskują samodzielność, jako beneficjenci inteligentnej polityki stają się świadomymi obywatelami i, co w dalszej perspektywie najważniejsze, dbają o wykształcenie własnych dzieci. Walka z wykluczeniem jest nie tylko słuszną i konieczną, ale także opłacalną.

Drugi, jeszcze głębszy problem nieporuszony w strategii to kwestia życiowej przydatności wyższego wykształcenia w jego obecnej postaci. Jak dostosować rodzaj przekazywanej wiedzy i umiejętności, tak by gwarantowały zatrudnienie w gospodarce opartej na wiedzy, do której zmierza globalizujący się świat? To kwestia, która daleko wykracza poza perspektywę ośmiu lat, a z punktu widzenia dzisiejszych kandydatów na studia może się okazać o wiele ważniejsza niż przesądzona już sprawa płatności nauki. Za 20 lat na pewno spłacą kredyty, ale czy ze zdobytym wykształceniem będą mieć pracę? ■

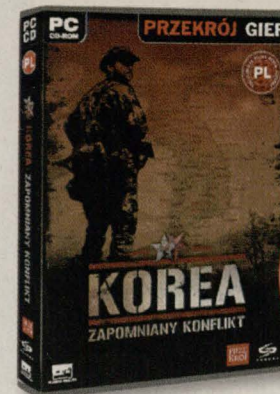
DLA WIELBICIELI
GIER KOMPUTEROWYCH
TYLKO W „PRZEKROJU”

PRZEKRÓJ GIER

18 sierpnia

To gra strategiczna, której akcja rozgrywa się na Półwyspie Koreańskim w czasie konfliktu między Koreą Północną a Południową. **Zaawansowane opcje taktyczne, świetna grafika i polska wersja językowa** – o tej grze po prostu nie sposób zapomnieć!

**Korea:
Zapomniany
konflikt**

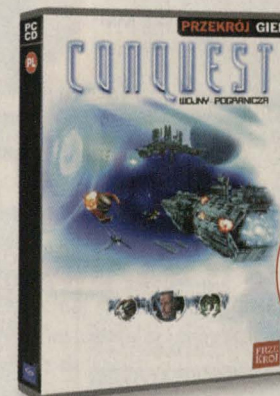


CENA
12,99*

25 sierpnia

To strategia rozgrywana w czasie rzeczywistym, w której cała akcja toczy się w przestrzeni kosmicznej. Wielka wojna, w której gracz musi tak wykorzystać wszystkie swoje talenty oraz dostępne środki, by całkowicie zniszczyć wroga!

**Conquest:
Wojny
pogranicza**



CENA
12,99*

8 września

Przypadnie do gustu każdemu fanowi ogromnych światów fantasy! Charakteryzuje się wyjątkową fabułą, wspaniale dopracowanym światem gry, dużą liczbą postaci i bestii

**Spells
of Gold**

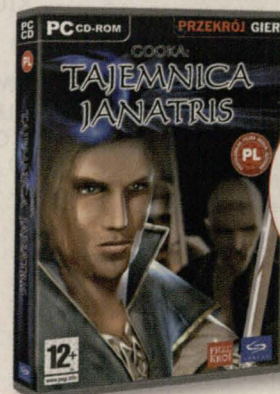


CENA
12,99*

22 września

Wkrocz w fantastyczny świat gry przygodowej, w której czeka na ciebie wspaniała fabuła, niesamowita grafika i interesujące zagadki. **To doskonała rozrywka nie tylko dla fanów gier przygodowych**

**Tajemnica
Janatris**



CENA
12,99*

REWELACYJNIE NISKIE CENY GIER
TYLKO W „PRZEKROJU”

PRZE
KRÓJ

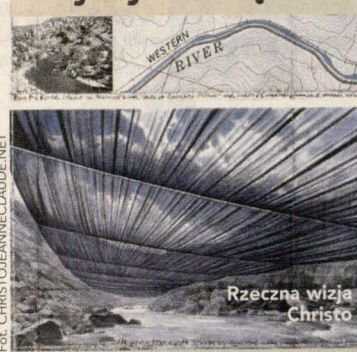
* Cena obejmuje „Przekrój” z grą komputerową

Pies na języki

Mel Gibson zapelnia nową lukę w kinie hollywoodzkim – tworzy kolejne filmy z dialogami w językach starożytnych. Po starciu z łaciną i aramejskim przy okazji „Pasji” planuje teraz nakręcenie filmu w języku... Majów. „Apocalypto” ma być historią sprzed 500 lat. Zagrają nieznani dotąd aktorzy, mieszkańcy Meksyku, gdzie film będzie kręcony. Zdjęcia rozpoczną się już w październiku, a premiera planowana jest na lato 2006. Podobnie jak w przypadku „Pasji” Gibson jest autorem scenariusza, a dialogi przetłumaczą dla niego znawcy języka Majów. Będzie też reżyserem i producentem. Jego firma Icon Productions podpisała umowę z Walt Disney Co., która ma zapewnić promocję i dystrybucję.

(KDJ)

Przykrzyć rzekę



Christo, artysta bułgarskiego pochodzenia znany z ekscentrycznych projektów opakowania w folię budynku Reichstagu w Berlinie i paryskiego mostu Pont Neuf, chce tym razem rozpiąć gigantyczny baldachim nad rzeką w Ameryce. Christo i jego żona Jeanne Claude zamierzają pokryć rozwieszoną na specjalnym ożebrowaniu półprzezroczystą tkaniną 10 kilometrów koryta rzeki Arkansas w stanie Kolorado. Płótna, które zawisną poziomo wysoko nad wodą, będą imitowały nurt rzeki, a gotowy baldachim będzie można oglądać zarówno z góry, jak i od dołu, płynąc po rzece łodzią. Instalację artystyczną para nazwała „Nad rzeką”. W 2008 roku odcinek Arkansas ma być zasłonięty baldachimem przez dwa tygodnie. Christo czeka jeszcze na pozwolenie amerykańskich władz. Projekt będzie kosztował 21 milionów dolarów.

(AR)



Drugi polben Ladenie. Aljman Al-Zawahiri w telewizji Al-Dżazira

PRZECHWAŁKI TERRORU

WICESZEF AL-KAIDY ZAWAHIRI GROZI EUROPIE I AMERYCE ZAMACHAMI, BUSH OGŁASZA, ŻE SIĘ NIE BOI. ALE CZY STARA AL-KAIDA KONTROLUJE SWOJE EUROPEJSKIE KOMÓRKI?

Tej deklaracji można było się spodziewać. Najbliższy współpracownik ben Ladena Ajman Al-Zawahiri ogłosił, że Wielka Brytania i Stany Zjednoczone czekają nowe ataki. Do czasu, aż wycofają się z Iraku, i do czasu, aż Izrael zakończy okupację terytoriów palestyńskich. – Wasza polityka sprowadzi na was jeszcze gorsze rzeczy niż wybuchy w Lon-

dynie – powiedział zastępca ben Ladena na kasecie wideo przesłanej telewizji Al-Dżazira.

Bushowi groził „drugim Wietnmem” i żądał, by natychmiast wycofał wojska z Iraku. – Jeżeli nie zrobicie tego dzisiaj, na pewno zrobicie to jutro, tyle że wcześniej stracie dziesiątki tysięcy zabitych – mówił. Oskarżał również bliskowschodnich sojuszników USA i Egipt, w którym niedawno w zamachach w Szarm el-Szejk zginęło 67 osób. Pierwszy na groźby Zawahiriego zareagował George W. Bush. – Wiele razy mówiłem Amerykanom, że ludzie tacy jak Zawahiri kierują się mroczną, ciemną i wsteczną ideologią. Poniżają ko-

biety, a jak się ktoś z nimi nie zgadza w kwestiach wiary, to dostaje publicznie chłostę – grzmiał Bush na swoim teksaskim ranczo, gdzie rozpoczął właśnie pięciodniowe wakacje.

Analitycy zwrócili jednak uwagę nie na dyżurne groźby Al-Kaidy, lecz na to, że wciąż nie przyznała się otwarcie do zamachów z 7 lipca w Londynie. Może to być kolejnym potwierdzeniem tezy, że silna, scentralizowana organizacja ben Ladena już nie istnieje. W jej miejsce wyrastają coraz mniejsze i luźniej nadzorowane komórki tworzące archipelag terroru.

O liderze nowej Al-Kaidy w Europie czytaj na stronie 36.

JAKUB KUMOCZ

BO U WAS TO DZIECI BIJA

ROSJA I BIALORUŚ PRZEŚCIGAŁY SIĘ, KTO BARDZIEJ WCIĄGNIE POLSKĘ W KONFLIKT. MIELIŚMY FARTA – OŚMIŚZYLI SIĘ BEZ NASZEGO UDZIAŁU

Bandyci, którzy pobili w warszawskim parku trójkę dzieci rosyjskich dyplomatów, nie wiedzieli, że wplątują się w konflikt geopolityczny. W ciągu kilku dni jednak o „zbrodniczym” pobicie wypowiedział się Władimir Putin, rosyjskie MSZ żądało przeprosin, a prasa łączyła wybryk z „antyrosyjską kampanią”.

Nie wiadomo, kto wymyślił wszczynanie historii – może doradca Kremla Gleb Pawłowski, a może ktoś inny. Wiadomo, że w rosyjskich elitach władzy nic nie dzieje się bez powodu. Od paru tygodni w potężny spór uwikłała Polskę sprzymierzona z Rosją Białoruś, której służby specjalne i sterroryzowane przez władzę sądy walczą z polską mniejszością. Niespodziewanie Polska jest



Grodno, 4 sierpnia. Młodzieżówka Łukaszenki protestuje przed konsulatem RP. Tylko która telewizja kłamie?

w oczach świata niesprovokowaną ofiarą promoskiewskiego dyktatora. Jednocześnie opowiedziały się po jej stronie Stany Zjednoczone i Unia Europejska. Moskwa usiłowała więc odwrócić kota ogonem. To „rusofobiczna” Polska miała być agresywnym, bijącym rosyjskie dzieci napastnikami. Na szczęście dla nas wyszło komicznie.

KOLEJNA WOJNA O PIETRUSZKĘ?

KANADA I DANIA POKŁÓCIŁY SIĘ O KAWAŁEK JAŁOWEJ ZIEMI U WYBRZEŻY GRENLANDII

Dyplomatyczną awanturę o wyspę Hansa wywołała wizyta kanadyjskiego ministra obrony Billa Grahama, który odwiedził sporne terytorium w końcu lipca. Graham sfotografował się pod flagą kanadyjską, ustawił pomnik kanadyjskich Indian, a obok zakopał butelkę whisky. Duńczycy, którzy uważają wyspę za swoją, natychmiast wysłali do Ottawy gniewny list protestacyjny.

Awantura pamięta lata 70., kiedy Kanada i Dania porozumiały się co do przebiegu granicy w cieśninie Nares między kanadyjską wyspą Ellesmere i należącą do Danii Grenlandią. Los kawałka ziemi sto na sto metrów miał być ustalony później, ale stał się kością niezgody. W 1984 roku na wyspę Hansa zapuścił się duński minister Tom Hoeyem – umieścił tam flagę duńską i napis „Witamy w Danii”, a obok zakopał butelkę koniaku.



Duńczycy zdobyli wyspę Hansa

Kłótnia przeniosła się nawet do Internetu: dwóch internautów – Kanadyjczyk i Duńczyk – wykupiło w wyszukiwarce Google komunikaty o zwierzchnictwie nad wyspą ich krajów.

Ostatnio duński ambasador w Ottawie Poul Erik Dam Kristensen przyznał, że oba kraje powinny osiągnąć porozumienie przy stole rokowań, a kanadyjskie ministerstwo spraw zagranicznych ogłosiło, że w geście dobrej woli będzie nadal sprzedawać w bufecie ciastka o nazwie Danish pastries. Czy jednak oba kraje nie tracą poczucia humoru, jeśli pod wyspą Hansa odkryte zostaną złoża ropy naftowej lub innych cennych surowców? W 2002 roku Hiszpania i Maroko zatrzymały się o krok od konfliktu zbrojnego o skałę Perejil (dosłownie „pietruszka”) w Cieśninie Gibraltarskiej.

(RYB)

ZAMACH I LINCZ

IZRAELSKI DEZERTER OSTRZELAŁ AUTOBUS NA PÓŁNOCY IZRAELA. ZGINĘŁO CZTERECH ARABÓW

19-letni napastnik Eden Natan Zaada został zlinczowany. Kiedy skończyła mu się amunicja, tłum pobił go na śmierć. W rejon incydentu, do miasta Shfaram, wysłano dwa tysiące żołnierzy. Ariel Szaron potępił atak, nazywając dezertera „żadnym krwi terrorystą”. Podobne oświadczenie wydała rada osadników żydowskich.

Zaada pochodził z osiedla Tapuż na Zachodnim Brzegu Jordanu. Najprawdopodobniej był członkiem ekstremistycznej partii Kach. Kiedy otworzył ogień do Arabów, był ubrany w mundur i jarmułkę.

W połowie sierpnia Izrael rozpoczęła ostateczną ewakuację osiedli żydowskich w Strefie Gazy. Zamachowiec z Shfaram odmówił udziału w operacji ewakuacji Gazy i przed kilkoma tygodniami dezercerował. Władze w Jerozolimie obawiają się kolejnych dezercji i aktów przemocy ze strony przeciwników „oddania żydowskiej ziemi Palestyńczykom”.

(RYB)

SEKTA CZAJNIKA ROZBITA!



Najpierw sektę zaatakowali „nieznani sprawcy”, potem przyjechały buldożery

Władze Malezji zlikwidowały egzotyczny kult, którego wyznawcy modlili się do wielkich obiektów wybudowanych w sercu dżungli, między innymi do gigantycznego czajniczka do herbaty, dzbanka i parasolki oraz wielkiej betonowej łodzi.

Wierni byli przekonani, że woda płynąca ze źródła przez czajnik do dzbanka ma zdolności uzdrawiające i oczyszczające, o czym zapewniał wódz sekty Niebiańskiego Królestwa Ariffin Mohammed, lepiej znany jako Ayah Pin. Mistrz przekonywał też, że każdy ma prawo do własnej drogi do Boga, co przyciągało do jego świątyni wielu zachodnich turystów. Pin nie przeszkadzał nikomu przez 30 lat, ale władze w Kuala Lumpur nabrały nagle wątpliwości, czy muzułmański (w większości) kraj powinien tolerować akty bałwochwalstwa, a szczególnie twierdzenia mistrza Pina o beżpośrednim kontakcie z Bogiem z pominięciem proroka Mahometa. W ubiegły weekend symbole pogodnej religii Niebiańskiego Królestwa w prowincji Terengannu zniszczyły buldożery. Około 50 wyznawców kultu trafiło do sądu oskarżonych o herezję i kontakty z szatanem.

(RYB)

Sklonowany przyjaciel



Snuppy – pierwszy sklonowany pies

Po owcy, byku, myszy, kozie i kilku innych zwierzętach nadszedł czas na psy.

Naukowcy z Narodowego Uniwersytetu w Seulu ogłosili, że udało im się sklonować najlepszego przyjaciela człowieka.

Pies okazał się wyjątkowo trudnym obiektem do takich doświadczeń – zastosowano tu podobną metodę jak przy klonowaniu owcy Dolly. Z komórki pobranej od dorosłego zwierzęcia wyizolowano jądro, które następnie przeniesiono do pozbawionej własnego materiału genetycznego komórki jajowej. Problem w tym, że potrzebna była dojrzała komórka jajowa, a takie bardzo trudno uzyskać od psów. Komórka jajowa psa bardzo wcześniej uwalnia się z jajnika i dojrzewa dopiero w jajowodzie.

Trzeba było ponad tysiąca prób wprowadzenia do dróg rodnych sklonowanych zarodków, by tylko trzy z nich przyjęły się i dalej rozwijały. W końcu dwie cięższe zakończyły się porodem, jednak jeden szczeniak zdechtł w wyniku zapalenia płuc.

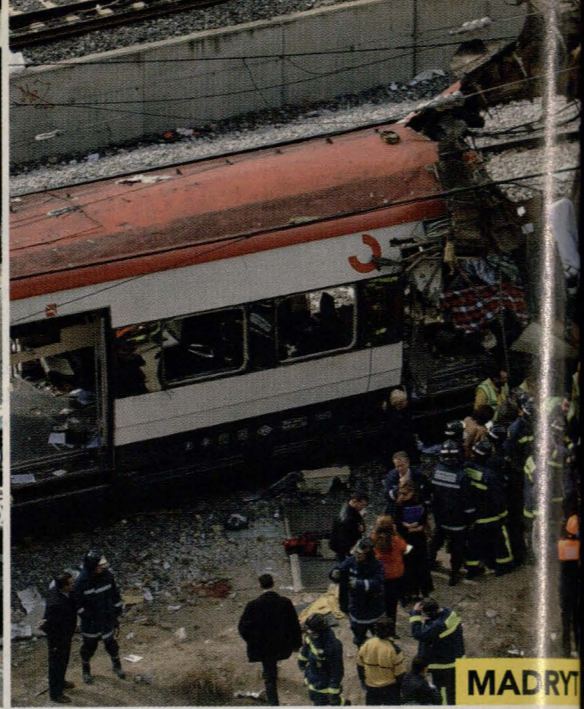
Pierwszy sklonowany pies jest chartem afgańskim i ma na imię Snuppy. To połączenie skrótu angielskiej nazwy Seoul National University ze słowem puppy oznaczającym szczeniaka.

Klonowanie psów ma posłużyć badaniom nad wpływem genów na różnicowanie się ras. Może też przydać się do określenia, w jakim stopniu psy zmieniły się genetycznie na skutek udomowienia i tysięcy lat wspólnego życia z człowiekiem. Zapewne znajdzie się też wielu chętnych, którzy będą chcieli poddać klonowaniu swoje domowe zwierzęki.

(PSTAN)



PARYŻ – 11.09.1995



MADRYT – 11.03.2004



LONDYN – 07.07.2005



Mustafa Setmariam Nasar (na zdjęciu z lat 90.) stworzył nowe pokolenie terrorystów, którzy tak jak on niczym nie wyróżniają się spośród zwykłych Europejczyków. Powyżej: Traktat Nasra o partyzantce terrorystycznej

...I BĘDĄ WYBUCHAĆ DALEJ

MAREK RYBARCZYK

Już wiadomo, że za zamachami w Madrycie i Londynie stoi jeden człowiek. Kiedy pół roku temu opublikował traktat o partyzanckiej wojnie w zachodnich miastach, mało kto się nim przejął. Dziś Europa tropi własnego ben Ladena

W londyńskiej siedzibie brytyjskiego kontrwywiadu MI-5 wisi na ścianie gigantyczny, stale uzupełniany schemat. Pajęczyna fotografii, pseudonimów i dat spotkań przedstawia powiązania kilkuset znanych islamskich ekstremistów w Europie. Jedno ze zdjęć na ścianie wygląda, jakby znalazło się tam przez przypadek. Krępy, rudy mężczyzna o jasnej karnacji, zielonych oczach, ubrany w czarną skórzaną kurtkę wygląda jak Europejczyk. Nazywa się Mustafa Setmariam Nasar. Urodzony w Syrii potomek celtyckich krzyżowców z XI wieku jest na liście najbardziej poszukiwanych terrorystów świata.

To on na początku ubiegłego roku dał sygnał do ataku w madryckich pociągach. Ale to nie koniec. Zaledwie cztery miesiące temu Hiszpanie ostrzegli Brytyjczyków, że w ubiegłym roku Syryjczyk wysłał przez Madryt zaszyfrowane instrukcje do Londynu. Ale MI-5 poruszał się po omacku, w otoczeniu

znanych policji londyńskich ekstremistów nie wskazywało na przygotowania do zamachu. Morderca układanka złożyła się w całość dopiero 7 lipca. Za późno.

TRAKTAT NOWEJ AL-KAIDY

– Nieoficjalnie wiadomo, że Nasar jest jednym z pierwszych na liście podejrzanych o zaplanowanie ataku w Londynie – mówi „Przekrojowi” Paul Beaver, analityk z „Jane’s Defence Weekly”. Dziś jest pewne, że kilka lat temu założył w stolicy Wielkiej Brytanii uśpioną komórkę terrorystyczną. Scotland Yard sprawdza, czy było ich więcej. Zdaniem Amerykanów Nasar wkrótce zostanie ogłoszony emisariuszem Al-Kaidy na Stary Kontynent.

Ben Laden Europy jest kameleonem. Zmienia wygląd niczym Szakal, zongluje kilkunastoma paszportami, w tym jednym prawdziwym, wystawionym w Hiszpanii. Eksperti są zgodni, że Nasar to numer dwa w nowej Al-Kaidzie, który de facto kieruje jej działalnością w Europie.

Mało tego, w grudniu ubiegłego roku Mustafa Setmariam Nasar wydał w Internecie manifest rozpoczętej właśnie kampanii terrorystycznej w europejskich miastach. W „Międzynarodowym Apelu Islamskiego Oporu” na

1000 stronach nawołuje do organizowania zamachów na własną rękę, podaje sposoby prowadzenia walki, budowy bomb i zagrzewa muzułmańskich ekstremistów do walki z Zachodem. „Nasi wrogowie to Żydzi, Amerykanie, Brytyjczycy, Rosjanie i wszystkie państwa NATO, a także każdy kraj prześladowający muzułmanów” – pisze Nasar. „Dżihad może zwyciężyć tylko dzięki atakom terrorystycznym i zdecentralizowanej walce miejskiej”.

Od zamachów w Londynie europejskie służby specjalne intensywnie studiują traktat Nasara. – To biblia terrorystów nowej Al-Kaidy – mówi doktor Ali Nur Zadah, dyrektor Centrum Arabsko-Irańskiego w Londynie i komentator BBC. – Usprawiedliwia terror, prezentuje obraz cywilizacji Zachodu jako siły niszczącej ziemię, która odbiera ropę muzułmanom i rujnuje ich kulturę. To nowa, chwytliwa ideologia.

PIEWCY NIENAWIŚCI

Mustafa Setmariam Nasar to prawdziwy Europejczyk. W połowie lat 80. przyjechał do Madrytu, gdzie wkrótce potem wziął ślub z nawróconą na islam Hiszpanką, zyskując tamtejsze obywatelstwo.

W połowie lat 90. wyjeżdża do Wielkiej Brytanii. Towarzyszy mu Abu Dahdah, Syryjczyk aresztowany później w Hiszpanii pod zarzutem

rekrutowania zamachowców. Nasar osiada w północnym Londynie i zaczyna indoktrynować młodych muzułmańskich radykałów.

– Widziałem go i słuchałem, jak propaguje terrorizm. Był bardzo wpływowy wśród młodych. Informowałem o tym policję, ale bezskutecznie – wspomina w rozmowie z „Przekrojem” Ali Nur Zadah. Nasar nie był jedynym siewcą nienawiści, jacy wówczas bezkarnie głosili dżihad w „Londonistanie”. Najsłynniejszy, Abu Hamza – imam z hakiem zamiast ręki, którą stracił w Afganistanie – stanie przed sądem dopiero wtedy, gdy w londyńskim metrze wybuchną pierwsze bomby.

W Londynie Nasar trzyma się z dala od kłopotów. Pozornie jest człowiekiem idei, pracuje jako redaktor ekstremistycznego arabskiego dziennika „Al Askar”. Po cichu doskonali inną profesję – oficera terrorysty Al-Kaidy. Podróżuje po Europie, zakładając uśpione komórki organizacji we Francji, Włoszech i w Hiszpanii. Część z nich do dziś czeka zapewne na sygnał do ataku. W 1995 roku jego nazwisko wpływa w śledztwie po zamachach w paryskim metrze. Brytyjczycy aresztują go, ale szybko zwalniają.

Czując, że jest obserwowany, w 1998 roku Syryjczyk emigruje do Afganistanu. Organizuje tam obozy dla terrorystów. Specjalizuje się w materiałach wybuchowych, broni chemicznej

i truciznach. Szkoli między innymi młodych brytyjskich muzułmanów, którzy słuchali wcześniej jego przemówień w Londynie. Tam jego trop się urywa. Podobno nawiązuje bliską znajomość z Abu Musabem al Zarkawim.

Przez cztery lata od zamachów z 11 września Nasar robi karierę w Al-Kaidzie. Kiedy w 2002 roku zbiera się szura organizacji ben Ladena, to on prowadzi obrady w zastępstwie głównego terrorysty. – Argumentował, że Baza nie może dalej istnieć jako organizacja hierarchiczna, musi się przekształcić w luźną siatkę – twierdzi dziś hiszpański sędzia Baltasar Garzon, który przesłuchiwał członków europejskiej odnogi Al-Kaidy.

SPEŁNIONY KOSZMAR

Przez ostatnie cztery lata zachodni politycy chowali głowy w piasek, łudząc się, że po interwencji w Afganistanie Al-Kaida nie zdoła przeprowadzić dużego ataku na Zachodzie. Madryt uważali za wyjątek, ignorując jednocześnie ostrzeżenia służb o rosnącym zagrożeniu ze strony ekstremistów w Europie. Aż nadszedł 7 lipca.

Wiele ustaleń londyńskiego śledztwa, które zaszokowały brytyjską opinię publiczną, dla ekspertów od terroryzmu nie były żadną niespodzianką. Zamachy w Londynie to ostateczny

4 czerwca. Przyszli zamachowcy z Londynu podczas integracyjnego spływu w Walii. Z przodu po prawej samobójca z 7 lipca Shahzad Tanweer. Za nim Mohammad Khan, który podłożył bombę na londyńskiej stacji Edgware Road



Fot. TONY SPENCER/MIRROR PICTURE

Brytyjski MI-5 obawia się kolejnych zamachów. W Wielkiej Brytanii jest kilka lub kilkanaście komórek nowej Al-Kaidy, które czekają na rozkaz do ataku

dowód, że Al-Kaida nie tylko przetrwała, ale przepoczwarzyła się zgodnie z koncepcją Nasara. – Stara hierarchiczna Al-Kaida niemal skonała. Mamy teraz nowe zagrożenie w postaci ekstremistycznego ruchu, który trudniej śledzić – mówił komentator NBC Roger Cressey, były urzędnik służb antyterrorystycznych USA.

NARODZINY TERRORYSTY

Mechanizm narodzin nowego terrorysty obserwowano wiele razy doktor Zadah. – Młodzi brytyjscy muzułmanie określane przez Anglików pogardliwym mianem „paki” albo „śmierdzące czamuchy” żyją w głębokiej frustracji. Nie mają też szans na dziewczynę ani z własnej, tradycyjnej społeczności, ani na Angielkę – mówi Zadah.

Sfrustrowani zaczynają uprawiać sport, chodzić na siłownię. Tacy 17-latkowie padają łupem ekstremistycznych imamów. Otrzymują wykład o raju i dziesiątkach gotowych do seksu pięknych dziewczyn, nagrodach, które czekają ich, jeśli włączą się do dżihadu. – Czytałem takie broszury z przerażeniem i taka prostacka indoktrynacja nie jest przesadą – podkreśla Zadah.

Tzeci etap to wykład na temat okrucieństwa cywilizacji zachodniej. Tu koronnym argumentem jest Irak. W młodych ludziach rośnie gniew. Wyjeżdżają na szkolenie do Pakistanu. To ostatni etap, potem wystarczy tajne hasło od zwierzchnika z Al-Kaidy. Ile takich grup czeka na rozkaz? MI-5 obawia się, że tylko w Wielkiej Brytanii jest ich kilka, może nawet kilkanaście.

– Stany Zjednoczone wygrywają wojnę z Al-Kaidą, ale przegrywają z terroryzmem. Przyczyną jest Irak – tę celną uwagę wypowiedział anonimowo w wywiadzie dla amerykańskiej stacji

NBC brytyjski dyplomata w Waszyngtonie. Irak i Palestyna to główne przyczyny podjęcia walki zbrojnej, jakie podają młodzi ekstremiści aresztowani w Pakistanie i Wielkiej Brytanii. Propagandowy wpływ irackiej interwencji na siłę oddziaływania Al-Kaidy uznały oficjalnie prestiżowy brytyjski instytut geopolityczny Chatham House i CIA. Ta ostatnia określa napływ nowych rekrutów do siatki krótkim sformułowaniem: *bleed back* – „zapłata za krew”, oczywiście tę rozlaną w Iraku.

Rozmiarów siatki nie zna nawet sam ben Laden – to suma kontaktów w notesach i na przenośnych twardych dyskach setek jej bojowników. – Nową Al-Kaidę stworzyła suma czynników: głębokie niezadowolenie muzułmanów z polityki USA na Bliskim Wschodzie, rozpowszechnienie artykułów o budowie bomb w Internecie oraz większa zdolność nowoczesnych niereligijnych islamistów do wtopienia się w zachodnie społeczeństwo – uważa dziennikarz BBC i autor nowej serii filmów o Al-Kaidzie Peter Taylor.

Zamachowcy z Madrytu należeli do tajnej sekty Takir wal Hidra uznającej, że dla skutecznego dżihadu muzułmanie mogą pić alkohol, nosić krótkie włosy i zachodnie ubrania. W takim przebraniu święty wojownik dżihadu jest nierozpoznawalny. Poza tym handlując narkotykami, zatruwa zachodnie społeczeństwo i może gromadzić fundusze na środki wybuchowe. Grupa ma-

drycka wymieniła 32 kilogramy haszyszu na 110 kilogramów dynamitu.

AL-KAIDA W IRAKU

Londyn z milionem muzułmanów jest dziś miejscem wojny na raty. Państwo brytyjskie chce uchronić stolicę przed kolejnym atakiem, ale nawet policja wie, że przed wrogiem znajdującym się wewnątrz twierdzy nie ma skutecznej obrony. Schemat wiszący w MI-5 jest imponujący, ale w dużej mierze powstał po udanych zamachach terrorystów. Francja, a także Anglia deportują ekstremistycznych imamów, ale nie mogą zamknąć Internetu. „Encyklopedię dżihadu” – liczący 12 tysięcy stron ideowy i wojskowy instruktarz terroryzmu – każdy może ściągnąć na własny komputer.

Al-Kaida codziennie pozyskuje nowych ochotników. Najodważniejsi jadą walczyć do Iraku, dwóch obywateli brytyjskich wysadziło się już w Izraelu. Teraz przyszła kolej na ataki w nowej ojczyźnie. I będzie ich więcej, jak zapowiada następca ben Ladena. Ci, którzy wracają z Iraku żywi, zakładają w Europie nowe komórki. A pieniądze na bomby? – Może mi pan wierzyć, tego muzułmanom nie brakuje – mówi Ali Nur Zadah.

MAREK RYBARCZYK

O PSYCHOLOGII TERRORYSTÓW-SAMOBÓJCÓW CZYTAJ NA STRONIE 60.



Złożony lek roślinny w tabletkach immunomodulujący, przeciwzapalny, antyoksydacyjny

PADMA 28 niezwykły lek na krążenie

Nie czekaj! Stosuj PADMĘ 28...

...OD DZISIAJ,

jeśli czujesz mrowienie i drętwienie rąk i nóg, marzną Ci stopy i dłonie; jeśli podczas chodzenia czujesz ból stóp i łydek, męczysz się wchodząc po schodach i jeśli musisz się zatrzymać, aby odpocząć.

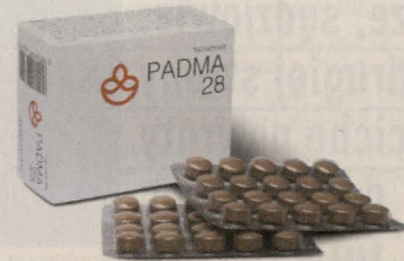
...KONIECZNIE,

jeśli jesteś po zawale, po udarze mózgu lub gdy masz stwierdzoną chorobę niedokrwienną serca.

...SZCZEGÓLNIE,

gdy masz cukrzycę lub palisz papierosy, masz nadciśnienie, wysoki poziom cholesterolu.

Padma 28 dostępna jest w aptekach i sklepach zielarskich bez recepty, w opakowaniach 60 i 100 tabletek.



TYMOPARM TEL. (0-22) 646 02 38, 849 74 33, www.tymofarm.pl

Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych i dawkowania, informacje dotyczące stosowania produktu leczniczego, bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

Co to jest Padma 28?

Padma 28 jest lekiem naturalnym, wytwarzanym w Szwajcarii według tradycyjnej receptury tybetańskiej. W jej skład wchodzi 20 ziół leczniczych.

Dlaczego Padmę 28 – znany lek na odporność, należy stosować w chorobach krążenia?

Ponieważ udowodniono, że ważnym elementem rozwoju chorób krążenia, w tym miażdżycy, są właśnie zaburzenia odporności oraz stany zapalne w ścianach naczyń.

Na czym polega wyjątkowe działanie Padmy 28 w chorobach krążenia?

Padma 28 jest jedynym lekiem, który wzmacnia odporność i działa silnie przeciwzapalnie, a jednocześnie wpływa ochronnie i odżywczo na naczynia, reguluje ciśnienie tętnicze krwi, obniża poziom trójglicerydów i „złego” cholesterolu, zmniejsza ryzyko zakrzepów i zatorów.

Kiedy można spodziewać się poprawy?

Pierwsze efekty pojawiają się po około 6 tygodniach, a najlepsze wyniki leczenia w chorobach krążenia uzyskasz po co najmniej 16 tygodniach jej stosowania. Czas ten jest niezbędny, aby łagodnie działające substancje roślinne mogły przynieść oczekiwany efekt leczniczy.

Jak należy stosować Padmę 28?

Kurację należy rozpocząć od 1-2 tabletek 3 razy dziennie. Po uzyskaniu wyraźnej poprawy, dawkę Padmy 28 można zmniejszyć do 2 tabletek dziennie, przed południem. Padma 28 jest bezpieczna, nie daje objawów ubocznych nawet przy długim stosowaniu i można ją zażywać równocześnie z innymi lekami.



Już w księgarniach!

Letni moduł

Zamów moduł reklamowy, czarno-biały, kolorowy. Moduł zamów jeszcze latem, a otrzymasz go z rabatem ;)

Grażyna Janiak

(0-22) 584 21 72

grazyna.janiak@edipresse.pl



DOMY NA SPRZEDAŻ

w Łukęcinie k. Poblerowa (091) 381 26 88
na zamkniętym, całorocznym (091) 0695 236 400
dozorowanym osiedlu (091) 0695 236 405
gotowe do zamieszkania, (091) 0695 236 417
własność notarialna

www.DomyNadMorzem.pl

KIWANIE PO CZESKU

Z jeden strony
– ukarane kluby,
działacze, sędziowie.
Z drugiej strony
– ciche powroty
do czeskiego
futbolu ludzi
skompromitowanych
korupcją

Po ujawnieniu korupcji w polskiej piłce nożnej i aresztowaniach sędziów wydawałoby się, że najbliższy sezon obędzie się bez „drukowania” meczów. Tymczasem Czesi już od dwóch lat zmagają się z korupcyjną aferą na pierwszoligowych wyżynach. Policja zebrała niezbita dowody i przekazała je prokuratorom, przed sądami toczą się postępowania karne, związek piłkarski porządkuje szeregi, kluby ujawniają finanse. – Teraz już wszystko będzie cacy, żadnych łapówek – podobnie jak w Polsce cieszą się jedni. – Nic się nie zmieniło! – zauważają drudzy.

KAWA NA ŚWIĘTA

Męska przyjaźń zna nie tylko przekleństwa. – Ahoj, Milanku! Ciao! Nie przeszkadzam! Mogę ci zabrać jeszcze chwileczkę? – to dyrektor Viktorii Žižkov Ivan Hornik dzwoni do sędziego Milana Šedivego.

Jest 21 listopada 2003 roku, godzina 19.19. Dzień później Šedivý ma być głównym arbitrem w spotkaniu Viktorii Pilzno z Sigmą Olomuniec. Porażka piłkarskiej Viktorii poprawiłaby pozycję žižkowskiej Viktorii.

– Potrzebowałbym, chłopie, żebyś im nie dał ani deka. Chcę ci powiedzieć, że mam na to kilo. Dam 30-halerzówkę temu Vlčkowi, a 70 dam tobie, w porządku?

Vlček był obserwatorem meczu, trzeba więc zapewnić sobie także jego przychylność. Oczywiście halerze, o których mowa, to czysty gryps. „Kilo” to sto tysięcy, halerz zaś – tysiąc koron.

Šedivý jakby się wzdragał:

– Hm, myślę, że to zbyt cenne.
– Żebyś miał przynajmniej na kawę na święta. Mówię ci to wprost, chłopie.

– Jasne, jasne.

Teraz zaś Hornik chce jeszcze, by sędzia dał żółtą kartkę jednemu z graczy z Pilzno:

– Smišek, chłopie, ten napastnik.
– To drań.

– Jeśli będzie marudzić, chłopie, wlep mu ją. Byłaby czwarta i na wiosnę by nie wystąpił.

– Aha, przeciw wam, nie?

– Byłby więc przeciw nam wywołony – uciekł się dyrektor z Žižkova.

– Tak, ten, pamiętam go. Właściwie to gwizdałem dla was, nie? Tak, wiem, o kogo chodzi, no wiem. To tak, Ivanku, słuchaj: trzymam kciuki, a jutro się zdzwonimy.

Rozmowę nagrała czeska policja, a rodakom ujawniła ją redakcja czeskiego dziennika „Mlada Fronta Dnes”. I choć Šedivý rzeczywiście nazajutrz „wywołał” Smiška, rozmowa na dowód nie starczyła. Prokuratura nie wniosła przeciw niemu żadnego oskarżenia.

Zdawać by się jednak mogło, że wystarczą Czeskomorawskiemu Związkowi Piłki Nożnej CzMFŠ. Może nie na to, żeby karać, lecz by usunąć winnych z oczu kibiców. Jakież więc było zdziwienie redaktora sportowego wspomnianej gazety Filipa Saivera, gdy na liście arbitrow na tegoroczny sezon ujrzał nazwisko



Jan Obst pozostaje szefem czeskomorawskiej federacji piłkarskiej, bo delegaci od kwietnia próbują wybrać nowego prezesa. Obst chce więc biernie na kolejne wybory we wrześniu i zapowiada, że to jego następca ma przynieść pomysł na ukrócenie korupcji w czeskiej piłce



Skorumpowani sędziowie (od lewej): Stanislav Hruška, Josef Dvoraček i Bohuslav Kratky. Wpadli, bo policja podsłuchiwała ich rozmowy z działaczami i zatrzymywała z wręczonymi łapówkami



Pozorna walka na boisku rozstrzygana była dużo wcześniej podczas tajnych spotkań na obrzeżach miast i szyfrowanych rozmów telefonicznych. Najwyższe kary poniosły za to kluby Victoria Žižkov i FC Synot. Zdjęcie z meczu między tymi drużynami

KARNY ZA PIĘCSETKĘ

Kilka miesięcy wcześniej, jesień roku 2003. W Libicach nad Cidliną miejscowa trzecioligowa drużyna gra z Velenicami. Krótco przed końcem meczu goście wyrównują na 3:3. Mija 90. minuta, a sędzia nie gwizdże. Kibice przyjezdnej drużyny protestują, ale arbiter nie zwraca na nich uwagi. Gospodarze naciskają. W setnej minucie ich napastnik pada przed bramką przeciwnika. Sędzia zarządza karny dla gospodarzy, a gdy pada gol, odgwizduje wreszcie koniec spotkania. Pod gradem wyzwisk zmyka do szatni, by tam skasować uzgodnione wcześniej 500 koron. – To było straszne – mówi i domaga się dopłaty. Nie wie, że scenę utrwala ukryta kamera.

To 33-letni szef libickiego klubu Radek Vania namówił dziennikarza czeskiej telewizji, by w ten sposób ujawnić ciemne praktyki, których świadkiem jest od lat. Wspólnie podejmują jeszcze dwie próby. Dwaj następni sędziowie ochoczo przyjmują po 500 koron – to nawet mniej niż 70 złotych – za każde zamówienie.

ZARŻNĄ JAK PROSIAKA

Reportaż nie zrobił większego wrażenia na działaczach. – To była trzecia klasa, tego nie możecie porównywać z futbolem profesjonalnym – powiedział redaktorowi tygodnika „Respekt” były reprezentant, a obecnie agent piłkarski Julius Bielik. – Korupcja? To knajpiane gadanie, twierdzenia bez dowodu – drwił szef praskiej Sparty Vlastimil Košťál.

Final? Dyscyplinarna komisja związku piłkarskiego ukarała wszystkich trzech arbitrow dwuletnim zakazem sędziowania, ale także... Vanię 10-miesięcznym zakazem gry. Korumpując, wpłynął przeciw na wynik meczów. Piłkarz się odwołał i znów przegrał. Zakaz został uchylony dopiero na szczelbu krajowym.

Ale Vania też wygrał. Zyskał uznanie tych, którzy walczą z korupcją. Czeska filia Transparency International zgłosiła jego kandydaturę do przyznawanej od 2000 roku za nadzwyczaj-



DWUZNACZNY BILANS

Bilans korupcyjnej afery w Czechach jest całkiem okazały. Związek futbolowy ukarał w ciągu roku od przyłapania Hastika i Hruški:

- pięć klubów: Synot stracił 12 punktów (najwyższy wymiar kary) i pół miliona koron (ale przetrwał w pierwszej lidze, choć pod zmienioną nazwą), Viktoria Žižkov – 12 punktów (spadła do drugiej ligi), Vitkovice – 10, Slovan Liberec i Slezsky FC Opava – po 6;
- dziewięciu działaczy (w tym wiceszefa związku i szefa kolegium sędziowskiego Milana Brabca oraz najbardziej aktywnych w korumpowaniu szefów klubów – Ivana Hornika i Jaroslava Hastika);
- czternastu sędziów;
- pięciu obserwatorów.

ne dokonania w walce z korupcją światowej nagrody Integrity Award.

Znane dziś podsłuchy pochodzą jeszcze sprzed dnia emisji reportażu z Libic. I tak na przykład dwa dni wcześniej, 22 listopada 2003 roku o 10.40, policja nagrała rozmowę szefa Synotu Hastika z sędzią Vaclavem Zejdlem. Za wpłynięcie na wynik meczu Blszany-Synot Hastik proponował 120 tysięcy koron. I rzeczywiście, jego klub wygrał. 2 grudnia o 13.38 na podziemnym parkingu w Pradze na Smichowie Zejdl skasował umówioną kwotę, a o 18.47 zadzwonił do kolegi Jaromira Hlavača, by ten połowę łapówki podzielił między sędziów Bohuslava Kratkiego i Josefa Dvoračka oraz obserwatora Pavla Spiška.

Stawki były różne. W pierwszej lidze zaczynały się od 100 tysięcy, ale pod koniec sezonu, gdy szło o być albo nie być, mogły sięgać i 300 tysięcy. Dzielone na trzech sędziów i jednego obserwatora dawały całkiem przyzwoity dzienny zarobek, od 25 do 75 tysięcy koron (3,5 do 10,5 tysiąca złotych). Nieopodatkowany oczywiście.

A na przykład – jak u Hornika – żółta kartka jest za dychę. – Na niższych szczeblach jest jak w Palermo. Za kiełbasę zarzną tam pana jak prosiaka – powiedział w jednym z wywiadów były reprezentant Czech Ladislav Vizek.

AURELIUSZ M. PĘDZIWOŁ

Ballada O PRODUCENCIE

Każdy w branży to przyzna: walka na rynku produkcji telewizyjnych nie różni się zbyt od walki na ringu. Oto opowieść o **TOMASZU KURZEWSKIM** – Andrzeju Gołocie polskiego przemysłu telewizyjnego. Takim Gołocie, który nigdy nie przegrywa

MARCIN FABJAŃSKI

Scena 1.

Plener. Zjazd organizacji SPARKS (skupia dużych niezależnych producentów TV z Europy) – dzień. Producenci siedzą na krzesłach przed studiem filmowym, po kolei opowiadają o swoich najlepszych produkcjach.

PRODUCENT Z WŁOCH
(do wszystkich)

Właśnie nagrywamy w Polsce teleturniej „Gra w ciemno”. Świetny sprzęt, idzie szybciej niż u nas, a jakie niskie stawki.

PRODUCENT Z BELGII
(do wszystkich)

Robiliśmy w Polsce reality show „Królestwo” na szwedzkiej licencji. Polacy są znakomici. Wrócimy tu z kolejnymi produkcjami.

(Producent ze Szwecji pochyla się do ucha producenta z Holandii.)

SZWED

(szepcem po angielsku)

Ci Polacy to muszą być Niemcy w przebraniu.

Ludzie z branży mówią:

Tomasz Kurzewski, prezes firmy ATM: – Spotkanie SPARKS w czerwcu tego roku było dla nas

świetną reklamą. Teraz czekamy na kilka kolejnych poważnych zamówień z Zachodu. Sprzęt mamy co najmniej równie dobry: technologie oparte na niebieskim laserze, 12-kamerowy cyfrowy wóz, trzy ogromne studia, a jesteśmy wielokrotnie tańsi. Właśnie budujemy studio o powierzchni 2500 metrów kwadratowych – powstanie jedno z największych centrów produkcyjnych w Europie.

Były operator kamery z ATM, anonimowo: – Ta firma produkuje tanio, bo płaci głodowe stawki ludziom takim ja ja. Za dzień pracy przy reality dostajemy 200 złotych brutto, nasi koledzy w Warszawie pięć stów. Główny operator serialu dostaje 600 złotych za dzień, też o wiele mniej niż w Warszawie.

Tomasz Kurzewski: – Na Zachodzie jest socjalizm, my mamy kapitalizm. Nasi ludzie pracują wydajniej.

Dorota Kurzewska, wiceprezes zarządu, żona Tomasa: – W Nowej Zelandii kręcono niedawno program na naszej licencji „Awantura o kasę”. Nasza ekipa przeżyła szok. Ten teleturniej polega głównie na grze na emocjach. A tam o godz. 13.45, kiedy właśnie zaczyna coś iskrzyć

między uczestnikami, pika nagle zegarek operatora. Facet wyłącza kamerę i odchodzi, bo ma gwarantowaną przerwę po dwóch i pół godzinie pracy. U nas to nie do pomyslenia.

Scena 2.

Plener – ulice Wrocławia. Noc. Patrol policyjny z psami ściga jakiegoś przestępcę. Obok jedzie radiowóz. Na tylnym siedzeniu Tomasz Kurzewski z kamerą VHS. Na plecach akumulator połączony kablami z żarówkami, które oświetlają scenę. Pies policyjny staje bezradnie pod murem radzieckiej jednostki wojskowej.

PIERWSZY POLICJANT

No to możemy zapomnieć o złapaniu faceta.

(Drugi policjant głaszcze psa.)

DRUGI POLICJANT

Będzie dalej dźgał nożem ludzi po parkach.

(Z radiowozu wyskakuje Tomasz Kurzewski.)

TOMASZ KURZEWSKI

Cholera!

Tomasz Kurzewski przekręca głowę do tyłu. Płyn z akumulatora domowej roboty rozlał się i wypalił dziurę w spodniach. Na siedzeniu radiowozu też.

Tomasz Kurzewski stawał w przeszłości za kamerą, ale uznał, że inni mają do tego większy talent. Teraz spełnia się jako producent

Ludzie z branży mówią:

Dorota Kurzewska: – Na ostatnim piętrze akademika Akademii Rolniczej mieliśmy składzik na farby, mąż malował wtedy suwnice i dźwigi w fabryce domów. Pewnego dnia, w roku 1989, przyszło paru facetów. Kazali zabrać farby, bo montują nadajnik telewizyjny.

Tomasz Kurzewski: – Administrator dał nam inne pomieszczenie, na parterze. Ucieszyliśmy się, że nie trzeba będzie dźwigać farb. A że jesteśmy z natury ciekawscy, poszliśmy zobaczyć, co to za cyrk z tym nadajnikiem...

Dorota Kurzewska: – No i przyjęli nas do pracy w telewizji Echo – pierwszej prywatnej stacji w Europie Wschodniej. Program robiliśmy z naszego pokoju w akademiku. Przyjeżdżały zachodnie ekipy telewizyjne, żeby robić o nas materiały. Filmowali nasz pokój i pytali: a gdzie reszta – studia, reżyserka? Reszty nie było, a wrocławianie i tak kochali tę telewizję. Tomek robił po nocach reportaże do programu „Wrocławscy gliniarze”. Ja byłam prezenterką.

Tomasz Kurzewski: – Lubię historie kryminalne.

Marek Myszczyński, właściciel firmy produkcyjnej Cross Film z Wrocławia, dawny wspólnik Kurzewskiego: – Jego ojciec jest prokuratorem.

Tomasz Kurzewski: – Całe noce spędzałem w radiowozach. Akumulator wymontowałem z motocykla WSK, halogen kupiłem w Berlinie Zachodnim i miałem oświetlenie. To była ekscytująca praca. Ale potem w telewizję Echo zainwestował konserwator Berlusconiego. To przestało być miejsce dla nas. W lutym 1992 założyłem z dwoma wspólnikami firmę ATM.

Marek Myszczyński: – Kiedy odszedł jeden ze wspólników, Tomek zaproponował mi jego udział za pięć tysięcy dolarów. W czasie jednej rozmowy roztoczył taką wizję, że poczułem: za parę miesięcy będę milionerem. To niesamowite, jak on umie przekonywać ludzi.

Tomasz Kurzewski: – Kiedy przenieśliśmy „Gliniarzy” z telewizji Echo do trzeciego programu TVP, zażądałem dwa razy wyższego honorarium. Zgodzili się z oporami. Pieniądze za cały cykl przyszły w tydzień. A potem przychodziły jeszcze przez siedem kolejnych tygodni, po każdej emisji programu. Ja myślałem, że negocjuję cenę ośmiu programów, przedstawiciele telewizji – że cenę jednego odcinka.

Scena 3.

Plener. Mała plaża nad jeziorem – wieczór. Marek Myszczyński pluska się radośnie w wodzie. Na brzegu na kocu leży Tomasz Kurzewski. Wokół niego piramidy książek. Same poradniki biznesowe. Marek Myszczyński wychodzi z wody. Sięga po ręcznik.

MAREK MYSZCZYŃSKI
(do Tomasza Kurzewskiego)

I po co to czytasz? Przecież te poradniki to amerykański chłam. Niczego się z nich nie nauczysz.

Kurzewski nie odpowiada. Odrywa na chwilę oczy znad książki, patrzy na Myszczyńskiego nie widzącym wzrokiem.

Nie przekraczamy pewnych barier. W „Barze” była para, która uprawiała seks od pierwszego dnia, na okrągło. Nie pokazaliśmy tego

Ludzie z branży mówią:

Marek Myszczyński: – Jechaliśmy z Wrocławia w Lubuskie moim oplem i jego dacią, którą odkupił od Zygmunta Solorza. Latem 1992 w każdym miasteczku stały stojaki z poradnikami typu „Jak odnieść sukces w biznesie”. Stawaliśmy w kilku miasteczkach, a on w każdym kupował po kilka poradników. Przez dwa tygodnie nad jeziorem przeczytał wszystkie – od deski do deski. Oczy miał zamglone, jakby się trawy najarał.

Tomasz Kurzewski: – Chłonałem te poradniki. Wcale nie były bez sensu – do dzisiaj stosuję kilka rad: „Rób tylko to, co lubisz najbardziej” albo „Skuteczne rozwiązania są proste”.

Znajomy Kurzewskiego, anonimowo: – Szliśmy załatwiać kontrakt do telewizji, Tomek z jednym z poradników pod pachą. Mieliśmy rozmawiać z jakąś kobietą. Tomek zacytował zagajenie biznesowe z podręcznika i dodał, że tak się do niej odezwie. Ona odpowie tak – znowu zacytował z podręcznika, a ja wtedy powiem tak – zacytował kolejne zdanie. I kontrakt jest nasz. Pokiwałem głową z pobłażaniem. Wchodzimy, on wali to swoje zdanie, a kobieta odpowiada jak w podręczniku. Szczęsa mi opadła. Kontrakt był nasz.

Dorota Kurzewska: – Dla telewizji publicznej robiliśmy głównie filmy dokumentalne. Trzeci program kupił „Wrocławskich gliniarzy”. Rynek był jeszcze młody. Na szczęście w roku 1993 pojawił się Polsat, potem TVN. Do Polski weszły ze swoimi licencjami i kapitałem wielkie firmy produkcyjne z Zachodu takie jak Endemol.

Tomasz Kurzewski: – W roku 1995 zostałem prezesem Telewizji Dolnośląskiej. Potem stawiałem na nogi telewizję TV4. I zarządzałem stacjami Polsatu na Litwie, w Łotwie i Estonii. ATM prowadziła żona i to były bardzo dobre lata w rozwoju naszej firmy.

Dorota Kurzewska: – obroty rosły o sto procent z roku na rok.

Andrzej Baworowski, dawniej prywatny producent, zajmuje się w ATM wdrażaniem nowych projektów: – W roku 1997 robiliśmy wspólnie z Tomkiem programy do telewizji publicznej. ATM, spółka z o.o., nie wyróżniał się wtedy wśród innych wrocławskich firm. W styczniu 1998 roku Tomek powiedział, że chce zbudować studio o gabarytach, które zabrzmiały dla mnie



Nieistniejące piwo Mocny Full stało się znaną marką dzięki produkowanemu przez ATM sitcomowi „Świat według Kiepskich”

kosmicznie. Uznałem, że to dla mnie za dużo. Odszedłem. Spotkaliśmy się przypadkiem w grudniu 2004 roku. Mnie jakoś szło, ale nie byłem zadowolony ciągłymi dojazdami z Wrocławia do Warszawy, on miał firmę wartą jakieś 160 milionów złotych. Dzisiaj pracuję u niego.

Scena 4.

Wnętrze. Studia stacji Nasza Telewizja – dzień. Ochroniarze patrolują budynek – chodzą po

SZTANDAROWE PRODUKCJE ATM
„Świat według Kiepskich” – pierwszy polski sitcom, opowiada o rodzinie tak beznadziejnej, że nawet przeciętna polska rodzina za telewizorem może patrzeć na nią z wyższością. Właśnie schodzi z ekranu.

„Życiowa szansa” – teleturniej wiedzy ogólnej, który poblił popularnością słynnych w świecie „Milionerów”.

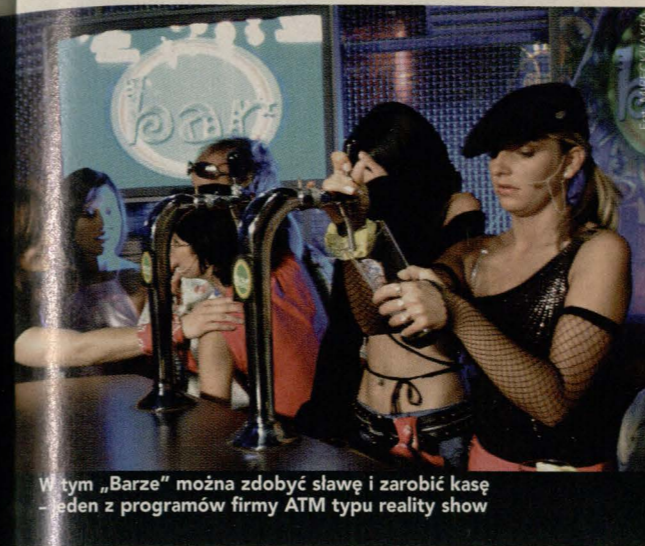
„Zerwane więzi” – program o osobach, które utraciły kontakt z bliskimi i próbują ich odszukać za pośrednictwem redakcji.

„Dwa światy” – dwunastka uczestników tego reality show przez tydzień pławi się w luksusie, a gdy zaczynają sądzić, że tak będzie do końca, zostaje przeniesiona do surowego, wiejskiego domu.

„Bar” – interaktywne widowisko rozrywkowe zawierające elementy między innymi reality show i telenoweli dokumentalnej. Ludzie z całej Polski zjeżdżają się do Wrocławia, żeby odnieść sukces towarzyski.

ATM sprzedał już licencję „Gry w ciemno” Włochom i sprzedaje właśnie Ukraincom. Licencję „Awantury o kasę” kupili producenci z Nowej Zelandii. Kupno tego teleturnieju rozważają już Włosi, Francuzi, Portugalczycy i Hiszpanie.

Na zamku w Grodźcu ATM rozpocznie niedługo kręcenie dla Rosjan reality show „Królestwo” – programu na szwedzkiej licencji. 15 uczestników walczy w nim o pieniądze i władzę (ma przyjechać podobno sam przywódca rosyjskich nacjonalistów Władimir Żyrinowski). Na tym samym zamku biło się już o to samo 15 Szwedów, Francuzów i Belgów.



W tym „Barze” można zdobyć sławę i zarobić kasę – jeden z programów firmy ATM typu reality show

korytarzach, pełnią wartę w niewygodnych miejscach. Słychać pisk opon podjeżdżających aut. Do środka wchodzi Tomasz Kurzewski na czele grupy innych ochroniarzy. Obie grupy stają naprzeciwko siebie.

TOMASZ KURZEWSKI

Według prawa jestem jedynym prezesem tej spółki, przejdźcie na naszą stronę.

(Ochroniarze studia wpuszczają Kurzewskiego, pracownicy telewizji wychodzą z kątów, w których pochowali się przed bitwą. W kilku miejscach szczękają niszczarki dokumentów.)

TOMASZ KURZEWSKI

Zostawcie papiery w spokoju. Za ich niszczenie czeka was sąd.

Ludzie z branży mówią:

Tomasz Kurzewski: – W czerwcu 1999 zostałem wyznaczony przez Zygmunta Solorza na dyrektora Naszej Telewizji. Ale poprzedni dyrektor nie chciał ustąpić. Trzeba było wykazać trochę charakteru. Miałem o połowę mniej ochroniarzy niż on, ale ubrałem ich starannie – wyglądali naprawdę groźnie.

Dorota Kurzewska: – W roku 1999 Polsat ogłosił przetarg na pierwszy polski sitcom. Wygraliśmy razem z dwoma innymi firmami i tak powstał „Kiepscy”.

Marek Myszczyński: – Nikt nie chciał czegoś takiego reżyserować. Zgłosił się Okil Khamidov, operator z Tadżykistanu. Ten człowiek jest dla mnie przykładem, jak Tomek nagradza ludzi, którzy są mu wierni. Okil pracował przez lata za parę groszy jako asystent operatora. Nigdy nikt nie krytykował, nie domagał się podwyżki. A teraz jest członkiem ATM, jednym z najbogatszych ludzi z tej branży w Polsce.

Waldemar Dziwi, prezes zarządzający TV Polsat: – Tomek jako jeden z niewielu producentów w Polsce sam proponuje nowe idee, formaty, programy. Nie czeka na zlecenia. Stacje telewizyjne takich uwielbiają.

Tomasz Kurzewski: – Mamy w firmie międzynarodowy zespół. Mieszankę artystów z fachowcami od ekonomii. Ale ta branża jest bardziej fabryką guzików niż snów.

Andrzej Baworowski: – Z ośmiu wrocławskich prywatnych producentów telewizyjnych,

którzy startowali na początku lat 90., tylko on stworzył wielką firmę. Nigdy nie odrzuca kontraktów, nawet jeśli pieniądze są za małe dla wszystkich innych. On mówi: „Dobrze, zrobię za tyle”, potem dodaje: „Pod warunkiem że będzie 80 odcinków”.

Waldemar Dziwi: – Tomek to bardzo szczególne połączenie: emocjonalności i wdzięku, które sprawiają, że ma świetny kontakt z ludźmi, oraz nieustępliwości w sprawach biznesowych.

Tomasz Kurzewski: – Dwa razy w roku jeżdżymy na targi filmowe do Cannes. Jako jedyna firma z Polski poza TVP mamy tam swoje stoisko. Widać nas tam. Razem ze szwedzką firmą stworzyliśmy SPARKS – stowarzyszenie największych niezależnych producentów w Europie. Wymieniamy się pomysłami i nie jesteśmy skazani na dyktat wielkich sieci.

Andrzej Baworowski: – Ta firma to nie tylko sprzęt i ludzie, to wizja. Dzisiaj wyjeżdżamy z naszymi produktami w świat. To od nich firmy z Zachodu kupują licencje na programy.

Scena 5.

Plener. Łąka, w oddali las – dzień.

Tomasz Kurzewski spaceruje po swoim prywatnym terenie. Jego wzrok przyciąga mały pagórek. Podchodzi szybkim krokiem. Widzimy świeżo wykopaną mogiłę. Obok leży jeszcze złamana łopata. Kurzewski pędzi do pobliskich budynków, do biura administratora terenu.

TOMASZ KURZEWSKI

Proszę dzwonić po policję, ktoś zakopał niedawno na naszym terenie zwłoki!

ADMINISTRATOR

Spokojnie, panie Tomasz, wczoraj kręcili tam „Falę zbrodni”.

Ludzie z branży mówią:

Tomasz Kurzewski: – Robimy wszystkie gatunki: od filmów fabularnych przez telenowe do reality show, które są najtrudniejsze w produkcji. Ale nie przekraczamy pewnych barier. W „Barze” była para, która uprawiała seks od pierwszego dnia, na okrągło. Nie pokazaliśmy tego. To nie jest eksperyment psychologiczny, tylko rozrywka.

Dorota Kurzewska: – On jest tym, który się cieszy nowymi inwestycjami, a ja tą, która się

martwi, że się nie uda. Jeżdżę do pracy samochodem, on swoim harleyem. Kupił go, żeby nie martwiła się o to, że za szybko jeździ.

Tomasz Kurzewski: – Kiedyś jeździłem na szybszych motocyklach.

Dorota Kurzewska: – Pojazdy go podniecają. Nie mógł się doczekać kupna autobusu gardero-by dla firmy. Sam wybierał model. Podobnie jak wszystkie inne samochody w firmie, łącznie z tirami.

Andrzej Baworowski: – Jak ma przemawiać do 300 pracowników na Nowy Rok, bardzo to przeżywa. Ma autentyczną treść.

Tomasz Kurzewski: – Boję się, że kogoś pominię. Kiedyś znałem wszystkich pracowników, teraz to niemożliwe. Robimy badania nastrojów w firmie, ale wiadomo, że przy tak dynamicznym rozwoju coś zawsze pęka w kontaktach z ludźmi. W ATM średnio miesięcznie odbiera pensje 650 osób. Przebiliśmy obrotemi wszystkich innych producentów, chcemy utworzyć oddział na Ukrainie. Staliśmy się korporacją. Jednocześnie ATM to firma rodzinna. Stryj Doroty jest przewodniczącym rady nadzorczej, moja mama jest w radzie. I przekłada się to, niestety, na życie rodzinne: rozmawiamy w domu o biznesie.

Marek Myszczyński: – On o niczym innym poza biznesem nie myśli.

Andrzej Baworowski: – Gdy tylko wpada mu do głowy jakiś pomysł, zapisuje go w notesie. Jeśli nie zrealizuje go w ciągu tygodnia, to przepi-suje go na następny tydzień. 31 grudnia przepi-suje wszystkie niezrealizowane projekty do nowego kalendarza. Nie rozstaje się z nim. Zdarzyło mi się usłyszeć od niego w rozmowie: „30 sierpnia mówili co innego”. Trzeba uważać, co się mówi.

Tomasz Kurzewski: – Nie zamykam się w sprawach biznesowych. Żeglujemy z rodziną po Bałtyku, budujemy port rzeczny na Odrze. Kupiliśmy zamek, którego wieże w roku 1228 zbudowali templariusze. Teraz to ruina, kiedyś to będzie nasz dom.

MARCIN FABJAŃSKI

Podyskutuj o tym na **onet.pl**

Śmiertelny wróg Aleksandra Łukaszenki ma 31 lat, chodzi w szpilkach i nazywa się ANDŻELIKA BORYS

Dopiero z białoruskiej telewizji Andżelika Borys dowiedziała się, jak jest groźna dla prezydenta Białorusi. Wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że jest elementem amerykańskiej prowokacji. Zresztą prezesem Związku Polaków na Białorusi została przypadkiem. Nie ona miała być szefem, ale Józef Porzecki. Jednak dwa dni przed marcowym zjazdem państwowa władza przyszła po Porzeckiego i go aresztowała. Stawiała bowiem na Tadeusza Kruczkowskiego, prezesa Związku w latach 2000–2004. On był gwarantem, że Związek nie sprzeciwi się Łukaszence i nie zacznie współpracować z białoruską opozycją.

Gdy zamknięto Porzeckiego, Polacy zaczęli namawiać Andżelikę, by spróbowała zatrzymać Kruczkowskiego. – Zgodziłam się – mówi Borys. – A po przegranej głosowaniu chciałam podziękować wszystkim, którzy mieli tyle odwagi, by sprzeciwić się władzy i na mnie głosować.

Bo uważała, że nie sposób wygrać, skoro KGB postawiło na Kruczkowskiego. Nie po to przeprowadzano rozmowy dyscyplinujące z delegatami na zjazd, by miała jakiegokolwiek szansę.

Straszono delegatów zwolnieniami z pracy. A jak człowiek na Białorusi traci pracę, to traci wszystko: mieszkanie (bo najczęściej jest służbowe), przyjaciół (boją się narażać), perspektywy (bo władza dopilnuje, by żadnej innej pracy nie znalazł).

Dlatego wygranej Borys nikt się nie spodziewał: ani ona sama, ani Tadeusz Kruczkowski, ani KGB.

– Ogłosili mnie nowym prezesem, ale zanim jeszcze ministerstwo sprawiedliwości Białorusi unieważniło wybory, przeczuwałam, że długo moja kadencja nie potrwa – mówi prezes Borys.

Z GRZEBIENI W ŚWIAT

Dziadek Andżeliki był Polakiem. Walczył w Legionach Piłsudskiego i bił Sowieców, co pani prezes z dumą podkreśla.

Fot. ADAM TUCHUŃSKI

GROŹNY ELEMENT

Polacy na Białorusi

Według oficjalnych danych na Białorusi żyje 400 tysięcy Polaków. Związek Polaków na Białorusi zrzesza 25 tysięcy osób. Andżelika Borys została szefową Związku podczas białoruskiego zjazdu w Grodnie w połowie marca, gdzie starła się ze swoim poprzednikiem Tadeuszem Kruczkowskim oskarżanym o dyktatorskie metody, zbyt uległość wobec władz, a nawet o... gwałt na studentce. W wyborach Borys otrzymała 132 głosy na 270 możliwych, na Kruczkowskiego głosowało 116 delegatów. Białoruskie władze nie uznały wyniku tego głosowania.



Andżelika Borys jako nauczycielka polskiego ze swoimi uczniami ze szkoły w Odelsku. Tam zauważył ją ówczesny prezes Związku Polaków

Potem pojechał się dorobić. Był górnikiem we Francji. Wrócił z workiem pieniędzy, kupił ziemię w centralnej Polsce. Niestety, w niezbyt dobrym miejscu, bo na samej granicy polsko-radzieckiej, ale to dopiero okazało się po konferencji poczdamskiej i przesunięciu centrum Polski daleko na zachód.

Gospodarstwo rolne Borysów przecięła granica, a wieś Grzebień stała się częścią wielkiego Związku Radzieckiego. Dwie siostry mamy Andżeliki miały więcej szczęścia, bo zamieszkały po drugiej stronie granicy, w Łapach i Sokółce.

W domu dziadków w Grzebieniach mieszkają teraz rodzice Andżeliki: ojciec, który jest kierowcą, i mama, absolwentka grodzieńskiego instytutu rolnictwa. Do Grzebieni nie jest łatwo wjechać, bo wcześniej trzeba uzyskać przepustkę zezwalającą na przebywanie w strefie nadgranicznej.

Ojczystego języka Andżelikę uczyła z książeczki do nabożeństwa babcia Marysia. Polacy zaczęli walczyć o polskie szkoły, własny język i związek dopiero w 1988 roku, gdy ZSRR zaczęła pękać w szwach. Dla Andżeliki to mgliste wspomnienia – miała wtedy 14 lat.

W domu Andżeliki zawsze rozmawiało się po polsku, a ona sama zawsze czuła się Polką. Tak jak jej młodsza siostra Ania (studiuje polonistykę w Toruniu) i starsi bracia Antek (jest przedstawicielem Procter & Gamble w Grodnie) i Wiktor. Ten ostatni jest milicjantem i ma teraz poważne kłopoty z powodu siostry.

Dzięki Związkowi Polaków na Białorusi Andżelika mogła pojechać w 1990 roku na studia do Zamościa i skończyć pedagogikę na Uniwersytecie Warszawskim. W 1993 roku zaczęła uczyć polskiego dzieci w Odelsku. Wystawiała jasełka i historię o Janie i Cecylii Bohatyrówiczach (według Elizy Orzeszkowej). Spodobało się to Tadeuszowi Gawinowi, prezesowi Związku Polaków. Wciągnął ją do pracy społecznej, a potem zaproponował stanowisko w Związku. Mając 24 lata, Andżelika zaczęła szefować pięcioosobowemu zespołowi oświaty. Potem trafiła do zarządu i rady naczelnej. Było to w czasach, gdy Łukaszenko nie dokręcał jeszcze śruby tak mocno jak dzisiaj.

MARIONETKI BANKRUTA

W białoruskiej telewizji Andżelika Borys gra rolę wiedźmy w serialu o polskich marionetkach. Serial jest kryminalny, ale ma wątki szpiegowskie. Jest emitowany co wieczór. Ogólnie jest o Polsce, która – jak wiadomo – jest bankrutem i z tego powodu stała się zaściankiem Europy. Do tej pory wiązałyśmy jakoś koniec z końcem, bo przez nasz kraj szły amerykańskie i unijne pieniądze, za które mieliśmy zdestabilizować sytuację na Białorusi i obalić jej światłą przywódcę.

Plan się nie powiódł, bo władze białoruskie zorientowały się w knowaniach i odsunęły na boczny tor Andżelikę Borys, która odgrywała w tym spisku kluczową rolę. W tej sprawie nie ma żadnych wątpliwości, bo prokuratura dysponuje zeznaniami osób, które wiedzą, że Borys brała w Polsce pieniądze.

Po odsunięciu Borys na stanowisko prezesa po kilku miesiącach przerwy wrócił Tadeusz Kruczkowski. Polacy z Grodna mówią o nim, że jest pacholkiem Łukaszenki i kanałią.

Doktor Kruczkowski, historyk z grodzkiego uniwersytetu, nie do końca zgadza się z tymi zarzutami: – Powstańców styczniowych też początkowo nazywano zdrajcami, a potem okrzyknięto wielkimi patriotami – mówi Kruczkowski, którego do budynku Związku Polaków w Grodnie wprowadziły KGB i OMON po wcześniejszej pacyfikacji i wyprowadzeniu z budynku stronników Andżeliki Borys.

O tym, kto się może z Kruczkowskim spotkać, decyduje dwóch mundurowych stojących przy drzwiach Związku. Wcześniej muszą człowieka wylegitymować. Szans na spotkanie nie mają ci, którzy źle pisali o prezesie.

Tadeusz Kruczkowski jest bardzo zajęty – wspólnie z KGB przygotowuje kolejny zjazd Związku Polaków na Białorusi, który ma się odbyć 27 sierpnia, i wybrać kogoś innego niż Andżelika Borys. Pracy jest mnóstwo, bo nie można sobie pozwolić na taką wpadkę jak w marcu i trzeba wytypować najbardziej świadomych delegatów. Więc działacze Związku jeszcze bardziej się dociska i straszy nieobliczalnymi konsekwencjami w przypadku bojkotu.

W telewizji BT można zobaczyć, że nową politykę prezydenta Łukaszenki popiera coraz więcej osób. Wśród nich są bardzo znani, jak zapewnia białoruska telewizja, polscy politycy, na

przykład kandydat na prezydenta Jan Pyszko czy znany żydożerca Bolesław Tejkowski, który przemawiał do białoruskich telewizorów z portretami Łukaszenki w ręce.

ZWIĄZEK Z M-4

Teraz w Grodnie są dwa związki. Związkiem Łukaszenki kieruje Tadeusz Kruczkowski. A Związkiem Polaków – Andżelika Borys. Po zajęciu siedziby ZPB przez Łukaszenkowców Andżelika prowadzi działalność związkową w swoim M-4 przy Oziorskiej Szosie, w dużym pokoju pod obrazem „Ostatnia wieczerza”.

Tu przyjmuje dziennikarzy, udziela wywiadów i spotyka się z prezesami oddziałów, którzy jeszcze nie poszli na współpracę z Łukaszenkowcami.

Pani prezes pilnuje przez cały czas Igor Bancera i Inessa Todryk, dziennikarze „Głosu znad Niemna”. Zachodzi obawa, że może podzielić los innych członków Związku, którzy w większości siedzą już w areszcie: wiceprezesów Wiesława Kiewlaka i Józefa Porzeckiego, byłego prezesa Tadeusza Gawina oraz dziennikarzy „Głosu znad Niemna” Andrzeja Pisalnika i Andrzeja Poczobuta.

Andżelika jest ostatnią znaczącą osobą z władz ZPB, która jeszcze chodzi wolno, choć i ją próbowano w ubiegłym tygodniu wyluskać z domu. Milicjanci przyszli nocą, walili w drzwi, ale gdy powiedziała, że nie otworzy, nie mieli śmiałości się włamać. – Może pomogło, że nastraszyłam ich dziennikarzami? – zastanawia się.

Od kilku dni Andżelika Borys żyje jednak w strachu. Rano telefony od prezesów oddziałów, którzy pytają, co mają robić, gdy milicjant straszy ich pozbawieniem pracy, jeśli nie poprą nowego Związku. Potem wizyta pod siedzibą Związku, gdzie przychodzą ludzie protestujący przeciwko Kruczkowskiemu. Po południu przesłuchania w prokuraturze i na milicji, gdzie wciąż straszą i straszą.

Wieczorem prezes Borys słucha, co ma jej do powiedzenia prezydent Łukaszenko. Prezydent mówi ustami dziennikarzy „Panoramy” mniej więcej to samo co milicjant i prokurator. A na koniec dnia dzwoni mama z Grzebieni i prosi o ostrożność. Pani prezes mówi więc do słuchawki: – Przestań płakać. Weź coś na uspokojenie i daj mi pracować.

– Sama siebie podziwiam, że to wszystko wytrzymuję – mówi Andżelika, o której jej przyjaciele opowiadają, że ostatnio zhardziła i nie bierze przed przesłuchaniem proszków na uspokojenie. – Najbardziej przeraził mnie pierwszy, majowy film. Widziałam tam siebie, a głos lektora mówił coś, co niby gdzieś mówiłam. Zrozumiałam, że właśnie robią ze mnie wroga Białorusi i międzynarodową awanturnicę. Zdałam sobie sprawę, że całe państwo – administracja, milicja i KGB – jest teraz przeciw mnie. I muszę stawić im czoła. Teraz to właśnie robię. Tylko czasem, jak mam już dość, idę się wyrzucić do kąta.

CEZARY ŁAZAREWICZ, GRODNO

Polska jak dylizans

W ubiegłym roku na 140 tysięcy nowych emerytów aż 120 tysięcy to ludzie, którzy nie doszli jeszcze do wieku emerytalnego

Wzjemy sobie w takim swojskim kraju, w którym to, co w zamyśle miało być wyjątkiem, najczęściej jest regułą. I oczywiście nikt przeciw temu nie protestuje. Mało tego, wejście do grupy na przykład wyjątkowych ludzi jest przez sąsiadów podziwiane jako świadczące o nadzwyczajnej zapobiegliwości.

Takimi wyjątkowymi osobnikami są pracownicy wykonujący najbardziej uciążliwe zajęcia. Ich wyjątkowość polega na możliwości wcześniejszego przejścia na emeryturę. To rekompensata za ciężką pracę, a także niskie zarobki. I co się okazuje? Prawie wszyscy jesteście teraz wyjątkowi. Przynajmniej 120 tysięcy osób spośród 140 tysięcy jest wyjątkowe.

Normalnie, poza wyjątkami, zgodnie z obowiązującymi w Polsce przepisami mężczyznom emerytura należy się po 65. roku życia. Paniom zaraz po sześćdziesiątce. I to powinna być norma. Nic z tych rzeczy. To wyjątek. W ubiegłym roku na 140 tysięcy nowych emerytów aż 120 tysięcy to ludzie, którzy nie doszli jeszcze do wieku emerytalnego. Czyli tylko 20 tysięcy przeszło na emeryturę w wieku wynikającym z normy. Wniosek: norma stała się wyjątkiem, a wyjątek normą.

No i co z tego? Czego im żałować, tej nędznej wcześniejszej emerytury? – możecie zapytać i nawet się przy tym wkurzyć, drodzy czytelnicy. No, niby nic z tego. Poza grubymi i drobnymi pieniędzmi.

Te grube pieniądze to 16 mld zł, które wydaliśmy w zeszłym roku na emerytury dla osób, które zgodnie z przyjętymi regułami nie doszły jeszcze do wieku emerytalnego. Pieniądze grube, ale jeszcze nie bolesne. Bo państwowe i trochę abstrakcyjne.

Ale jeśli te same pieniądze przeliczymy na wszystkich pracujących, to okaże się, że każdy, kto ma szczęście pracować, dokłada ze swoich składek do młodego emeryta 100 zł miesięcznie. Rocznie daje to 1200 zł. I tutaj pewnie mina by nam nieco zredla, gdyby każdego roku przyszedł do nas do domu windykator czy jakiś inny kasjer i zażądał 1200 złotych na wcześniejszych emerytów. Sprawa staje się jeszcze bardziej ponura, jeśli uświadomimy sobie nędzę finansową w wydatkach na edukację, miejsce na szarym końcu europejskiej listy w finansowaniu badań naukowych, marne pieniądze wydawane na podnoszenie kwalifikacji bezrobotnych czy szczerkowe wspieranie ludzi naprawdę bezradnych i potrzebujących współobywatelskiej pomocy.

To tylko wcześniejsze emerytury. A renty? W sumie dzisiaj w Polsce na jednego otrzymującego ren-

tę lub emeryturę przypadają niespełna dwie osoby pracujące. Za kilkadziesiąt lat może to już być jeden pracujący – jeden odpoczywający. I to ten pracujący będzie musiał zarobić na siebie, rodzinę i odpoczywającego. Bo to z jego bieżących składek budżet będzie wypłacał część ZUS-owskiej emerytury.

A miało być tak pięknie i sprawiedliwie. W 1999 roku wprowadzono zasady, zgodnie z którymi pracujący mają dwa konta. Jedno w ZUS, drugie w OFE i na nie wpływają składki, z których w przyszłości wypłacana będzie emerytura. Zatem emerytura zależy ma od wysokości zapłaconych składek i przewidywanej długości życia po przejściu na emeryturę.

I to miała być norma. Po ostatnich wymuszeniach górników miałyby to nie dotyczyć. Dla nich 25 lat pracy i bez względu na wiek odpoczynek. Już dziś przeciętny wiek górniczego emeryta wynosi niespełna 48 lat. Inne osobniki tej samej płci przechodzą na emeryturę przeciętnie w 59. roku życia, czyli za karę pracują o 11 lat dłużej. W większości krajów europejskich przeciętny wiek emerytalny górników wynosi 55 lat. Do tego też zmierzała propozycja rządu. Ale już jej nie ma. I jeśli szacunki nie są błędne, każdy pracujący wyłoży do 2008 roku ze swojej kieszeni na wcześniejszego górniczego emeryta po 50 zł miesięcznie, co daje 600 zł rocznie. Dasz sześć stówek, jeśli każdego roku zapuka do ciebie sąsiad i powie, że jest wcześniejszym emerytem i tyle potrzebuje? Zważywszy na to, że już wydajesz na ten cel 1200 zł rocznie?

To, co działo się ostatnio przed Sejmem w związku z górniczymi emeryturami, przypomina, że Polacy zawsze lubili Amerykę, napatrzili się w przeszłości na westerny i coś nam z tego zostało.

W naszym wydaniu westernu państwo, a szczególnie jego budżet traktuje się jak dylizans. Na oskubananie jego pasażerów mają szansę ci, których jest dużo, czyli są silni i uzbrojeni. No to skubią pasażerów. Jest tu jeden drobiazg. Tym dylizansem wcale nie podróżują panowie Kulczykowie, Gudzowaci, Niemczyccy czy inni najmajętniejsi. I to nie oni są głównie skubani. Dylizansem jadą nasze dzieciaki, które w przyszłości będą płacić coraz wyższe rachunki za pieniądze, jakie im dziś odbieramy. Jeden pracujący weźmie sobie na barki jednego wcześniejszego i normalnego emeryta, i na dodatek rencistę. Polska to fajny, swojski kraj. Szczególnie dla przyszłych pokoleń.

TADEUSZ A. MOSZ

AUTOR MAGAZYNU EKONOMICZNEGO
„PLUS MINUS” W TVP1

Najdroższe tanie samochody

W Danii samochody są chyba najdroższe w Europie. Ale dopiero po opodatkowaniu. Państwo żąda takich podatków, że ostateczna cena samochodu dla klienta miejscowego jest czasem nawet trzykrotnie wyższa niż przed opodatkowaniem. Dla klienta z innego kraju unijnego – dokładnie o tyle samo niższa. W ten sposób drogie samochody dla Duńczyków są względnie tanie dla przybyszów z innych krajów. Na przykład Fiat Punto przed podatkiem kosztuje tam nieco ponad 8 tys. euro,



NOWE SAMOCHODY NAJDRÓŻEJ SPRZEDAWANE SĄ W DANII

a po podatku ponad 20 tys. W Polsce ten sam samochód ma cenę 7,613 tys., a po podatku 9,288 tys. Czyli tutaj interesu nie zrobimy. Inaczej jest przy kupnie Golfa. Tam bez podatku zapłacilibyśmy 10 798 euro, u nas 12 657 euro, a z podatkiem 15 442 euro. Na takim samochodzie kupionym w Danii moglibyśmy zyskać ponad 2 tys. euro. Kupując ten sam model samochodu w Estonii, zarabiamy 1,2 tys. euro. Na Litwie na kupnie Mercedesa klasy C moglibyśmy zyskać nawet 4 tys. euro.

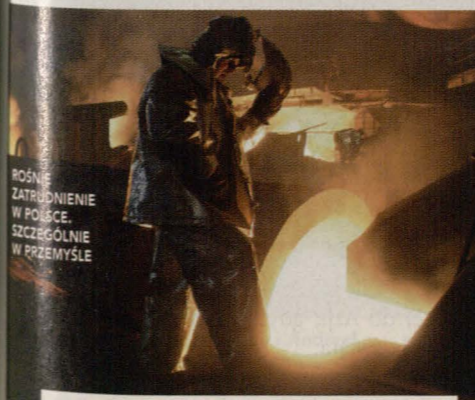
Komisja Europejska każdego roku publikuje raport pokazujący ceny samochodów w 25 krajach. Komisarze zachęcają do kupna auta w kraju, gdzie można zrobić to najkorzystniej. Powstają już firmy, także internetowe, które specjalizują się w poszukiwaniu najlepszej oferty na samochód w UE. W końcu parę tysięcy euro, które można zaoszczędzić, piechotą nie chodzi.

O polskim brokerze samochodowym czytaj na stronie 30.

Jogurt nie będzie jak PepsiCo

Świat chyba uwierzył, że PepsiCo miało chrapkę na Danone i Amerykanom uda się przejście jogurtowego klejnotu Francji. Francuskie pismo „Challenges” podało 7 lipca, że tak właśnie jest. Efekt: w ciągu dwóch tygodni cena akcji Danone skoczyła o 27 proc., co wzbudziło podejrzenia o manipulację. Tym bardziej że odbyło się to wszystko przed podaniem przez spółkę kiepskich wyników, co rzecz jasna musiałoby spowodować spadek kursu, a nie wzrost. Tymczasem PepsiCo zdementowało chęć kupna króla jogurtów. Akcje poszły oczywiście w dół. W sprawie podobno jest zamieszana komentatorka gazety. Dziwnym trafem jest to siostra prezesa Danone. I miała nawet akcje firmy kierowanej przez brata. Na razie zarówno podejrzenia o manipulację, jak i jej szef zaprzeczają, że mieli cokolwiek wspólnego z tą informacją.

Ciekawe, czy dziewczyna zdążyła sprzedać akcje z odpowiednim zyskiem przed spadkiem kursu. No proszę, a my już z zarozumiałstwa chyba myśleliśmy, że takie manipulacje to specjalność tylko polskich giełdowych spółdzielni.



Katwiej o pracę

10 lat temu co 20. pracownik w Polsce zatrudniony był na czas określony. Dzisiaj co piąty pracujący ma umowę o pracę na ściśle określony termin. Konsekwencją takiego niewygodnego dla pracownika, a wygodnego dla pracodawcy podejścia do umowy o pracę jest wyraźna poprawa statystyki zatrudnienia.

Firmy mniej bowiem obawiają się kosztów zwolnienia pracownika. GUS podał, że w końcu pierwszego półrocza w sektorze przedsiębiorstw pracowało nas 4,756 mln osób i było to o 80 tys. więcej niż rok wcześniej. Najszybciej rosło zatrudnienie w przemyśle samochodowym. W pierwszym półroczu o 12,8 proc. Ponad 7 proc. pracowników przybyło w przemyśle metalowym. Prawie 6 proc. w papierniczym i meblarskim. Coraz lepiej jest w handlu, gdzie zatrudnienie wzrosło o 7,8 proc. Po 5 proc. w usługach informatycznych i hotelarstwie. Mamy wreszcie optymistyczny sygnał, że po większych inwestycjach w gospodarce kurs na wzrost może się utrwalić.



ZŁOTÓWKA JEST CORAZ MOCNIEJSZA

Złoty jest OK

W połowie wakacji powróciło zainteresowanie naszym pieniądzem i złoty zaczął odrabiać straty wobec innych walut. Analitycy, jak to analitycy, gowią się co dalej i dochodzą do wniosku raczej zgodnym chórem, że i owszem, nasza waluta ma się lepiej, ale to tylko chwilowe i po wakacjach wszystko powróci do przedwakacyjnej normy, czyli spadku. Bardzo ciekawie wygląda rozstrzelenie prognoz co do wartości polskiej waluty na koniec sierpnia opublikowane w „Pulsie Biznesu”. Skrajnie wysoka cena dolara w jednej z prognoz wynosi 3,44 zł. Skrajnie niska – 3,23. Uśredniona prognoza 10 analityków – 3,38 zł. Euro według jednego analityka będzie kosztować 4,20 zł, inny twierdzi, że 4,02 zł. Średnia to 4,11 zł. Frank szwajcarski według jednej z prognoz osiągnie 2,71 zł, inny analityk mówi zaś o 2,57 zł. Średnia: 2,64 zł. Rozstrzelenie jak na prognozę miesięczną jest spore, gdyż wynosi nawet 6 proc. Tymczasem analitycy Międzynarodowego Funduszu Walutowego twierdzą, że dolar, który w ostatnich trzech latach stracił 12 proc., będzie nadal coraz słabszy. Jak widać, tamci myślą zupełnie odwrotnie niż nasi. I bądź tu mądry, człowieku, i słuchaj analityków. Błędny wybór w przypadku inwestycji terminowych oznacza, że w ciągu miesiąca można pójść z torbami.

citibank handlowy

Gra w kolory

Paweł Placzke
Dyrektor Marketingu Kart Kredytowych



Wszystkie karty kredytowe dają zasadniczą korzyść w postaci wygodnego kredytu, który można spłacać w całości (bez odsetek) lub w oprocentowanych ratach – decydujemy o tym sami, dostosowując spłatę do naszej aktualnej sytuacji finansowej.

Najłatwiej dostępne są karty „podstawowych kolorów” – najczęściej: srebrne oraz niebieskie. Po to, aby je otrzymać nie musimy mieć wysokich dochodów – dla kart niebieskich w wybranych przypadkach wystarczy miesięczny dochód netto na poziomie ok. 1000 złotych. Karty te pozwalają już rozsądnie gospodarować finansami poprzez rozkładanie spłaty w czasie, co więcej – już na tym „szczeblu” otrzymujemy pakiety ubezpieczeń. Przykładowo, Karty Kredytowe Citibank Silver chroni Pakiet Bezpieczeństwa, który gwarantuje: zwolnienie z odpowiedzialności do 72 godzin przed zgłoszeniem utraty karty do CitiPhone (Bank pokrywa straty posiadacza w części przewyższającej 100 zł), ubezpieczenie „Bezpieczne Zakupy” (zwrot kosztów zakupu, naprawa lub wymiana przedmiotu opłaconego kartą, który zostanie nieumyślnie zniszczony lub skradziony w ciągu 30 dni od daty zakupu). W ramach Pakietu Bezpieczeństwa posiadaczom Karty Silver bank zapewnia również ubezpieczenie na życie „Sign&Fly” chroniące użytkownika i jego rodzinę w podróży publicznymi środkami transportu opłaconej kartą.

Karty o bardziej „szlachetnych” kolorach, złote i platynowe, kierowane są do bardziej zamożnych osób o ponadprzeciętnych potrzebach, ceniących nie tylko wygodę i bezpieczeństwo, ale również prestiż i dodatkowe korzyści. To osoby, które często podróżują, częściej niż inni korzystają ze swojej karty i dokonują transakcji o większej wartości. Złote i platynowe karty dają ich posiadaczom dodatkowe przywileje: przede wszystkim wyższy limit kredytu w cyklu rozliczeniowym i dłuższy okres kredytu bez odsetek, bardziej rozbudowane pakiety ubezpieczeniowe oraz oferty rabatowe.

Właściciele złotych czy platynowych kart mogą korzystać z przygotowanych specjalnie dla nich zniżek, wyprzedaży, czy też specjalnych propozycji partnerów banku. Posiadacz takiej karty otrzymuje wyższe rabaty w hotelach i centrach biznesowych, a kontrolowanie wydatków ułatwiają mu często krótkie wiadomości tekstowe (SMS) o saldzie.

Platynowym kartom towarzyszą również określone usługi „assistance” zapewniające ich posiadaczowi pełne poczucie bezpieczeństwa – takie, jak np. szybkie wydanie karty zastępczej, awaryjna wypłata gotówki oraz pomoc medyczna i prawna. Assistance dla Karty Kredytowej Citibank Platinum to również szybka pomoc w drobnych naprawach domowych, pomoc w podróży (w Europie, Azji i USA) oraz porady w ramach pakietu informacyjnego i Medycznej Platformy Informacyjnej.

Ursusem dookoła świata – taki jest plan organizatorów „Traktoriady”

70-letni Tadeusz Stolarzewski podróżuje 36-letnim GAZ-em od 10 lat. Zwiedził już Rosję, Kazachstan i Ukrainę



HUBERT KUC
KRZYSZTOF SZCZEPANIAK

Na traktorze otrzymanym (po wielkich staraniach) od Zakładów Przemysłu Ciągnikowego „Ursus” trzej polscy studenci: Wojciech Urbaniak, Marcin Obalek i Michał Przybysz, przejechali Amerykę Południową od Atlantyku po Pacyfik. Konrad Dobrzyński wybrał się na Syberię rozklekotanym motorem wyprodukowanym w 1968 roku w ZSRR. Samotnie pokonał 7300 kilometrów. Sypiał w obskurnych hotelach i na awtostanówkach, czyli strzeżonych parkingach dla ciężarówek.

31-latkowie Wojtek Mysia i Marzena Staniszevska już trzeci rok zwiedzają świat autostopem. Zanim założą rodzinę, chcą przeżyć wielką przygodę. – Nasza podróż jest spontaniczna. Staramy się nie wpadać w wyszlizgane szlaki z „Lonely Planet”. Zaglądamy do takich miejsc, jak sierocińce czy warsztat kowala, bo przecież tam jest prawdziwe życie – mówią.

SENSACJA URUGWAJSKICH MEDIÓW

By zrealizować marzenia o egzotycznej podróży w dowolne miejsce na świecie, wystarczy dzisiaj skorzystać z usług firm oferujących ekstremalne wyjazdy pod opieką przewodnika do dżungli, na pustynię czy sawannę. Prawdziwi podróżnicy uważają jed-



nak, że wygodne wycieczki z biur podróży nie umywają się do samodzielnie przygotowanej wyprawy, wymyślonej inaczej, niż rzdą przewodniki turystyczne, czasem wbrew zdrowemu rozsądkowi. – Chcieliśmy przeżyć przygodę życia i to się udało, a co ważniejsze, ona trwa nadal – wyznaje Marcin Obalek, inicjator i organizator wyprawy ursusem dookoła świata. „Traktoriada” rozpoczęła się przed trzema laty. Co roku jej uczestnicy zostawiają ciągnik w Ameryce Południowej, zwykle u zawsze gorąco witającej ich Polonii, i wracają po niego w wakacje. W tym roku

zamierzają przetransportować traktor statkiem z Chile do Ameryki Północnej, w przyszłości do Azji, gdyż ich celem jest podróż dookoła świata.

Traktor wyciąga 29 kilometrów na godzinę i na szutrowych drogach potwornie trzęsie. Ale podróżnikom takie niedogodności nie straszne. – Na początku wiele osób pukalo się w czoło. Dopiero później, kiedy staliśmy się sensacją w ogólnokrajowych argentyńskich, urugwajskich czy boliwijskich mediach, uznano, że to, co robimy, jest warte zachodu – mówi Obalek.

PODRÓŻ SZALONA

Wyprawa autostopem dookoła świata, 600 kilometrów konno przez stepy Mongolii, traktorem przez bezdroża Ameryki Południowej? Zrealizować pomysł na podróż życia nie jest łatwo. Chyba że bardzo tego chcesz...



Radziecki motor (rocznik 1968) Konrada Dobrzyńskiego (rocznik 1956) przejechał 7300 kilometrów i dotarł na Syberię



Michał Michałowski (z lewej) i Andrzej Maciejewski, studenci z Warszawy, chcą w 80 dni objechać Europę 25-letnim maluchem

MALUCHEM, GAZIKIEM, RÓWNOLEŻNIKIEM

Odlotowym podróżnikiem można zostać niezależnie od wieku. Tadeusz Stolarzewski skończył 70 lat, a na Syberię jeździ od 10.

– Wiek mi zupełnie nie przeszkadza – mówi z uśmiechem. W tym roku 36-letnim GAZ-em zwiedza Ukrainę, Rosję i Kazachstan.

Młodzi korzystają z jeszcze bardziej wymagających środków lokomocji.

– Konno pokonałem ponad 600 kilometrów przez mongolskie stepy, bagna, góry i tajgę. Jako pierwszy Polak odwiedziłem plemię Tsaatanów, mongolskich hodowców reniferów – mówi 27-letni Marcin Gienieccko, który ma na swoim koncie już 200 tysięcy kilometrów różnorodnych podróży, a obecnie

próbuję samotnie spłynąć pontonem rzeką McKenzie.

Michał Witkiewicz pokonał w poprzek Amerykę Południową – częściowo łądem na piechotę, a częściowo rzeką. Zauważył, że przemierzanie kontynentów wzdłuż równoleżników daje możliwość pozostawania w jednej strefie klimatycznej, a to z kolei pozwala na ograniczenie bagażu.

Marek Klonowski postawił na wyczyn. Chce samotnie zdobyć Koronę Ziemi, czyli najwyższe szczyty wszystkich kontynentów. Tyle że... rowerem. Zaliczył już Elbrus

(5642 metry nad poziomem morza), zaś u podnóży McKinley na Alasce z powodu kontuzji musiał zrezygnować z pojazdu. Ale i tak się nie poddał. Rower porzucił na trasie, a szczyt zaatakował pieszo.

Studenci Uniwersytetu Warszawskiego Andrzej Maciejewski i Michał Michałowski chcą w 80 dni pokonać 25 tysięcy kilometrów 25-letnim maluchem. – Planowaliśmy wyjazd w tym roku, ale za późno zaczęliśmy zbieranie funduszy i przełożyliśmy wszystko na przyszły rok – mówi Michał. Dla niego ta podróż to przygoda rodem z książek Alfreda Szklarskiego, które czytał jako nastolatek.

DENTYSTA NA SYBERII

Samodzielna wyprawa wymaga gigantycznego wysiłku i wiąże się z ryzykiem. Marzena z Wojtkiem do swojej wyprawy dookoła świata przygotowywali się przez trzy lata. Przed wyjazdem sprzedali samochód i parę innych gratów. Długie przygotowania poprzedziły również wyprawę Michała Thlona i Piotra Różalskiego, którzy chcieli pokonać najbardziej suchą pustynię świata. – Na pustyni Gobi ciągnęliśmy za sobą wózki ze sprzętem, prowiantem i wodą. Ćwiczyliśmy wcześniej przez cały rok, między innymi na Pustyni Błędnoskiej. Mimo to całej trasy nie przeszliśmy – wspomina Michał Thlon, który wraz z kolegą z planowanych 1200 kilometrów pokonał ponad tysiąc.

Skąd płyną motywacje do wyczerpującego i ryzykownego zwiedzania świata na własną rękę? – Sześć lat pracowałem w Niemczech jako dentysta i tak zwany Zachód obrzydził mi z kretelem. Od 40 lat marzyłem o wyprawie na Syberię – wyznaje 49-letni Konrad Dobrzyński.

– Zaczęło nas męczyć tempo codziennego życia – opowiada Marzena. – Doszło do tego, że wracaliśmy do domu tylko po to, by zregenerować siły przed pracą następnego dnia. Na szczęście korzenie nam jeszcze nie wyrosły. Żeby trafić w autentyczny, niezaprzeczony świat, wystarczy odjechać parędziesiąt kilometrów od utartego szlaku. I to nas kręci.

BEZ KASY CIEKAWIEJ

Często na przeszkodzie w realizacji odlotowych marzeń stoi brak pieniędzy. Jeśli jednak jest zapal i pasja, to fundusze odgrywają rolę drugorzędną. – Jeżeli chcemy podbić interior Ameryki Północnej, to rzeczywiście koszty są duże – mówi Marcin Gieniec. – Ale wyprawa mongolska kosztowała pięć tysięcy złotych, a wypożyczenie konia, którym przebyłem prawie 600 kilometrów, 150 dolarów.

Wyprawa motorowa Dobrzyńskiego i pieszo-pontonowa Witkiewicza były jeszcze tańsze. Witkiewicz, który pracuje jako adiunkt na Uni-

wersytecie Gdańskim, w ciągu dwóch miesięcy w Ameryce Południowej wydał około 1,5 tysiąca złotych. Dobrzyński za podróż do Wierszyny we wschodniej Syberii – 1,2 tysiąca złotych.

Kłopoty finansowe nie tylko nie przerażają podróżników, one paradoksalnie pozwalają głębiej poznać ludzi danego kraju i ich kulturę. – Zebraliśmy w siedem osób na pierwszy etap wyprawy 60 tysięcy złotych – mówi Marcin Obątek, jeden z trzech traktorzystów. – Poszły głównie na naprawy ciężarówki, która towarzyszyła „Traktoriadzie” jako pojazd wspierający. Potem musieliśmy liczyć na pomoc miejscowej ludności.

Marzenę i Wojtkę brak pieniędzy zmusił do dłuższego poznawania kultury Chin, gdzie musieli się zatrzymać, by zarobić na dalszą podróż. Cztery tysiące dolarów, z którymi wyjechali z Polski, skończyły im się już po roku.

MAO NA SZLAKU

Globtroterzy nie podróżują tylko po to, by podróżować. Jednym z celów jest chęć poznania ciekawych ludzi. Często są to ludzie bardzo podobni do nich samych. Rowerzysta Marek Klonowski pod Elbrusem natknął się na człowieka, który dojechał tam z Moskwy na rolkach. – Bardzo śmiesznie chodził – wspomina Marek. – Zrobił 1600 kilometrów w 16 dni, a po drodze trzy razy musiał zmieniać kółka.

Z kolei Konrad Dobrzyński na Syberii minął się z Waliijką idącą samotnie dookoła świata. Marzena i Wojtek zaplanowali spotkania z miłośnikami języka esperanto. – Esperanto jest ideą naszej podróży. Służy do tego, by zbliżyć się do innych kultur i ludzi, angielski otwiera jedynie drzwi do pokoju hotelowego – mówi. Ale cieszą się też, gdy dzięki autostopowi poznają rosyjskich mafiosów, gdy chińscy kierowcy wciskają im znaczki Mao, a Tajlandczyki zapraszają na noc do domu.

– Podróż dla samej podróży nie ma sensu. Jadę po to, by fotografować obiekty sakralne, miejsca martyrologii i przyrodę – mówi Tadeusz Stolarzewski.

Uczestnicy wyprawy „Śladami Strzeleckiego 2004” postanowili propagować Polskę oraz zasługi największego polskiego podróżnika i odkrywcy. Jechali samochodami, szli przez pustynie, przedzierali się przez busz i wspinali na Dach Australii, by

Michał Witkiewicz pieszo i pontonem przemierzył w poprzek Amerykę Południową

NAJDIWNIJSZE PODRÓŻE ŚWIATA

▶ NAJDŁUŻSZY SAMOTNY SPACER ŚWIATA

57-letnia Waliijka Rosie Swalepope 2 października 2003 roku wyruszyła w najdłuższą podróż swojego życia. Zamierza samotnie obejść całą kulę ziemską. Dziennie pokonuje około 40 kilometrów. Przeszła już między innymi Anglię, Holandię, Polskę i Litwę. Ostatnio dotarła do wschodniej Syberii. W sumie ma pokonać 32 tysiące kilometrów. Mówi, że zawsze inspirowała ją zwykli ludzie robiący niezwykle rzeczy.

▶ PODRÓŻ PO STADIONACH

Amerykański nauczyciel WF-u Peter Baroody, miłośnik amerykańskiego futbolu, postanowił odbyć podróż po wszystkich stadionach National Football League. W ciągu 107 dni odwiedził 31 obiektów i na każdym obejrzał mecz. Podróż kosztowała go 10 tysięcy dolarów. Peter zamierza jeszcze odwiedzić wszystkie lodowiska hokejowe, boiska do koszykówki, bejsbola i siatkówki.

▶ NAJDŁUŻSZA PODRÓŻ TRATWĄ

Andrew Urbanczyk na drewnianej tratwie Nord przepłynął 5110 mil morskich, czyli prawie 10 tysięcy kilometrów. Wyruszył z Kalifornii, a wyprawę zakończył na amerykańskiej wyspie Guam na Pacyfiku. Podróż zajęła mu 136 dni. Tratwę wyposażył w system GPS, panele słoneczne i światła nawigacyjne.

▶ NAJDŁUŻSZA I NAJSZYBSZA PODRÓŻ NA ROLKACH

Russel „Rusty” Moncrief z USA na rolkach pokonał dystans 4175 kilometrów. Russel poruszał się wzdłuż granicy USA – z Crescent Beach na Florydzie do Soltana Beach w Kalifornii. Podróż zajęła mu zaledwie 69 dni.

▶ NAJWIĘCEJ ZWIEDZONYCH PAŃSTW

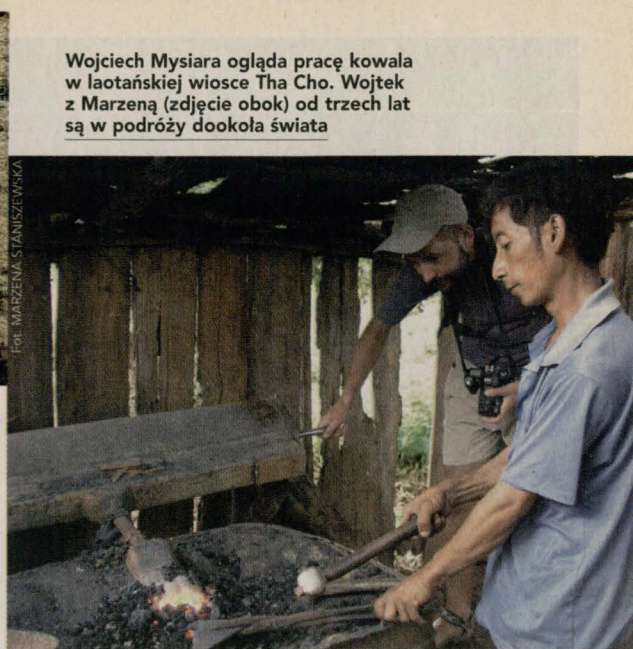
Dwóch Nowozelandczyków John Bougen i James Irving postanowili zwiedzić jak najwięcej niezależnych krajów świata. W ciągu 167 dni udało im się dotrzeć do 191 państw. Podczas podróży nazwanej „poszukiwaniem wszystkich krajów” powstały dwie książki, z których dochód wsparł organizację pomagającą dzieciom na całym świecie Save the Children.

▶ NAJDŁUŻSZA PODRÓŻ NA MOTOCYKLU

Benka Pulko ze Słowenii jest pierwszą osobą na świecie, która na motocyklu objechała kulę ziemską, zwiedzając przy tym siedem kontynentów i 75 krajów. Jej samotna podróż trwała 2000 dni. Benka pokonała ponad 180 tysięcy kilometrów. Nigdy wcześniej nie jeździła na motorze.



Marzena Staniszevska w towarzystwie Tybetanki w chińskiej prowincji Sichuan (historyczny Tybet)



Wojtek Marzena ogląda pracę kowala w laotańskiej wiosce Tha Cho. Wojtek z Marzeną (zdjęcie obok) od trzech lat są w podróży dookoła świata

dotrzeć do miejsc związanych z nazwiskiem Strzeleckiego. Po zakończeniu wyprawy zorganizowali konkurs wiedzy dla gimnazjalistów o odkrywaniu Australii przez Polaków.

ŚLAWIĄC POLSKĄ MYŚL TECHNICZNĄ

Każda podróż to nowe, niecodzienne doświadczenia. – Pewnego razu musiałem nauczyć się kąpać w 1,5 litra wody. W zupełności wystarczyło, by się delikatnie namoczyć, później namydlić i wszystko spłukać – opowiada Klonowski. Michał Witkiewicz na długo zapamiętał dzień, w którym nurt Rio Colorado zniósł jego ponton na głazy. Michał wypadł i poczuł, że wir zaczyna go wciągać pod wodę. Uderzył w skały. Dochodził do siebie przez kilka tygodni. Stracił wówczas część dożytku.

Słuchając takich historii, trudno się nie zgodzić, że wyprawy zorganizowanej samodzielnie nie zastąpi nawet najbardziej wymyślna podróż z katalogu turystycznego.

Są tacy, dla których ekstremalne i nietypowe podróże to sposób na życie. Ci, którzy raz wyruszą w nieznaną, łapią bakcyła na dłużej. – Za dwa, trzy lata chcemy wybrać się na Syberię syrenkami. W porównaniu z dzisiejszymi autami przygotowanymi do jazdy po asfalcie syrenki w terenie zachowują się świetnie, a poza tym, podobnie jak ursusy, są wspaniałymi przykładami polskiej myśli technicznej, co całemu światu skutecznie udowodnimy – kreśli plany na kolejną podróż Marcin Obątek. Michał Witkiewicz w przyszłym roku zamierza przejść Afrykę, oczywiście w poprzek. Także Konrad Dobrzyński je-

dzie dalej – kolejny etap podróży – Bajkał, Mongolia, Chiny – rozpoczął w połowie lipca.

Jedynie Michał Thlon nie planuje już nowych wypraw. Ale jest usprawiedliwiony. – Mam małe dziecko – wyjaśnia z radością.

HUBERT KUC
KRZYSZTOF SZCZEPANIAK

sluchaj audycji **PRZEKROJOWA SPRAWA**

ANTYRADIO

94 FM Warszawa, 106.4 FM Katowice

W czwartek **11 sierpnia** o godzinie **21.00**
Tomek Kin zaprasza na program pod tytułem
„**PODRÓŻ SZALONA**”

**KOLEKCJA „PRZEKROJOWA SPRAWA”
MALARZE ŚWIATA**
20 ALBUMÓW POŚWIĘCONYCH SZTUCE

HOPPER
EDWARD HOPPER

100 stron

1700 barwnych ilustracji i reprodukcji

najsłynniejsze dzieła

najwięksi malarze

www.przekroj.pl/kolekcja infolinia 0801 272750

PRZEKROJ

cena 15,99 zł
w kioskach od 18 sierpnia

TASCHEN

Serce pod presją

60 proc. Polek i 64 proc. Polaków po 35. roku życia cierpi na nadciśnienie tętnicze. Z tego blisko 40 proc. o tym nie wie i się nie leczy. Wśród osób mających powyżej 60 lat tylko jedna na pięć ma ciśnienie w normie

Układ hydrauliczny

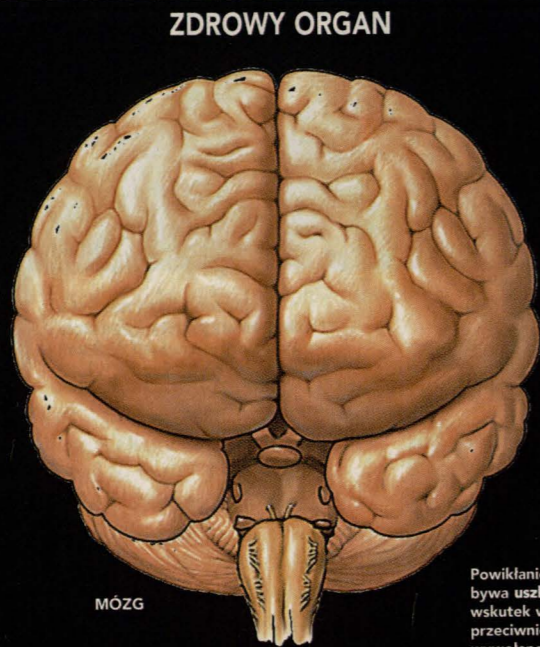
Nasz układ krążenia można porównać do wodociągów zbudowanych z systemu rur. Pompą tłocząco-ssącą tego układu jest serce, z którego wychodzą tętnice – naczynia krwionośne prowadzące krew z serca na obwód – i żyły, którymi krew wraca z obwodu do serca.

Ciśnienie krwi zależy od siły i częstotliwości skurczów serca, oporu, jaki stawiają ściany naczyń, oraz od lepkości krwi.

Nie wszystkie rury biegnące przez nasze ciało są takie same, dlatego inną wartość ma ciśnienie w sprężystych i dobrze umięśnionych naczyniach tętniczych, inną – w delikatnych naczyniach włosowatych, a jeszcze inną – w wiotkich, rozciągliwych naczyniach żylnych.

Skurcz i rozkurcz

Lekarz, mierząc nam ciśnienie, podaje dwie liczby – jedna określa wartość ciśnienia skurczowego, druga – rozkurczowego. Co to znaczy? W czasie skurczu serce krew z impetem wpada do aorty (to tak zwana tętnica główna). Rozciągając ją, wytwarza maksymalne ciśnienie, zwane skurczowym. W czasie rozkurczu, gdy utworzone przez zastawki wrota z serca do aorty są zamknięte, ciśnienie krwi w tętnicach obniża się aż do wartości minimalnej, nazywanej ciśnieniem rozkurczowym. Gdyby nie elastyczność ścian dużych tętnic oraz działanie mechanizmów kontrolujących napięcie mięśni ścian tętnic obwodowych mogłoby w czasie rozkurczu serca dojść do poważnego spadku ciśnienia.

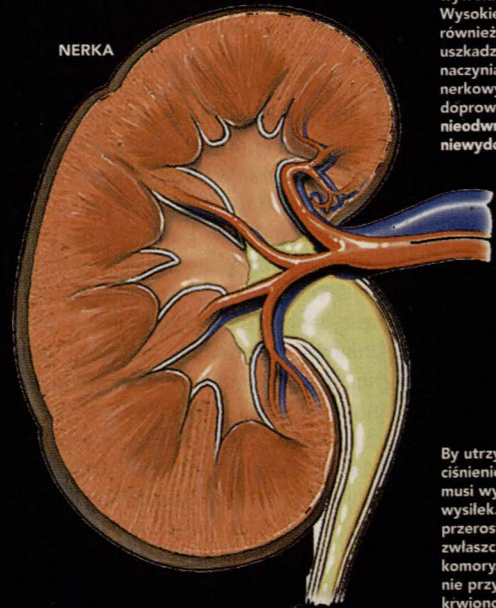


MÓZG



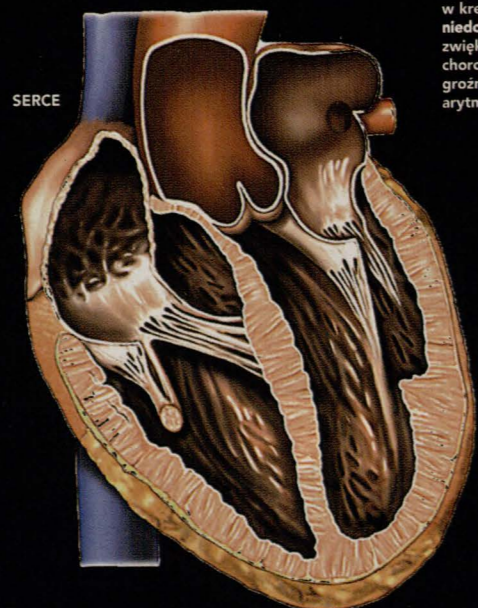
ORGAN ZMIENIONY PRZEZ NADCIŚNIENIE

Powikłaniem nadciśnienia bywa uszkodzenie mózgu wskutek wylewu lub przeciwnie – niedokrwienia wywołanego miażdżycą. Wysokie ciśnienie jest również czynnikiem uszkadzającym drobne naczynia w kłębuszkach nerkowych, co może doprowadzić do nieodwracalnej niewydolności nerek.



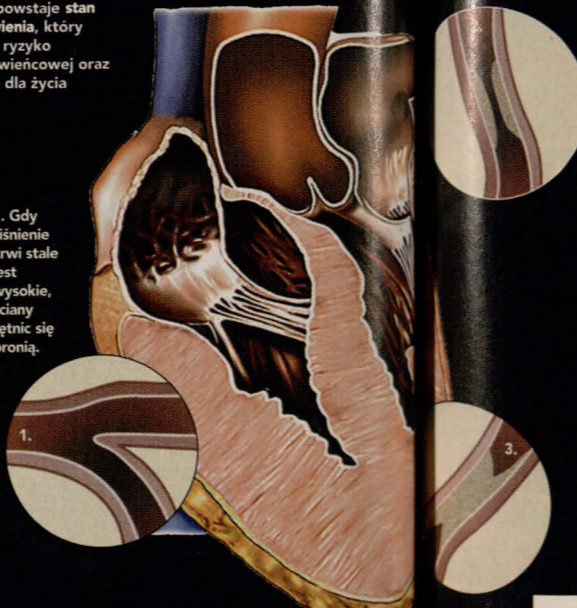
NERKA

By utrzymać wysokie ciśnienie krwi, serce musi wykonać większy wysiłek. Skutek: przerost mięśnia, zwłaszcza lewej komory. Ponieważ nie przybywa naczyń krwionośnych zaopatrujących serce w krew, powstaje stan niedokrwienia, który zwiększa ryzyko choroby wieńcowej oraz groźnych dla życia arytmii.



SERCE

1. Gdy ciśnienie krwi stale jest wysokie, ściany tętnic się bronią.



2. Grubiej i zaczynają intensywniej wydzielać związki chemiczne, pod których wpływem do ściany naczynia przenikają komórki krwi i składniki znajdujące się w osoczu, na przykład cholesterol. Gromadzące się w ścianie naczynia komórki obladowane cholesterolem tworzą ząbki miażdżycy.

3. Ten przez lata przekształca się w zamykającą światło tętnicy blaszkę miażdżycową, co może doprowadzić do zawału.

Żebyś wiedział

Jak się chronić?

- **POLUB MORSKIE RYBY** – zawarte w nich wielonienasycone kwasy tłuszczowe obniżają ciśnienie.
- **RZUĆ PALENIE** – nikotyna powoduje skurcz naczyń krwionośnych. By przepchnąć przez nie tę samą co zwykle ilość krwi, serce pracuje szybciej, ciśnienie krwi wzrasta.
- **SCHUDNIJ** – 53 proc. dorosłych Polaków waży za dużo. Każde pięć kilogramów nadwagi powoduje zwiększenie ciśnienia tętniczego o 5 mm Hg.
- **RUSZ SIĘ** – siedzący tryb życia o około 1,5 raza zwiększa prawdopodobieństwo wystąpienia nadciśnienia.
- **OGRANICZ SÓL** – a zwłaszcza zawarty w niej sód (obecny w dużych ilościach także w zupkach w proszku i gotowych mieszankach przypraw). Dieta o dużej zawartości sodu podwyższa ciśnienie skurczowe o blisko 5 mm Hg, rozkurczowe o blisko 3 mm Hg. Nie powinno się spożywać więcej niż 2,5 grama sodu dziennie. Dotyczy to zwłaszcza osób starszych.
- **ODPRĘŻ SIĘ** – długotrwały stres przyspiesza akcję serca, podnosi ciśnienie krwi. Stosowanie technik relaksacyjnych (na przykład jogi) przez trzy miesiące może obniżyć ciśnienie skurczowe o 25 mm Hg, a rozkurczowe o 15 mm Hg.
- **UCZ SIĘ** – u osób wykształconych rzadziej występuje otyłość, nadciśnienie czy cukrzyca. Porządna edukacja jest najlepszą ochroną dla serca.



mm Hg

JEDNOSTKĄ MIARY CIŚNIENIA KRWI JEST WYSOKOŚĆ (PODAWANA W MILIMETRACH) SŁUPKA RTĘCI (JEJ SYMBOL TO Hg). RTĘĆ STOSOWANO W APARATACH DO MIERZENIA CIŚNIENIA DAWNEGO TYPU. CHOĆ W ELEKTRONICZNYCH APARATACH JUŻ JEJ NIE MA, JEDNOSTKĘ ZACHOWANO

140/90

ŚWIATOWA ORGANIZACJA ZDROWIA ZA NIEBEZPIECZNE UZNAJE CIŚNIENIE POWYŻEJ TEJ WARTOŚCI. OD TEGO MOMENTU MÓWI SIĘ O NADCIŚNIENIU

130/85

PONIŻEJ TEJ WARTOŚCI CIŚNIENIE UWAZA SIĘ ZA PRAWDIWE

120/80

CIŚNIENIE OPTIMALNE

Gorzej niż żyrafa

Nadciśnienie to w zasadzie przypadłość ludzi (i myszy laboratoryjnych). Dlaczego? Naukowcy podejrzewają, że ma to związek z naszą wyprostowaną postawą ciała i wielkim mózgiem. Zużywa on okresowo nawet 25 procent krwi z naszego organizmu, a wpompować tyle cieczy na metr w górę to nie lada wyczyn. A że na dwóch nogach chodzimy od niedawna, ewolucja nie zdążyła nas do tego dobrze przygotować. Znacznie lepiej od ludzi radzi sobie na przykład żyrafa. Wtłoczenie odpowiedniej ilości krwi do znajdującego się wysoko nad ziemią mózgu tego zwierzęcia to naprawdę nie przelewki. Żyrafa ma więc bardzo masywne serce – waży ono nawet 12 kilogramów. Ma też grube ściany naczyń krwionośnych i specjalne zastawki w tętnicach. Jej ciśnienie krwi jest bardzo wysokie: 260/160 mm Hg. Ewolucja miała jednak czas, by wytworzyć mechanizmy chroniące żyrafę przed jego skutkami.

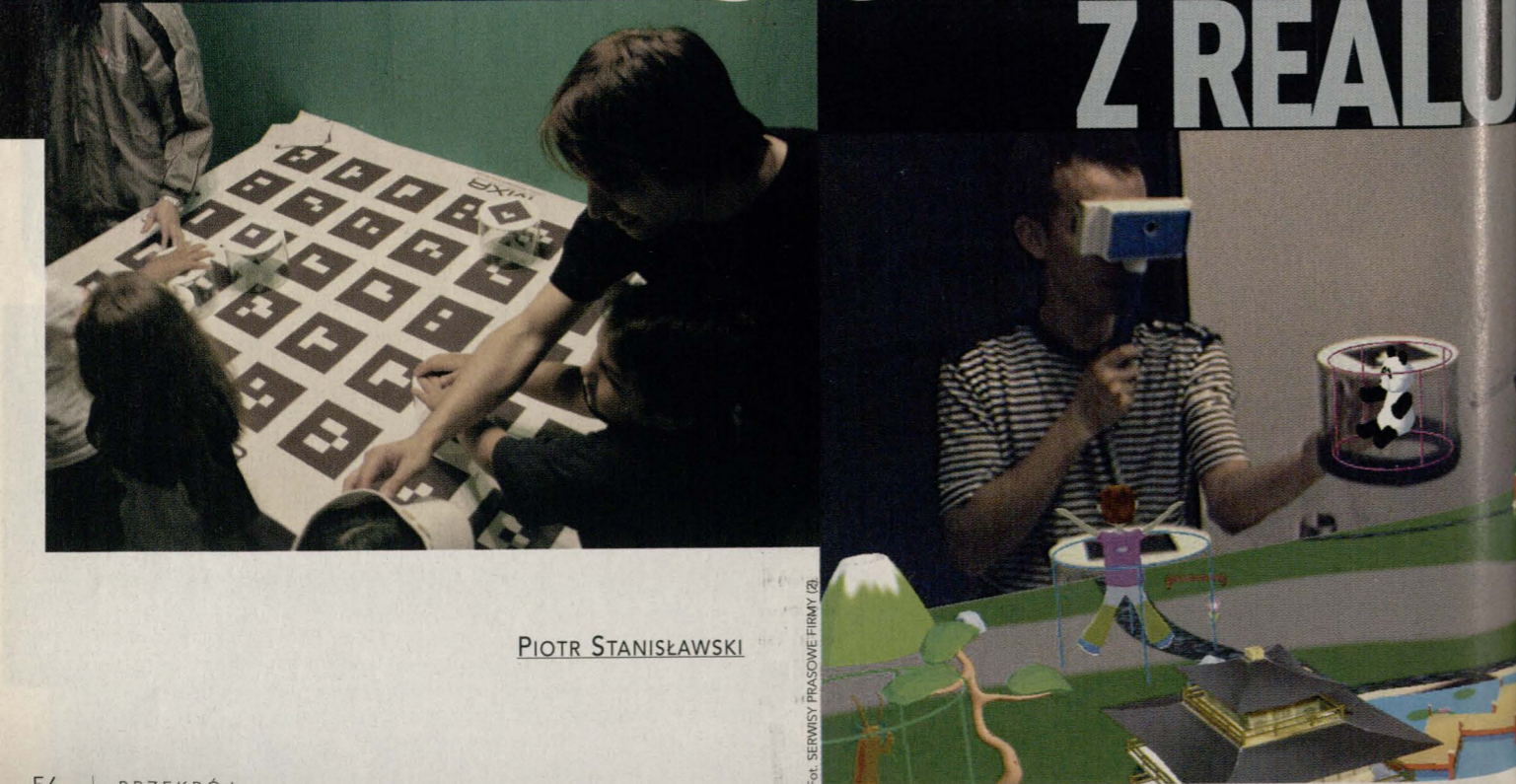


DOPIERO WIELOKROTNE POMIARY CIŚNIENIA DOKONYWANE W RÓŻNYCH PORACH DNIA, ZAWSZE W WARUNKACH SPOCZYNKU, WYKAZUJĄCE PODWYŻSZONE LUB WYSOKIE WARTOŚCI UPOWAŻNIAJĄ LEKARZA DO ROZPOZNANIA NADCIŚNIENIA TĘTNICZEGO

Fot. PIOTR STANISŁAWSKI (2)



UCIECZKA Z REALU



PIOTR STANISŁAWSKI

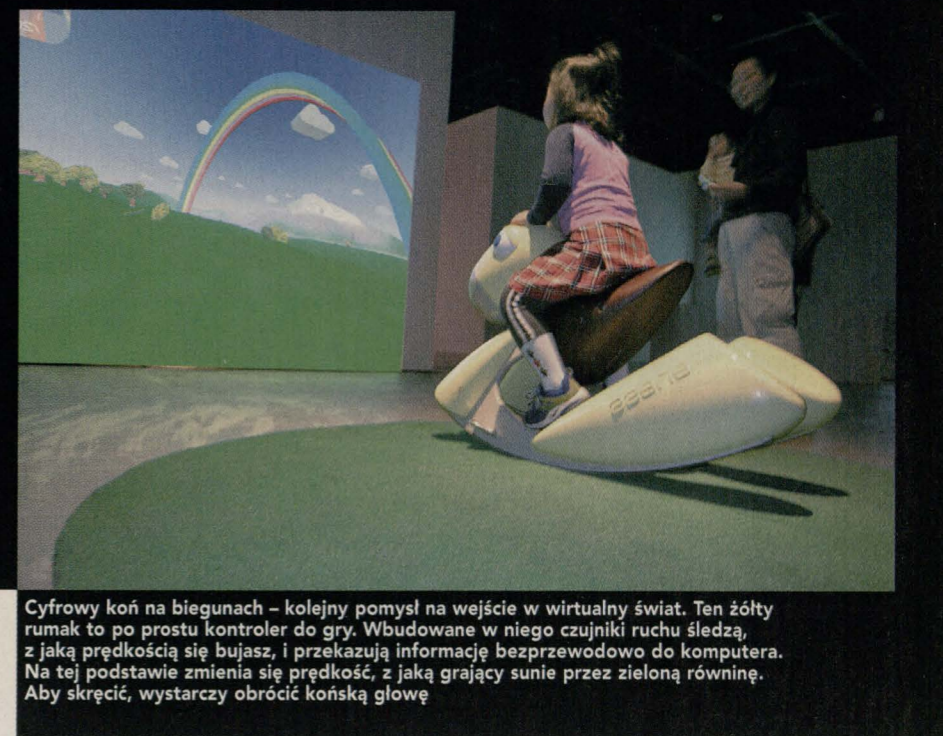
Fot. SERWISY PRASOWE FIRMY (2)

ra Kick Ass Kung-Fu (z lewej) sprawia, że walka z wirtualnymi przeciwnikami zaczyna przypominać prawdziwe zmagania. racz staje przed dużym ekranem, znajdująca się kilka metrów dalej kamera łmuje całą postać i umieszcza ją w grze. dy zbliża się przeciwnik, można go jczyć po prostu odpowiednio machając kją, kopiąc lub posługując się trzymaną ręką bronią.agic Land (na dole) to wirtualny plac tbow. gdy patrzy się przez specjalne ulary czarno-biała szachownica zapełnia e stworzonymi przez komputer ostaciami z bajek

To już nie science fiction. Za pomocą wirtualnej rzeczywistości możesz opanować lęk przed lataniem samolotem, uśmierzyć ból, skonstruować samolot. I oczywiście świetnie się zabawić. Naprawdę

Pamiętasz, jak pod koniec lat 90. głośno było o wirtualnej rzeczywistości? W telewizji i gazetach można było zobaczyć dziwnie zachowujących się facetów w ogromnych goglach na twarzy, którzy ponoć poruszali się po komputerowym świecie. Sprawa nieco ucichła, gdy okazało się, że gogle są niewygodne, poruszając się w nich, można sobie rozbić głowę o ścianę, a poza tym nie wiadomo, do czego właściwie ta cała wirtualna rzeczywistość mogłaby się przydać. Niby miała zainteresować graczy, ale generowanym przez ówczesne komputery trójwymiarowym obrazom daleko było do doskonałości.

I choć od tego czasu opinia publiczna spotyka się z wirtualną rzeczywistością głównie w filmach science fiction, naukowcy nie zniechęcili się do tego pomysłu. I oto dziś, po kilku latach,



Cyfrowy koń na biegunach – kolejny pomysł na wejście w wirtualny świat. Ten żółty rumak to po prostu kontroler do gry. Wbudowane w niego czujniki ruchu śledzą, z jaką prędkością się bujasz, i przekazują informację bezprzewodowo do komputera. Na tej podstawie zmienia się prędkość, z jaką grający sunie przez zieloną równinę. Aby skręcić, wystarczy obrócić końską głowę

wirtualna rzeczywistość powraca – prawdziwsza, wygodniejsza i naprawdę potrzebna. Do czego?

Pająk jak prawdziwy

Jednym z najbardziej zaskakujących zastosowań komputerowych światów okazało się leczenie ludzi. A wszystko zaczęło się od terapii lęku przed pajakami.

Boi się ich nadszpiewanie wiele osób. Większość radzi sobie z problemem, po prostu unikając kontaktu z tymi stworzeniami. Prawdziwe kłopoty pojawiają się, gdy arachnofobia zaczyna przeszkadzać w życiu.

Hunter G. Hoffman opisywał w magazynie „Scientific American” przypadek pacjentki, która nie była w stanie wsiąść do samochodu, nie okadziwszy go uprzednio dymem i nie spryskawszy pestycydami. Kładąc się spać, musiała dokładnie przeszukać sypialnię i zakleić okna taśmą – wszystko z obawy przez wyimaginowanymi pajakami. W końcu w ogóle przestała wychodzić z domu.

W przypadkach takich jak ten najskuteczniejszą metodą leczenia jest tak zwana terapia ekspozycyjna. Pacjent w kontrolowanych warunkach oswaja się powoli z prawdziwymi pajakami, świadomie opanowując lęk. Jednak wielu chorych nie chce nawet słyszeć o takich sposobach.

Właśnie dla nich powstał program Spider-World. Pacjent wkłada hełm z goglami zapewniający trójwymiarowy obraz i przestrzenny dźwięk. Przenosi się do wirtualnej kuchni, w której można otwierać szafki i przesuwac roz-

maite przedmioty. W takiej scenarii umieszczono wirtualną tarantulę.

Podczas pierwszej sesji zadanie jest proste – trzeba się zbliżyć do pajaka tak blisko, jak to tylko możliwe. Potem nadchodzi czas na pierwsze prawdziwe wyzwanie. Pacjent zakłada rękawicę, która pozwala komputerowi śledzić położenie ręki, i musi dotknąć włochatego pajaka. Gdy tylko to zrobi, zwierzę ucieka o kilkanaście centymetrów, robiąc przy tym mnóstwo hałasu. Kolejne zadania są coraz trudniejsze – oto z trzymanego w ręku wazonu wyłazi kolejna tarantula, wywijając przy tym paskudnie nogami, a w słuchawkach brzmi słynny, mrożący krew w żyłach fragment muzyki z filmu „Psychoza”. Zwieńczeniem terapii jest połączenie wirtualnej rzeczywistości z doznaniem dotykowym – po wyciągnięciu ręki pacjent trafia na włochatego pajaka zabawkę.

Wszystko to, choć może wygląda dosyć naiwnie, przynosi zadziwiające efekty. Już po kilku sesjach trwających w sumie 10 godzin pacjentka bez problemu znosiła wędrującą po jej ręce prawdziwą tarantulę.

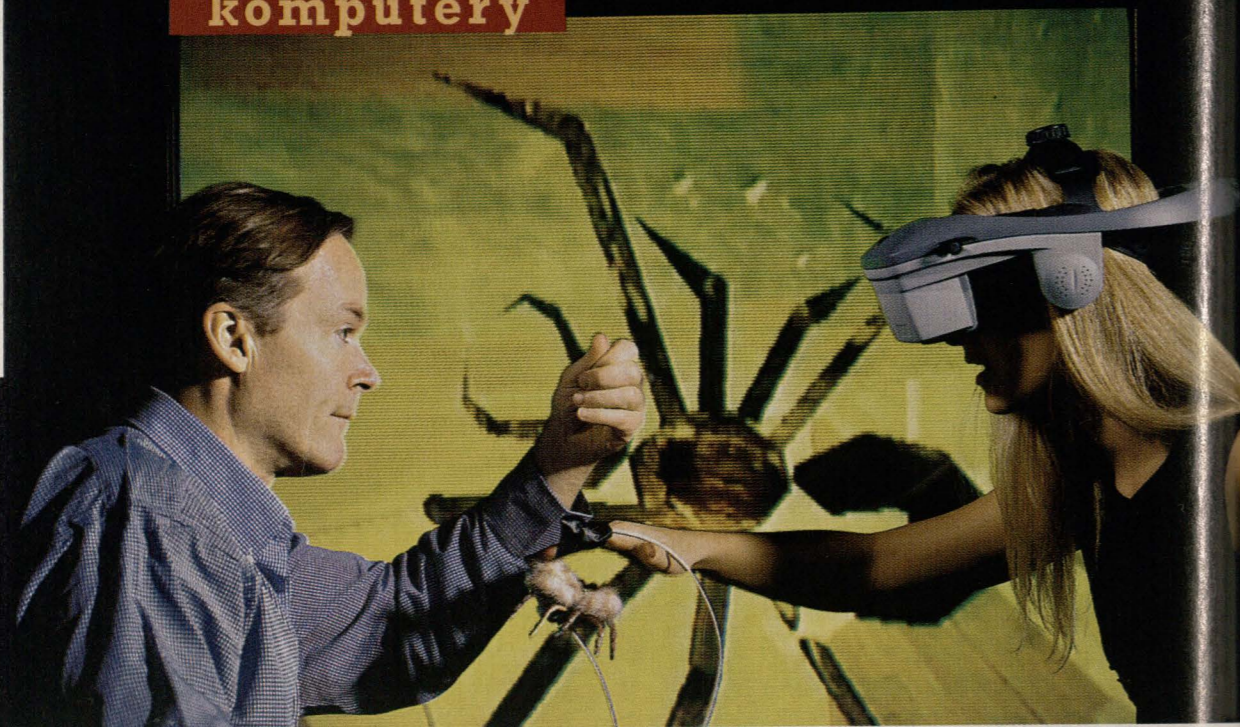
Podobne metody z powodzeniem stosowano do leczenia lęku wysokości, obawy przed lataniem samolotem czy publicznymi wystąpieniami, a nawet w terapii zespołu szoku pourazowego, który przeżywają na przykład ofiary ataków terrorystycznych.

W tworzeniu terapeutycznych programów wyspecjalizowała się firma Virtually Better. W swojej ofercie ma między innymi komputerowo wygenerowane wieżowce służące do leczenia lęku wysokości, wirtualny Wietnam dla



komputery

Wirtualny pająk też przeraża – dzięki oswojeniu się z własnym lękiem ludzie uczą się nad nim panować. Korzystając z programu SpiderWorld, cierpiący na arachnofobię mogą przyzwyczaić się do widoku, a nawet dotyku pajaków



weteranów wojny czy symulator pogody dla bojących się burzy.

Ból na zimno

To jednak nie wszystkie zastosowania wirtualnego świata. Wizyta w nim może pomagać nie tylko psychicznie, ale także ciału. Przekonano się o tym w klinice leczenia oparzeń Harbview Burn Center w Seattle.

Ból, jaki cierpią pacjenci leczeni po poważnych oparzeniach ciała, należy do najsilniejszych spośród znanych nauce. Kiepsko sprawdzają się w jego przypadku nawet najsilniejsze środki przeciwbólowe, takie jak morfina. Na dodatek na największe cierpienia człowiek jest narażony wcale nie bezpośrednio po wypadku, ale później, w trakcie leczenia, gdy konieczne jest częste zmienianie opatrunków i usuwanie martwej tkanki.

Właśnie dla takich pacjentów powstał kolejny wirtualny świat – SnowWorld. To rodzaj gry komputerowej przedstawiającej zamrażnięte koryta rzeki, wzdłuż którego stoją bałwanki czy igloo. Lecząc nad lodowym krajobrazem, można w nie rzucić śnieżkami i obserwować, jak zamieniają się w chmurę śniegu.

Do tego świata wchodził chory po poważnych oparzeniach ciała, podczas gdy lekarze zajmowali się zmianą ich opatrunków. Okazało się, że lodowata rzeczywistość tak skutecznie odciąga uwagę, że chory niemal zapomina o bólu. Fakt, że nie są to tylko złudzenia, potwierdzają badania aktywności mózgu – zaobserwowano, że podczas przebywania w śnieżnym świecie rejony odpowiedzialne za odczuwanie bólu były znacznie mniej aktywne. Ale by osiągnąć taki skutek, nie wystarczy puścić pacjentom filmu nakręconego w ziemie – tak niezwykle efekty uzyskuje się tylko wtedy, gdy złudzenie jest naprawdę doskonałe i angażuje zarówno wzrok, jak i słuch.

Zachęci wynikami naukowcy przygotowali też kilka wirtualnych światów dla ludzi pracujących w szczególnie niebezpiecznych warunkach, których nie da się odtworzyć w czasie szkolenia za pomocą standardowych metod.

Na przykład część treningu astronautów w NASA opiera się na wykonywaniu złożonych operacji w generowanej przez komputer rzeczywistości. W ten sposób można przygotować ludzi do wykonania naprawy modułów stacji kosmicznej czy teleskopu podczas wyjścia w przestrzeń kosmiczną. Obserwując trójwymiarowy obraz, astronauta uczy się położenia poszczególnych elementów i mogą przyzwyczaić do niezwyklego zachowania narzędzi w warunkach nieważkości.

Badacze z Georgia Institute of Technology opracowali też specjalny program służący szkoleniu strażaków. Dzięki niemu dowódcy kierujący kilkuosobowymi zespołami mogą się nauczyć właściwego reagowania w zaskakujących warunkach – na przykład gdy droga powrotu zostaje odcięta lub gdy następuje całkowita utrata widoczności.

Samolot jak prawdziwy

O tym, że wirtualna rzeczywistość przestała być tylko ciekawostką, świadczy zainteresowanie nią przemysłu. W tym roku w powietrze wzniósł się pierwszy samolot zaprojektowany całkowicie w przestrzeni wirtualnej.

Oczywiście już od lat komputery wykorzystywane są na różnych etapach projektowania i produkcji, jednak przypadek francuskiego Falcona 7X jest wyjątkowy. W wirtualnej przestrzeni opracowano dosłownie wszystko – od kształtu skrzydeł, przez wygląd wnętrza, aż do najmniejszej śrubki. Każdy z podwykonawców projektu miał dostęp do takiego modelu



Fot. SERWIS PRASOWY FIRMY

NAPRAWDĘ WIRTUALNE

Nie musisz czekać, aż systemy wirtualnej rzeczywistości wyjdą z laboratoriów. Już dziś istnieją rozwiązania, które każdy może mieć w domu. Do konsoli Sony PlayStation można dokupić małą kamerę – EyeToy.

Ustawia się ją na telewizorze i rzeczywistość wirtualna staje przed nami otworem. EyeToy filmuje gracza i umieszcza go w świecie gry. Już wybór pozycji z menu przypomina obraz z filmu „Raport mniejszości”, gdzie Tom Cruise poruszał się po pamięci komputera, wykonując w powietrzu ruchy rękami.

Sama gra może polegać na przykład na przesuwaniu i układaniu wirtualnych elementów – konsola śledzi nasze ruchy i sprawia na przykład, że wyciągnięcie ręki przesuwa narysowaną na ekranie skrzynkę. Programy wykorzystujące EyeToy to nie tylko zabawa dla dzieci – we wrześniu na rynek wchodzi Kinetic, gra polegająca na ćwiczeniu przed ekranem. Musimy unikać spadających pulek, kopać latające wokół gwiazdki czy uderzać ręką świecące punkty. Kilkanaście minut takiej gry sprawia, że czujesz się jak po solidnej wizycie w klubie fitness.

i mógł oglądać cały samolot, zanim jeszcze rozpoczęto produkcję.

Ale to nie koniec. Wirtualna rzeczywistość pomogła też do opracowania wszystkich szczegółów związanych z obsługą Falcona 7X. Sprawdzono, czy mechanik będzie miał wygodny dostęp do każdego punktu i jak dokładnie będzie się odbywała wymiana zużytych części.

Dzięki takiej procedurze nie musiał powstawać prototyp samolotu. Po prostu zebrano wyprodukowane części, złożono je razem... i Falcon wystartował.

Rzeczywistość poprawiona

Takie projekty wymagają ogromnej mocy obliczeniowej – ogromna liczba szczegółów doprowadza komputery do cyfrowej rozpacz. Dlatego tym, co dziś robi największą karierę, nie jest wcale tworzenie sztucznej rzeczywistości od nowa. Okazuje się, że by uzyskać na-

wy dla dzieci. Na pierwszy rzut oka robi to dziwne wrażenie – na dużym stole narysowane są czarne figury geometryczne, a na nich stoją przezroczyste pudełka z tajemniczymi znakami na wierzchu. Wystarczy jednak spojrzeć na planszę przez specjalne okulary, by nieruchome kształty ożyły.

Komputer podłączony do okularów usuwa sprzed oczu dziwne figury i pudełka, wstawiając zamiast nich bajkową krainę wraz z jej mieszkańcami. Maszyna rozpoznaje znaki na pudełkach i przypisuje im odpowiednie kształty. Jedno staje się czarownicą, inne smokiem. Człowiek może też sam pojawić się na planszy – wystarczy kamera, która uchwyci jego obraz i stworzy na tej podstawie nową postać. Elementy na planszy mogą na siebie wpływać – jeśli przysuniesz swoją postać zbyt blisko smoka, zostanie z ciebie tylko kupka popiołu. Podczas prezentacji systemu na festiwalu NextFest w Chicago wokół magicznego stołu tłoczyły się dziesiątki chętnych do podróży po wirtualnym świecie.

Potwory w mieście

O tym, że nie jest to tylko pieśń odległej przyszłości, może świadczyć fakt, że augmented reality zaczyna już wychodzić na ulice miast. Dwaj studenci z Uniwersytetu Południowej Australii, Bruce Thomas i Wayne Piekarski, wykorzystując tę technolo-



em projektowania użyty przy produkcji Falcona 7X opierał się w całości wirtualnej rzeczywistości. Dzięki temu obniżono koszty o 25 procent i dzięki konieczności wprowadzania poprawek do gotowego samolotu

gię, opracowali niezwykle zabawę w terenie. Biorący w niej udział gracz nosi na plecach niewielki komputer, który za pomocą systemu wi-fi i Bluetooth pozwala na połączenie się i komunikowanie z innymi uczestnikami gry. W plecaku oprócz komputera znajduje się także odbiornik GPS, który współpracując z bezprzewodową siecią, pozwala na określenie pozycji człowieka z dokładnością do 30 centymetrów. System zbiera informacje i przesyła je do centralnego komputera, który koordynuje pozycje graczy oraz ich współdziałanie.

Wszyscy uczestnicy zabawy noszą specjalne okulary, w które zostały wmontowane słuchawki, czujnik ruchu oraz osłonka z wyświetlaczem. Dzięki temu na obraz widziany wokół mogą być nałożone obrazy generowane przez komputer. W ten sposób zamiast zwykłych domów można ujrzeć gigantyczne zamczyska, zza samochodu może nas zaatakować minotaur, a przechodnie stają się dziwnymi cyborgami. Działają? I to tak, że trzeba uważać, by całkiem nie stracić kontaktu z rzeczywistością.

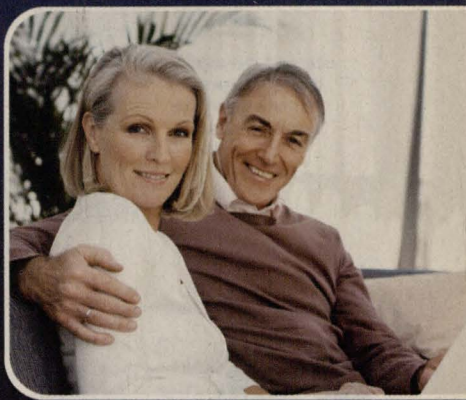
Tą prawdziwą. Naukowcy z Mixed Reality Lab z National University w Singapurze opracowali na przykład Magic Land – planszę do wirtualnej zabawy dla dzieci.

Na pierwszy rzut oka robi to dziwne wrażenie – na dużym stole narysowane są czarne figury geometryczne, a na nich stoją przezroczyste pudełka z tajemniczymi znakami na wierzchu. Wystarczy jednak spojrzeć na planszę przez specjalne okulary, by nieruchome kształty ożyły.

Komputer podłączony do okularów usuwa sprzed oczu dziwne figury i pudełka, wstawiając zamiast nich bajkową krainę wraz z jej mieszkańcami. Maszyna rozpoznaje znaki na pudełkach i przypisuje im odpowiednie kształty. Jedno staje się czarownicą, inne smokiem. Człowiek może też sam pojawić się na planszy – wystarczy kamera, która uchwyci jego obraz i stworzy na tej podstawie nową postać. Elementy na planszy mogą na siebie wpływać – jeśli przysuniesz swoją postać zbyt blisko smoka, zostanie z ciebie tylko kupka popiołu. Podczas prezentacji systemu na festiwalu NextFest w Chicago wokół magicznego stołu tłoczyły się dziesiątki chętnych do podróży po wirtualnym świecie.

8 min Polaków ma problem nadciśnienia tętniczego.

Zastanów się! Czy nie należysz do grupy zwiększonego ryzyka?



OCHRONA SERCA

Cardiomin
wapń • magnez • potas

- zmniejsza ryzyko występowania nadciśnienia tętniczego
- reguluje pracę mięśnia sercowego
- zapobiega uczuciu mrowienia w rękach i nogach oraz drganiom powiek
- zapobiega skurczom mięśni

250 mg jonów magnezu w 1 tabletkę!!!



PIOTR STANISŁAWSKI
WSPÓŁPRACA DAWID MUSZYŃSKI

samobójcy

ZAMACHOWIEC W KAŻDYM Z NAS

Szaleniec. Socjopata. Frustrat. Tak do niedawna tłumaczono sobie ludzi, którzy z bombą przyczepioną do własnego ciała wysadzają się w powietrze, autobusie, sklepie, zabijając dziesiątki niewinnych osób.

Jednak badania psychologiczne rysują zupełnie inny, bardziej przerażający obraz terrorystów-samobójców. Kim są? Zwykłymi ludźmi. Tak zwykłymi, że w odpowiednich warunkach każdy z nas mógłby zasilić ich szeregi.

Wykształcony i zamożny

„Taki spokojny, miły człowiek. Wykształcony. Miał pracę, rodzinę. Nie wiem, jak mógł to zrobić” – to głosy osób, które często wiele lat mieszkały drzwi w drzwi z terrorystą, nie zdając sobie z tego sprawy.

Te opinie nie dziwią Scotta Atrana – psychologa z University of Michigan. – Terrorysty-samobójcy rzadko są prości i biedni – uważa. – Oni nie są antyspołeczni, są zrównoważeni psychicznie, odpowiedzialni i paradoksalnie te właśnie cechy powodują, że stają się mordercami.

Claude Berrebi, ekonomista z Princeton University, badał pochodzenie społeczne zamachowców palestyńskich w latach 1980–2003. Ku swemu zdumieniu odkrył, że 57 procent z nich ukończyło szkołę średnią. Zaskakująco wielu miało wyższe wykształcenie.

Mniej niż jeden na siedmiu dorastał w biedzie, w jakiej żyje jedna trzecia Palestyńczyków.

Większość ma pracę, rodzinę. Ma po co żyć. – Terroryzm to nie stan umysłu jednostki – twierdzi Ariel Merari, psycholog z Tel Aviv University. – To efekt działania grup, których przywódcy są świetnymi psychologami wykorzystującymi tkwiące w nas ewolucyjnie zakodowane zachowania prospołeczne. Im bardziej jesteśmy wykształceni, świadomi i dostosowani do życia w społeczeństwie, tym łatwiej im ulegniemy.

Bycie terrorystą nie wynika z uwarunkowań psychicznych konkretnego człowieka. Samobójcy wysadzający się dla idei to dzieło organizacji rządzonych przez wprawnych psychologów

Kompania braci

Przerażają nas zamachy z Londynu czy Madrytu, a tak niedawno obchodziliśmy 61. rocznicę powstania warszawskiego. Czy gdyby chłopcy i dziewczęta rzucający się z butelką benzyny na czołg mogli wysadzić się w powietrze, zabijając przy tym setkę faszystów, nie zrobiliby tego? Zrobiliby. To, jak skłonić młodych ludzi, by poświęcali życie w walce o słuszną sprawę, nie jest żadną tajemnicą.

Po pierwsze, potrzebna jest idea, za którą warto oddać życie. Po drugie, potrzebni są bohaterowie patriotci stanowiący wzór do naśladowania, o których będą układane piosenki i wiersze.

W takiej atmosferze wielu młodych ludzi dobrowolnie zaciągnie się do walczących oddziałów. Głowa dowódców w tym, by ich w tym walecznym zapale podtrzymać.

Zwykle wygląda to tak: ochotników dzieli się na małe oddziały – takie „kompanie braci”, w których przechodzą dalsze szkolenie – indoktrynację polityczną czy religijną.

W małych grupach tworzą się więzi i budzi odpowiedzialność za innych: „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Wykorzystuje się tu też znane w psychologii zjawisko wywierania presji przez grupę. „Aprobata twojego zachowania przez gru-

pę jest oznaką uznania ciebie – pisze znany psycholog Philip Zimbardo w książce „Psychologia i życie”. – Sprawia, że zyskujesz tożsamość, stajesz się »dostrzegalny«. Aprobata uzasadnia twoje istnienie, podnosząc twój statut jako osoby zasługującej na uznanie, zapewnia ci poczucie bezpieczeństwa, daje ci poczucie kontroli nad środowiskiem, pokazując, że twoje zachowanie może przynieść pożądane konsekwencje”. Zatem ochotnik pozostający w grupie zachowuje się zgodnie z jej oczekiwaniami. A po nagraniu na wideo lub spisaniu testamentu-deklaracji praktycznie nie ma już honorowego odwrotu od tego, do czego się zobowiązał.

Wbrew pozorom to, że nie jest prosty i niewykształcony, pozwala łatwiej nim manipulować – jest bardziej podatny na idee abstrakcyjne, o długofalowych skutkach.

Z tym że manipulacja musi być dyskretna. Gdyby zastosować przemoc fizyczną, groźby czy nagrody, to jest mało prawdopodobne, że udało by się tych ludzi skłonić do takiego czynu. „Gdy publiczny akt uległości wywoła się przy minimalnym zewnętrznym uzasadnieniu, towarzyszące mu zmiany przekonań i wartości nie tylko są uznawane przez jednostkę za »prawdziwe i kierowane od wewnątrz«, lecz mają też szanse dłuższego utrzymania się” – twierdzi Zimbardo.



Japońscy kamikadze z II wojny światowej byli zwykle młodymi ludźmi bez reszty oddanymi misji



Po lewej: Kobiety oddział samobójczyń Tamilskich Tygrysów, Sri Lanka

Aktywiści Hamasu z atrapami bomb przywiązany do pasa podczas „parady samobójców”, Strefa Gazy



Czecheńska terrorystka zabita przez komandosów podczas szturm na teatr na Dubrowce w Moskwie. Październik 2002

Jeszcze jedna rzecz – osoby wykształcone są też większymi altruistami, chętniej poświęcą się dla społeczeństwa. No i wartość ofiary naprawdę ma znaczenie dopiero wtedy, gdy ofiarujący ma wiele do stracenia. Dlatego w zamachach samobójczych wykorzystywane są matki, młodzi ojcowie, zdolni uczniowie. Jeśli oni chcą się poświęcić za sprawę, to jak ważna musi być sprawa!

Wielu psychologów podkreśla także, że nie bez znaczenia jest wiek zamachowców – to zwykle ludzie młodzi, od 16. do 30. roku życia. Pełni to z pewnością funkcje propagandowe, ale takimi ludźmi jest najłatwiej manipulować. Dlaczego?

Nastoletnie mózgi

Wyjaśnienie przynoszą badania neurologów opisane między innymi w tygodniku „Time”. Doktor Jay Giedd z National Institutes of Health w Bethesda w stanie Maryland dowiódł tego, o czym wie każdy rodzic nastolatka: mózg młodego człowieka jest daleki od dojrzałości.

Najwcześniejszej dojrzejają obszary mózgu odpowiadające za wzrok, słuch, dotyk i orientację przestrzenną. Potem rozwijają się rejony, które koordynują te funkcje. Na końcu dojrzeje kora przedczołowa, gdzie mieszczą się: planowanie,

ustalenie priorytetów, poskramianie impulsów czy rozważanie konsekwencji swych czynów.

– U młodych ludzi intensywnie rozwijają się też rejony mózgu odpowiedzialne za poszukiwanie emocji – mówi Laurence Steinberg, psycholog z Temple University. – Te odpowiadające za osąd osiągają dorosłość bardzo późno. Dlatego młodzi ludzie mają skłonności do podejmowania ryzyka, a dopiero później uruchamiają się mechanizmy pozwalające im zastanowić się, zanim coś zrobią.

– Na początku badań zdecydowaliśmy, że będziemy śledzić rozwój dzieciaków do wieku 18–20 lat – mówi Giedd. – Gdybym miał dziś wybrać, za górą granicę przyjąłbym 25 lat. Wtedy w zasadzie nasz mózg osiąga dojrzałość.

I wtedy już znacznie trudniej nim manipulować. Czy to przypadek, że zamachowcy z Londynu mieli 19, 20 i 22 lata? Najstarszy miał 30 lat.

Zachodni materializm

Badający zjawisko terroryzmu zastanawiają się nieraz, dlaczego jedne organizacje terrorystyczne używają do swoich celów zamachowców-samobójców, a inne nie.

Irlandzka IRA podkładała bomby, ale jej członkowie urządzali jedynie głodówki, nie ginęli sa-

mobójczą śmiercią. Tak zwany amerykański talib John Walker Lindh złapany w Afganistanie w 2001 roku twierdził, że był namawiany do samobójczego zamachu, jednak odmówił.

Samobójcy w imię idei wywodzą się właściwie tylko z kultur Wschodu: to japońscy kamikadze, palestyński Hamas, Tamilskie Tygrysy ze Sri Lanki, kaszmirscy separatyści z Indii, libański Hezbollah, czecheńscy bojownicy. Dlaczego?

– Może dlatego, że kultura Zachodu jest znacznie bardziej materialistyczna? – zastanawiają się antropolodzy. – By dopełnić ideologiczne samobójstwo, nie można być materialistą.

Jednak inni badacze się z tym nie zgadzają. – Użycie samobójców zależy raczej od proporcji sił po obu stronach – mówi Scott Atran. Wskazuje, że Palestyńczycy zaczęli się wysadzać, gdy armia izraelska tak urosła w siłę, że niemożliwa stała się otwarta walka obu stron.

Inny badacz – Bruce Hoffman z Center for Terrorism Risk, amerykańskiej pozarządowej organizacji RAND – uważa, że to rywalizacja między grupami terrorystycznymi popycha ich do takich kroków. – Hamas rozpoczął serię samobójczych zamachów w 1993 roku, gdy OWP Jasera Arafata zaczęła rozmowy o pokoju, dostając się na czołówki gazet – tłumaczył dziennikarzowi pisma „New Scientist”. – Velupillai Prabhakaran, przywódca Tamilskich Tygrysów, zaczął posyłać do zamachów samobójców w 1987 roku, by zyskać opinię najważniejszej grupy tamilskich separatystów. Najbardziej zdesperowane grupy zaczynają do zamachów używać kobiet – uważa Hoffman.

A religia? Tyle mówi się teraz o religijnych islamskich fanatykach. Psychologowie są zgodni: to wartość istotna, ale niekonieczna. Tamilskie Tygrysy to organizacja komunistyczna, 22 na 31 ataków w Libanie przeprowadziły organizacje świeckie, nie zaś religijni fanatycy.

Czy wobec tych faktów łatwiej nam będzie przeciwdziałać takim zamachom? Może, pod warunkiem że przyjmiemy je do wiadomości. Jeśli jednak będziemy dawać posłuch deklaracjom prezydenta Busha, że przeciwdstawia się on terrorowi, walcząc z biedą i zacofaniem krajów arabskich, nic z tego nie będzie.

Bo terroryści nie biorą się z biedy i nieuctwa.

OLGA WOŹNIAK

„Przekrój” wydaje polecenia kulturalne

Włoszenie

SKAZANY NA KULT

11 lat po śmierci **Rysiek Riedel** jest jedynym zmarłym idolem rocka w Polsce, którego wciąż otacza żywy kult fanów

Wszyscy wiedzą, jaki był Rysiek, nie ma sensu mówić o rzeczach oczywistych – wżrusza ramionami większość ludzi, którzy przyjechali na Festiwal imienia Ryska Riedla na tyskich Paprocanach. Mówią, że Rysiek to świetny gość, bo „był prawdziwy, bo nie przyjmował plastikowych póz, bo wszystko, co robił, wypływało z serca, bo jego dusza chciała być wolna, chociaż okazało się, że to nie jest w pełni możliwe”. Mówią tak, choć nie wszyscy go pamiętają – spora część publiczności festiwalu powołanego dla uczczenia pamięci o zmarłym 11 lat temu wokaliście grupy Dżem to ludzie zbyt młodzi, żeby pamiętać Ryszarda Riedla na scenie. Ale kult pozostaje i przejmują go coraz młodsze pokolenia. Widać to po koszulkach z wizerunkiem idola (z wypisanym słynnym „Się macie ludzie” – powitalnym okrzykiem Riedla znanym z koncertów), po świeczkach przy oczku wodnym i tablicy poświęconej muzykowi, w końcu po licznych sobowtórach – długowłosych, w czarnych kapełuszach i kowbojkach, próbujących wcielić w życie mit wiecznego outsidera i włóczęgi bez grosza przy duszy, ale wolnego, nieskrępowanego żadnymi zakazami. „Wspaniali ludzie nie

powrócą, Rysiu nie powróci już” – śpiewają fani podczas nocnego muzykowania z gitarą, ale zaraz ktoś dodaje: „Rysiek żyje wśród nas ciągle!”. Ostatni hipis, bluesowy Chrystus, polski Jim Morrison – to określenia, którymi najczęściej charakteryzuje się Riedla. Nie mieliśmy w historii polskiej muzyki rockowej drugiej postaci otaczanej takim kultem.

SEN O WOLNOŚCI

Ludzie na Paprocanach chętnie opowiadają sobie o nim różne historie, podobno z pierwszej ręki, podobno od kogoś, kto go znał: jak to był tak chudy, że upijał się dawka, która na innych nie robiła większego wrażenia; jak przepijał wszystkie pieniądze i trzeba było tłumaczyć przed żoną, że go okradli. Wszyscy jednak widzą w nim przede wszystkim tragicznego buntownika zaplątanego w sidła własnych snów o wolności, nieprzystosowanego wrażliwca, którego ucieczka od świata zaprowadziła do narkomańskich melin, na kilka nieudanych detoksów, a w końcu – na tyski cmentarz.

Był typem artysty naiwnego, bez wykształcenia – ani muzycznego, ani jakiegokolwiek innego. Do podstawówki przestał chodzić, bo go nudziła. Nudziła go też praca – wszędzie, gdzie się zatrudniał, przychodził najwyżej przez kilka dni. Zupełnie jak bohater legendarnych „Whisky” czy „Wehikułu czasu”.



TYSKI FESTIWAL POKAZAŁ, ŻE RIEDEL MA WCIĄŻ NOWYCH FANÓW

Bo Riedel zawsze śpiewał o sobie, czasem do bólu ekshibicjonistycznie. Teksty pisał, jak umiał – jego rękopisy pełne były błędów ortograficznych, ale nie o poprawność chodziło. Jego „wolność” okazywała się kłopotliwa – był niesłowny, nie dotrzymywał terminów, zniknął, kiedy zespół miał właśnie wychodzić na scenę. Ale ludzie widzieli w nim autentyczność i charyzmę. – Umiał się zatracić, razem z nim czuliśmy, że lecimy w kosmos – opowiada Beno Otręba, basista Dżemu.

JABOL NA GROBIE

3 sierpnia 1994 roku na pogrzeb stawili się tysiące fanów, że do grobu nie miał szans dopchać się nawet sam zespół. Potem zaczęły się pielgrzymki: ludzie przychodzili z gitarami, śpiewali piosenki, zostawiali po sobie listy, pacyfki, koraliki, ktoś nawet harmonijkę ustną, niektórzy w namiotach koczowali w okolicach

cmentarza. W 11. rocznicę śmierci Ryska jest już spokojniej – na grobie stoi niedopite piwo i prawie nietknięta butelka jabola. Grupa podstarzałych hipisów, którzy rozpijają jakieś trunki, pozuje do zdjęcia. Zbiorowa histeria już opadła, a ażylem dla przybywających co roku na cmentarz wielbicieli Riedla stał się festiwal, który miał właśnie siódmą edycję. Oczko wodne w kształcie litery „V” na tyskich Paprocanach po części przejęło zaś rolę symbolicznego miejsca, na którym można postawić świeczkę. – Festiwal powstał, ponieważ ludzie nam dali znać, że Rysiek jest dla nich legendą – mówi Adam Antosiewicz, organizator imprezy. Przyznaje, że prócz kultywowania pamięci Riedla i ostrzeżenia młodych ludzi przed narkotykami jednym z celów imprezy jest częściowe odciążenie fanów od cmentarza. – Od rana przewinęło się tu około 200 osób. Przyjeżdżają na motocyklach, czasem z jedzeniem, piwem, grają na gitarze – opowiada para młodych ludzi sprzedających znaczki przed cmentarzem.

COŚ NIE TAK

Dlaczego akurat kult Riedla? A nie choćby przedwczesnie zmarłych Bogdana Łyszkiewicza czy Grzegorza Ciechowskiego? O odpowiedź nietrudno – Riedel lepiej wpisuje się w schemat wykletego artysty. Bo ludzie uwielbiają, kiedy z artystą jest coś nie tak. Kochają



OCZKO WODNE W KSZTAŁCIE LITERY „V” NA PAPROCANACH TO SYMBOLICZNE MIEJSCE DLA FANÓW RIEDELA

Fot. KRYSZTOF WOJCIK/FORUM

tych, którzy do tego świata po prostu nie pasują. W Polsce podobnymi legendami bywali częściej poeci niż rockmani. Choćby Stachura – wzór dla hipisów, ale i samobójców – legenda mówi, że ktoś rzucił się pod pociąg z jego wierszem w kieszeni, a ostatnio w internetowej grupie dyskusyjnej wielbicieli poety pojawiają się pytania: „Jak mam popełnić samobójstwo?”. Albo Wojaczek, którego kult przypieczętował film Lecha Majewskiego pokazujący postać autodestrukcyjnego outsidera. Wreszcie Tomasz Beksiński – najmniej typowy w tym towarzystwie, bo był tłumaczem i dziennikarzem, ale w jego wizji obu tych zawodów więcej było sztuki niż rzemieślniczej pracy. Też popełnił samobójstwo. Ludzie uwielbiali go za nadwrażliwość, za życie bardziej w świecie muzyki i ukochanych filmów niż w twardej rzeczywistości – za wszystko to, co nie pozwoliło mu żyć. Dawni słuchacze do tej pory uważają go za przewodnika, a stare audycje przechowują jak najcenniejsze skarby.

Gdyby zestawili Riedla z Morrisonem, Cobainem czy Hendriksem, łatwo byłoby znaleźć analogie, ale równie łatwo różnice. Od tamtych gwiazd różni go bowiem nie tylko zasięg sławy czy – jak podkreślają niektórzy – jakość branych narkotyków, ale też rozmach, z jakim kultywowana jest jego postać. Przykład Riedla pokazuje bowiem, że w Polsce legendy się raczej zasuśca, niż czyni wiecznie żywymi. I to nie tylko dlatego, że nie ma wokół nich żadnego przemysłu, który pobudza wyobraźnię fanów. Jak dotąd powstała zaledwie jedna biografia artysty, z którą nikomu nie przyszło do głowy polemizować. No i jeden film – „Skazany na bluesa” Jana Kidawy-Błońskiego – też niczego nowego niewnoszący do tego, co już wiadomo. Zupełnie jakby reżyser bał się zaszkodzić jedynej polskiej rockowej legendzie.

MALWINA WAPIŃSKA

NAIWNE PYTANIA

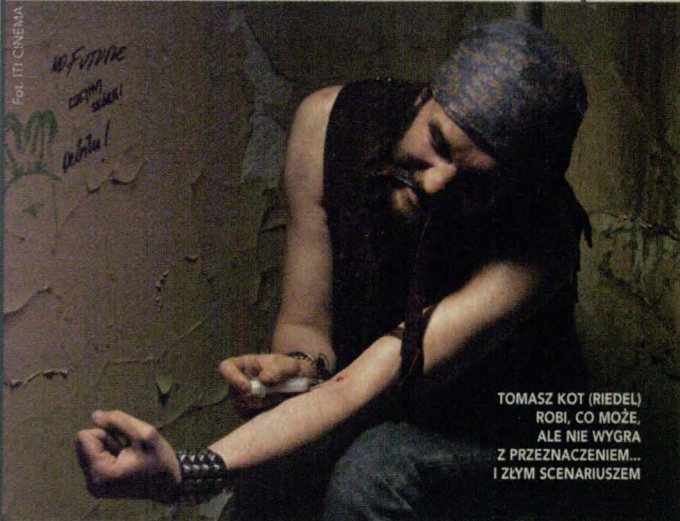
●●○○○○

Jak nadszarpnąć największy mit polskiej muzyki popularnej w 101 minut

Filmowa historia życia Riedla zaczyna się obiecująco – z jakim takim tłem społecznym, bardzo dobrą główną rolą debutanta Tomasza Kota, akcją, konfliktem rodzinnym i portretem młodych chłopaków, którzy będą gwiazdami. I muzyką. Ale nie wystarczą zdjęcia zespołu grającego dobrą pokoleniową muzykę, żeby wypełnić 101 minut, a historia – objiająca się o to, że nikt nie poddał porządnej biografii Riedla, twórcy zaś bali się wyrazistej interpretacji – powoli zmierza... donikąd. Biografia takiej gwiazdy siłą rzeczy musi pokazywać wycinek życia i musi go interpretować. Film „The Doors” Stone’a pokazał Jima Morrisona jako człowieka mistycznie opętanego, a „Ray” Hackforda kreślił postać Raya Charlesa (świeżo po jego śmierci) jako geniusza muzycznego z niebezpiecznym kompleksem inwalidztwa. Tu tymczasem mamy zatrzważające wrażenie, że oto prześledziliśmy losy nudnego człowieka, który nie wiedział, co ze sobą zrobić w życiu, a potem już niespecjalnie się zastanawiał, bo znalazł narkotyki. Może dlatego, że opowieści o twórczości muzycznej Riedla nie udało się spleść z historią jego życia, to w filmie dwa osobne strumienie. Teksty nie są odpowiedzią na życie, piosenki nie ilustrują wydarzeń. Czyli mamy, o zgrozo, dość zwyczajną historię narkomana. Smutną, bo koledzy z zespołu zaczynają nieśmiało „poważną” rozmowę o nalu, gdy już bierze od lat, a żona nie chowa igieł, przeciwnie – mało brakowało, by się sama naszprycowała, gdyby nie... dzwonek do drzwi (to już prawdziwie kuriozalna scena). Jeśli dodać do tego pojawiające się co rusz pompacyjne wizje z symbolizującym wolność (jakże oryginalnie!) białym koniem, to momentami całość przechodzi na tę drugą stronę tragedii, gdzie zaczyna się już niezamierzona komedia.

Z błędów „Skazanego...” dałoby się pewnie przygotować podręcznik o tym, jak nie kręcić biografii wielkich i wciąż czczonych zmarłych idoli. Niestety, nie będzie go już na kim wypróbować, bo kolejnej takiej postaci nie mamy.

BARTEK CHACIŃSKI



TOMASZ KOT (RIEDEL) ROBI, CO MOŻE, ALE NIE WYGRA Z PRZEZNACZENIEM... I ZŁYM SCENARIUSZEM

„SKAZANY NA BLUESA”, REŻ. JAN KIDAWA-BŁOŃSKI, Polska 2005, ITI Cinema, premiera 12 sierpnia

DZIECI KWIATÓW

Wybuchowe rodzeństwo Wainwrightów

nietypowo podzieliło role: piosenki Rufusa są piękne i poetyckie, Marthy – wyraziste i twarde

Loudon Wainwright III, choć był znaczącą postacią amerykańskiej piosenki folkowej lat 70., w Polsce pozostał niemal niezany. No, może poza paroma epizodami serialu „M*A*S*H”, w których gościnnie wystąpił. Teraz mamy okazję poznać go jako ojca jeszcze ważniejszych dzieci. Chociaż jako gwiazda nie poświęcał im kiedyś zbyt dużo czasu, pisał dla nich piosenki. Dla syna Rufusa „Rufus Is A Tit Man” (czyli „Rufus lubi cycek”), a dla młodszej córki Marthy – „Pretty Little Martha” („Śliczna mała Marta”). Po latach przychówek mu się zrewanżował, sławiąc nazwisko Wainwrightów, choć w sposób wzbudzający kontrowersje. Rufus nie odciął się wprawdzie od hipisowskiej tradycji rodu, ale został jednym z najślawniejszych pieśniarzy gejoskiej Ameryki. A Martha przypuściła atak na rodzinę, adresując swój najmocniejszy utwór „Bloody Mother F*cking Asshole” właśnie do ojca. Ale w oboju przetrwało coś z Loudona – wszystkie ich piosenki można wykonać na głos i gitarę, nie gubiąc nic z ich siły.

Rufus już jest sławny w rodzinnym kraju. Zdobył tę sławę natchnionymi pieśniami w barokowych aranżacjach i z kontrowersyjnymi tekstami. Jego ostatni album „Want Two” to kontynuacja tej linii. Martha ma z kolei zadatki na wokalistkę wybitną. Zadebiutowała później niż brat, za to niepokornie, bez oglądania się na listy przebojów. Kiedy za parę lat je podbije, a ma na to duże szanse, słuchacze z pewnością będą poszukiwać tej płyty jak zagubionego świętego Graala. O album Marthy, śpiewającej i grającej na gitarze, piszącej teksty i wszystkie kompozycje, trud-

dziłby się w przemyśle porno. Zstąpił do Studia 54, a ścieżki torowałyby mu niejaki Rufus Chrzyciel. Spotykają się na moment w „Don't Forget” na płycie Marthy. Co więcej, na fortepianie gra tu ich matka Kate McGarrigle. I tylko ojca brakuje. Nie wiem, co on takiego nawyczyniał swoim dzieciom, ale najwidoczniej posiał, biedak, wiatr i zbiera burzę. A przy okazji spadł deszcz płyt i my mamy tego owoce.

BARTEK CHACIŃSKI

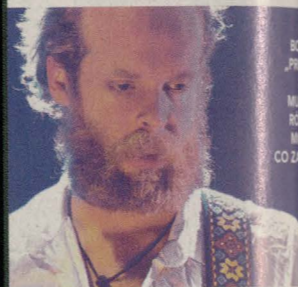
MARtha WAINWRIGHT „MARTHA WAINWRIGHT”, Zoe ●●●●●○
RUFUS WAINWRIGHT „WANT TWO”, Geffen ●●●●●○



DEBIUTANTKA MARtha WAINWRIGHT I JEJ BRAT RUFUS (PONIŻEJ) – GWIAZDA AMERYKAŃSKIEJ BOHEMY

STRZAŁ W PUNKT!

Przecieramy oczy ze zdumienia. Do Polski jedzie najlepszy bard współczesnej Ameryki



A jednak to prawda! Gdy usłyszałem tę wiadomość, nie wierzyłem własnym uszom. Ale z drugiej strony czemu się dziwić? Nasz rynek koncertowy normalnie, a więc każdy może tu zagrać. Także i Will Oldham a.k.a. Bonnie „Prince” Billy (używający jeszcze kilku innych pseudonimów), jedna z najważniejszych postaci nurtu amerykańskiego – kompozytor, gitarzysta, poeta, bard, po prostu śpiewak. Will Oldham od ponad 10 lat jest sam sobie sterem, zeglarzem i okrętem. Jego charakterystyczny, łamiący się głos i dźwiękowy ascetyzm wywołują skrajne emocje. Oldham z amerykańskiej tradycji (blues, country, gospel) ułożył własny muzyczny świat. Stał się Dylanem 30-latków, ze swej outside-skiej, piosenkowej konwencji uczynił symbol pokolenia. Warto poznać szczególnie płyty „There Is No-One What Will Take Care Of You” (1993), „I See A Darkness” (1999) i najnowszy album „Superwolf” zarejestrowany z gitarzystą Mattem Sweeneyem. I to obaj panowie pojawiają się w warszawskim klubie Punkt na jednym koncercie w Polsce. Ubiegłego lata Lambchop, teraz Bonnie „Prince” Billy. Kto wystąpi za rok?

JACEK HAWRYLUK

BONNIE „PRINCE” BILLY I MATT SWEENEY – 12.08 WARSZAWA, PUNKT



RODZINNA SUROWKA

Choć to lekki falstart, to z tych braci będą jeszcze ludzie

To szlachetne, że bracia Cugowscy zrezygnowali z epatowania popularnym nazwiskiem i w dodatku wchodzą na rynek płytowy surową płytą rockową, a nie jakimś plastikowym kotletem. Nie będą mieli z tego powodu łatwiej – a przecież Piotr Cugowski, który głos odziedziczył po ojcu, ale fizys już z pewnością nie, w cuglach wygrałby „Idola” albo „Drogę do gwiazd” i podbiłby dyskoteki, gdyby tylko spróbował zagrać ulizane go pięknością. Ale za szlachetne podejście i duży talent nikt się jeszcze z miejsc nie rzuci Braciom amerykańskiej tradycji (blues, country, gospel) ułożył własny muzyczny świat. Stał się Dylanem 30-latków, ze swej outside-skiej, piosenkowej konwencji uczynił symbol pokolenia. Warto poznać szczególnie płyty „There Is No-One What Will Take Care Of You” (1993), „I See A Darkness” (1999) i najnowszy album „Superwolf” zarejestrowany z gitarzystą Mattem Sweeneyem. I to obaj panowie pojawiają się w warszawskim klubie Punkt na jednym koncercie w Polsce. Ubiegłego lata Lambchop, teraz Bonnie „Prince” Billy. Kto wystąpi za rok?

IGOR KOŚCIELNIK

BRACIA „FOBROCK”, Art Creation

GŁOSY NOWEGO WIEKU

Najlepsi nowi artyści piosenki – na nowej płycie „Przekroju” i w zestawieniu poniżej

W serii płyt „Przekroju” od sierpnia wyjątkowa nowość. Zbiór nagrań najciekawszych młodych songwriterów: twórców i wykonawców piosenek. Zarówno z Ameryki, jak i z Europy. Najprostsza metoda, by poznać świat nowych głosów, to sięgnąć po płytę z naszej kolekcji. Kolejnym powinno być sięgnięcie po poniższą ósemkę najlepszych albumów z nową piosenką, jakie się ukazały w XXI wieku: Bonnie „Prince” Billy & Matt Sweeney „Superwolf” (2005) Bonnie – prywatnie Will Oldham – to najważniejsza postać nowej piosenki. A dla większości debiutantów z ostatnich lat – mentor – wzór. Szerzej o tej postaci obok, bo Bonnie „Prince” Billy przyjeżdża w tym tygodniu na koncert do Warszawy.



ANTONY & THE JOHNSONS „I Am A Bird Now” (2005)

Znajomy Rufusa Wainwrighta, ale i Lou Reeda. Nowojorski pieśniarz transwestyta obdarzony nieprawdopodobnym głosem i śpiewający przepelnione melancholią ballady. Zachwalaliśmy jego płytę zimą tego roku.

BRIGHT EYES „I'm Wide Awake, It's Morning” (2005)

Conor Oberst z Nebraski zaczynał pisać piosenki jako 13-latek. Teraz, w wieku 24 lat, ten introwertyk o głosie przypominającym Roberta Smitha z The Cure to czołowa postać amerykańskiej sceny alternatywnej. Szerzej pisaliśmy o nim w „Przekroju” trzy tygodnie temu.



Składanka „Przekrój muzyki: Głosy nowego wieku” wydana przez „Przekrój” i Kompanię Muzyczną „Pomaton” już do nabycia w sklepach muzycznych. Zawiera zestaw 17 nagrań, jakiego nie znajdziecie nigdzie indziej, w tym utwory takich wykonawców, jak Antony & The Johnsons, Norah Jones, Badly Drawn Boy, Ursula Rucker, Martha Wainwright, Angela McCluskey. Cena: 29,99 zł. W sklepach muzycznych wciąż do nabycia poprzednie odcinki serii: „Soul bez pościeli”, „Nowy rock”, „Korzenie hip-hopu”, „Selekcja klubowa”, a kolejny – z chilloutowymi nagraniami wybranymi przez dziennikarzy „Przekroju” – już we wrześniu!

BADLY DRAWN BOY „One Plus One Is One” (2004)

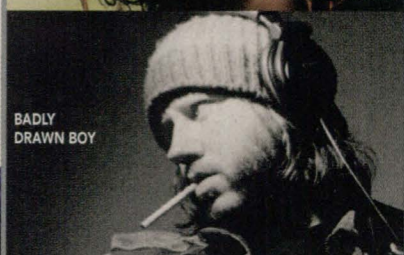
Nadzieja Anglii. Porównywany z Lennonem, w Polsce szerzej znany jako twórca piosenek do filmu „Był sobie chłopiec”. Mistrz melodii i nastroju, subtelny i niebawale zdolny. Prywatnie: Damon Gough.

COCO ROSIE „La Maison De Mon Reve” (2004)

Coco Rosie to dwie siostry: Sierra (24 lata) i Bianca Cassady (21 lat). Nagrały jed-



DEVENDRA BANHART



BADLY DRAWN BOY

ną z najlepszych płyt ubiegłego roku, wykazując się znajomością tradycji bluesa i gospel. Ich nagrania brzmią prawdziwie i koźennie, jak przypadkiem odnaleziona taśma sprzed kilkudziesięciu lat.

JOANNA NEWSOM „The Milk-Eyed Mender” (2004)

Młodziutka harfistka i wokalistka o naiwnie brzmiącym głosie dziecka. Nagrywa jedyne w swoim rodzaju minimalistyczne piosenki. Indywidualistka, w której niektórzy widzą już nową Björk.

DEVENDRA BANHART „Rejoicing In The Hands” (2004)

Postać z kręgu New Weird America – uduchowiony młodziutki bard z San Francisco, którego zeszloroczny album był objawieniem. Wraca do prostych, bezpośrednich piosenek i hipisowskich źródeł pokolenia swoich rodziców.

MARtha WAINWRIGHT „Martha Wainwright” (2005)

Utalentowana córka słynnego ojca i siostra słynnego brata. Jeden z najlepszych debiutów płytowych tego roku. Szczegółowo w recenzji obok.

WYBRALI: JACEK HAWRYLUK I BARTEK CHACIŃSKI

UNIKALNA KOLEKCJA PRZEKRÓJ MUZYKI



Najmłodszy mistrzowie piosenki

NOWA PŁYTA

NAJLEPSI WYKONAWCY WYJĄTKOWE UTWORY CENY NIE DO POBICIA

(KAŻDA PŁYTA 29,99 ZŁ, W TYM 22% VAT)

PRZEKRÓJ Pomaton Music from

Nadal w sprzedaży:

„SOUL BEZ POŚCIELI”, „NOWY ROCK” i „KORZENIE HIP-HOPU”.

Szukaj w najlepszych sklepach muzycznych na terenie kraju.

mistrzowie na piątkę warto ujrzeć kiepskie dno

mistrzostwo
na piątkę
warto
ujdzie
kiepskie
dno

ANDY WARHOL SUPERSTAR

Twierdził, że **każdy może być sławny przez 15 minut.**

Jego własna sława nie przemija od kilkudziesięciu lat

Czy jest w cywilizowanym świecie ktoś, kto nie słyszał o Andym Warholu? Kto choć raz nie widział stworzonych przez niego wizerunków Marilyn Monroe, puszek zupy Campbella albo wywalonego na brodę języka, czyli firmowego znaku zespołu Rolling Stones? Pytanie jest retoryczne. Kim był Andy Warhol, wiedzą wszyscy. I nikt nie wie, kim był Andy Warhol. Prawie 700-stronicowa biografia napisana przez Victora Bockrisa drobiazgowo opowiada o kolejnych etapach życia najslawniejszego amerykańskiego artysty XX wieku, ale próżno szukać w niej odpowiedzi na pytanie o nasz ulubiony „klucz do jego osobowości i sztuki”. W książce Bockrisa można znaleźć fakty i anegdoty wspierające niemal wszystkie (a imię ich legion) sprzeczne opinie krążące o Warholu, co znaczy, że wylania się z niej postać fascynująca i niejednoznaczna. Nieczuły potwór i ofiara losu, rewolucjonista, skończony konformista, skąpiec i chciwiec, czuły i szczodry mentor swoich współpracowników, snob i symbol artystycznego buntu, naiwniak, cynik, geniusz, hucpiarz i uosobienie kiczu, łachmaniarz, dyktator mody, sól w oku przyzwoitych ludzi i najpełniejsze wcielenie amerykańskiego snu – tę litanię można by ciągnąć w nieskończoność. Akolici nazywali Warhola „Drellą”, łącząc w jednym słowie Drakulę i Cinderellę (czyli Kopciuszkę) – przydomek ten całkiem nieźle oddaje paradoksalność postaci ich mistrza.

Nic dziwnego, że sztuka i osoba Warhola przez całe lata ogniskowały wokół siebie rozmaitych ludzi i nieprzystawalne światy. Dość spojrzeć na indeks osób, któ-

re pojawiają się w biografii Andy'ego. Sławni transwestyci, geje i prześliczne debiutantki z wyższych sfer, Bob Dylan, Jagger, Lennon i mama prezydenta Geralda Forda, handlarze narkotyków, Liz Taylor, Truman Capote, Jasper Johns, Rauschenberg, Basquiat, David Bowie, szach perski, Muhammad Ali, Nico, Lou Reed, John Cale i ich Velvet Underground, milionerzy i nędzarze, wariaci i ary-stokraci, wszyscy albo prawie wszyscy, których warto było i wypadało znać.

I nikt chyba też nie będzie zdziwiony, że spośród setek przytaczanych przez Bockrisa wypowiedzi najlepiej brzmią słowa samego An-

dy'ego zaczerpnięte bądź z jego wywiadów (w kontaktach z mediami był klasą samą dla siebie), bądź z książek sygnowanych jego nazwiskiem. Andy nie pisał ich, lecz „organizował” (nieco podobnie jak organizował kręcenie swoich niezwykle filmów), nagrywając wypowiedzi na magnetofon i pozostawiając opracowanie materiału redaktorom i współpracownikom. Zbiegiem okoliczności jedna z jego książek (i pierwsza po polsku) ukazała się równoległe z biografią. Nic tylko czytać, bo „Filozofia Andy'ego Warhola od A do B i z powrotem” to bardzo ładny kawałek Warholowskiej prozy. Życiowe kawałki, których styl może przywieść

na myśl szczęśliwe połączenie bud-dyjskiego koana, notki z pisma o modzie i rubryki towarzyskiej w brukowcu, co owocuje całą masą praktycznych sentencji.

Wygląda więc na to, że tegoroczny polski sierpień może okazać się miesiącem Andy'ego Warhola. Bardzo dobrze, o taką Polskę walczyliśmy.

MARCIN SENDECKI

VICTOR BOCKRIS „ANDY WARHOL. ŻYCIE I ŚMIERĆ”, PRZEL. PIOTR SZYMOR, W.A.B., Warszawa 2005
ANDY WARHOL „FILOZOFIA WARHOLA OD A DO B I Z POWROTEM”, PRZEL. JOANNA RACZYŃSKA, Twój Styl, Warszawa 2005



TOKSYCZNA PANNA MŁODA

Mroczny „Wodospad” Oates wciąga mimo rozmiaru XL

Jeśli już pan młody rzuca się do wodospadu tuż po nocy poślubnej, to nie masz sprawiedliwości na świecie! Przecież nazajutrz młody pastor Erskine i utalentowana córka innego pastora Ariah mieli zwieńczyć wodospady. Mieli zjeść lekkie śniadanie na tarasie i spacerować pod rękę. Joyce Carol Oates, dwukrotnie nominowana do Nagrody Nobla amerykańska powieściopisarka, zaczyna swoją powieść



OATES NA ŻYWO I NA PLAKACIE

„Wodospad” mocno i dynamicznie. Samoobójca oglądany oczami zeznającego strażnika miał „zapadnięte, jakby rozjarzone oczy”. Dalej mamy opis wodospadu jak z kosmaru sennego: wszystko jest spowite mgłą, dźwięki zagłusza huk, który będzie towarzyszył bohaterom w różnych momentach ich historii. Nic dziwnego, że wodospad jest ulubionym miejscem depereratów. Miejscowi wiedzą, że lepiej trzymać się od niego z daleka. Ale przesady nie obchodzą Ariah, która wzbudziła w młodym Erskine tak olbrzymie obrzydzenie. A jednak nie może być odrażająca – niedługo zakocha się w niej bogaty prawnik. Skutkiem kolejnych, tym razem przyjemnych perypetii Ariah zostanie matką. Oczywiście matką toksyczną. Mieszkańcy Niagara Falls mieli rację – „Wodospad” wciąga. Mimo rozmiaru XL książkę czyta się dużymi haustami. Chwilami Oates czyta się jak Chandlera, czasem niemal jak Dostojewskiego, a momentami jak typowego przedstawiciela różowej serii z kiosków. A jednak, a może właśnie dlatego, tak bardzo nam się podoba.

AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO

JOYCE CAROL OATES „WODOSPAD”, PRZEL. KATARZYNA KARŁOWSKA, Rebis, Poznań 2005



PLAC UNII LUBELSKIEJ WIDZIANY Z POKŁADU FOCKE-WULFA W 1944 ROKU

JESZCZE WIDAĆ MIASTO

Portret wielkowiejskiej Warszawy zrobiony na chwilę, zanim znikła

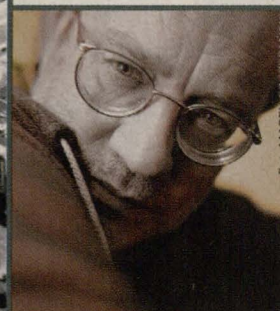
Album „Warszawa. Ostatnie spojrzenie” zawiera 95 rewelacyjnych fotografii wykonanych przez niemieckiego lotnika późną wiosną 1944 roku, kilka tygodni przed wybuchem powstania i ostateczną zagładą miasta. Historyk Marek Barański odnalazł ten niezwykle cenny zbiór przypadkiem, szperając w aktach Bildarchiv Foto Marburg. Latem 2004 roku fotografie wystawiono w Muzeum Historycznym Warszawy, a teraz dzięki staraniom dyrekcji Muzeum zostały wydane w formie albumu.

Jak wyglądało wtedy miasto? W porównaniu z dzisiejszą płatanią ścieków komunikacyjnych tamta Warszawa zdaje się wyglądać jak... miasto. Ulice to ulice, place to place, ogrody to ogrody. Ład, za jakim tęsknimy, spacerując po zachodnich metropoliach. Z drugiej strony przeraża wielka biała plama gruzów w miejscu zlikwidowanego getta. Największe wrażenie robi fotografia oznaczona numerem 10. Widać na niej fragment tętniących życiem Alej Jerozolimskich na wysokości Dworca Głównego (dziś Warszawa Śródmieście). Zdjęcie jest wyjątkowo ostre. Tramwaje, wozy konne, samochody. Przed wejściem do hali dworca można łatwo policzyć ludzi. Ilu z nich zginie w powstaniu? Czy przeżyją, że to ostatnie chwile miasta? Tuż obok, na podwórzu studni kamienicy przy ulicy Pankiewicza, widać wyraźnie cień charakterystycznego, podwójnego kadłuba focke-wulfa, z którego zrobiono zdjęcie.

MAX SUSKI



„WARSZAWA. OSTATNIE SPOJRZENIE. NIEMIECKIE FOTOGRAFIE LOTNICZE SPRZED SIERPNI 1944”, Muzeum Historyczne miasta stołecznego Warszawy, Warszawa 2005



planecie. Wędrował po Bałkanach, Afganistanie, Grecji i Iranie. Mieszkał w Indiach, Chinach, Irlandii i wiele lat w Japonii, która go interesowała szczególnie. Owocem długiego pobytu na Cejlonie była „Ryba-Skorpion”, książka niesamowita, tak jak sam pobyt Bouviera na tej niezwykle i mistycznej wyspie. Zjeździł Amerykę i niemal całą Europę. Wiele razy bliski śmierci, także głodowej, zawsze jakoś się wywijał. Był Szwajcarem urodzonym w świetnej rodzinie z wielkimi kulturalnymi tradycjami, gdzie mówiło się paroma językami i kształciło dzieci na Europejczyków doskonałych. Żadnego byleactwa, powierzchowności, taniocchy intelektualnej. Dziś coś takiego zdaje się labędzimy się z trawy? Wymaga to tylko uprzedniego zaopatrzenia się w sześć książek pewnego autora. Więcej nie będzie; autor nie żyje od siedmiu lat. Właśnie teraz ukazała się ostatnia, sklejona z pośmiertnych notatek, fragmentów listów, zapisków. Nazywa się „Pustka i pełnia”. Wszystkie wysły nakładem Noir sur Blanc; autorem ich jest **Nicolas Bouvier**. Nazwisko niewiele Wam mówi? Trudno się dziwić. To jest pisarz dla maniaków, smakoszy i entuzjastów. Powiedzmy odważnie: „Pustkę i pełnię” (obie o Japonii), potem hajda na Cejlon z „Rybą-Skorpionem”, a zakończycie w Irlandii, skąd „Dziennik z wyspy Aran i z innych miejsc”. Przeżyjcie jedną z najniezwyklejszych przygód literackich. Ale ostrzegam, nie każdy znieśie trud tych wypraw. Komu się uda, nie zapomni ich nigdy.

TADEUSZ NYCZEK

CZYTANIE NA TRAWIE...

...albo jak zostać podróżnikiem, nie ruszając się z domu

Jako że lato, znów można poleżeć na trawie, nie wyętzając nadmiernie sił przeznaczonych na obsługę pozostałych pór roku. Pozycja leżna to sama rozkosz, wiadomo. A co powiecie na odbycie najwspanialszej podróży świata bez ruszania się z trawy? Wymaga to tylko uprzedniego zaopatrzenia się w sześć książek pewnego autora. Więcej nie będzie; autor nie żyje od siedmiu lat. Właśnie teraz ukazała się ostatnia, sklejona z pośmiertnych notatek, fragmentów listów, zapisków. Nazywa się „Pustka i pełnia”. Wszystkie wysły nakładem Noir sur Blanc; autorem ich jest **Nicolas Bouvier**. Nazwisko niewiele Wam mówi? Trudno się dziwić. To jest pisarz dla maniaków, smakoszy i entuzjastów. Powiedzmy odważnie: „Pustkę i pełnię” (obie o Japonii), potem hajda na Cejlon z „Rybą-Skorpionem”, a zakończycie w Irlandii, skąd „Dziennik z wyspy Aran i z innych miejsc”. Przeżyjcie jedną z najniezwyklejszych przygód literackich. Ale ostrzegam, nie każdy znieśie trud tych wypraw. Komu się uda, nie zapomni ich nigdy.

Wszystkie książki Bouviera dostaniecie jeszcze to tu, to tam. Proponuję czytać je wedle pewnego klucza. Dobrze zacząć od wywiadu z pośmiertnych notatek, fragmentów listów, zapisków. Nazywa się „Pustka i pełnia”. Wszystkie wysły nakładem Noir sur Blanc; autorem ich jest **Nicolas Bouvier**. Nazwisko niewiele Wam mówi? Trudno się dziwić. To jest pisarz dla maniaków, smakoszy i entuzjastów. Powiedzmy odważnie: „Pustkę i pełnię” (obie o Japonii), potem hajda na Cejlon z „Rybą-Skorpionem”, a zakończycie w Irlandii, skąd „Dziennik z wyspy Aran i z innych miejsc”. Przeżyjcie jedną z najniezwyklejszych przygód literackich. Ale ostrzegam, nie każdy znieśie trud tych wypraw. Komu się uda, nie zapomni ich nigdy.

„GHOST RECON 2”
POKAZUJE KOREE
PÓŁNOCNĄ JAKO
ZAGROŻENIE
DLA POKOJU. RZĄD
KOREI WYSTOSOWAŁ
OFICJALNY PROTEST
W TEJ SPRAWIE
DO TWÓRCÓW
Z FIRMY UBIOSOFT



GRY POLITYCZNE

Rynek gier to dziś branża rozrywki dla dorosłych.

Wszyscy to już zdążyli zauważyć, z wyjątkiem polityków

Grand Theft Auto: San Andreas” (w skrócie „GTA:SA”) to najlepiej sprzedająca się gra ostatnich miesięcy. Prawdopodobna przyszła kandydatka na prezydenta USA Hillary Clinton próbowała utrudnić jej sprzedaż od dnia premiery. Odkrycie w grze scen erotycznych dało jej ostateczny argument – gra zostanie wycofana z największych sieci sklepów w Ameryce.

Wydaje się to zasłużonym zwycięstwem, ale sprawa tylko pozornie jest prosta. Branża elektronicznej rozrywki w roku 2004 przyniosła prawie 30 miliardów dolarów zysku, w Polsce jej wartość jest szacowana na jedynie około 150 milionów złotych, ale rozmiary polskiego rynku gier z roku na rok rosną. A wraz z rosnącymi zyskami przychodzą coraz większe kontrowersje. Z kolei wraz z gigantycznym zainteresowaniem dorosłych (blisko 70 procent grających to grupa wiekowa 18–35 lat!) rośnie liczba gier dla dojrzałych odbiorców. A kontrowersje przynoszą przecież wszystkie współczesne środki ekspresji.

PRZEMOC, NIE SEKS

W debatach o przemocy w grach nadal przytacza się argument w postaci „Mortal Kombat”. W 1993 roku gra ta była swoistego rodzaju szokiem. Postacie bohaterów wyglądały jak ludzie, a celem zabawy była

śmierć przeciwnika. Dzisiaj tytuł ten odszedł do lamusa, zagłuszyły go bardziej kontrowersyjne pozycje.

W grze „Carnageddon” zadaniem gracza było wygrać uliczny wyścig, ale by zdobyć dodatkowe punkty, należało potraćać przechodniów. Sam pomysł nie był oryginalny, twórcy wzorowali się na filmie „Death Rally 2000” (z jeszcze młodym Stallone’em). Gra wywołała dyskusje nie tylko wśród polityków, ale i w samej branży gier. Na ówczesne pytanie, jaki ta gra ma sens, dzisiaj mamy jedną odpowiedź: Wywołać szum medialny. Nikt nie spodziewał się tak doskonałej i darmowej reklamy. Gra doczekała się kontynuacji oraz wersji okrojonej, w której potraćaliśmy zombie. Była to pierwsza poważna konieczność ocenzurowania gry.

Kontrowersje to specjalność firmy Rockstar, twórców wspomnianego „GTA:SA”. To dzięki mediom udało im się zwiększyć sprzedaż gry „Manhunt”. Tu grający wcieli się w postać zmuszoną do brania udziału w polowaniu na człowieka. Ale mimo szumu w mediach gry te nie miały problemów ze sprzedażą w sklepach. Dlaczego? Zabrakło jednego elementu – seksu. W purytańskiej moralnie Ameryce to właśnie on wywołuje największe sprzeciw polityków oraz grup społecznych chcących zakazu sprzedaży gier. A autorzy to wiedzą i konsekwentnie nie zamieszczają „momentów” w grach.



Tak było i w przypadku „GTA:SA”. Twórcy wycieli zaprojektowane wcześniej sceny erotyczne, ale jeden z hakerów odkrył usunięte kawałki kodu i stworzył własną nielegalną modyfikację umożliwiającą zobaczenie tych scen. A to właśnie wykorzystala senator Clinton i gra trafiła na półki obok pornografii – przez to największe sieci handlowe wycofują się ze sprzedaży, a twórcy tracą miliony z powodu nielegalnej przeróbki.

POLITYCZNIE NIEPOPRAWNE

Kampania Hillary Clinton w USA daje wyraźny znak, że na branżę gier trzeba spojrzeć tak jak na kino czy muzykę – jako na przemysł rozrywki adresowanej przede wszystkim do dojrzałych obywateli. Stworzenie racjonalnych ram prawnych da gwarancję rodzicom, że sprzedawca w sklepie nie sprzeda ich dzieciom gry „od 18 lat”, a zatrudniający kilkaset osób producent albo lokalny wydawca nie będzie musiał wy-

cofywać przedsięwzięcia, w które włożył miliony.

Dopóki tak się nie stanie, politycy będą rzecz wykorzystywać. „San Andreas” to nie pierwszy przypadek takich interwencji. W jej poprzedniej części „GTA: Vice City” jedno z zadań polegało na zabiciu kilku członków haitańskiego gangu. Mniejszość haitańska w USA podniosła społeczny bunt, oddając sprawę do sądu. Podczas tej już stricte politycznej kontrowersji mediacji między stronami podjął się sam burmistrz Nowego Jorku Michael Bloomberg. Z kolei w zeszłym roku rząd Korei Północnej oficjalnie przeciwstawił się francuskiej firmie Ubisoft, gdy w ich nowej grze „Ghost Recon 2” właśnie Korea została pokazana jako agresor i zagrożenie dla pokoju. Ten sam krok podjęła służba dyplomatyczna Bangladeszu, gdyż w nachodzącej grze „Socom 3” pada zdanie, że rząd tego państwa wspiera terroryzm (notabene akcja tej gry ma się toczyć także w Polsce).

Firma Microsoft w swojej nowej konsoli do gier Xbox 360 postanowiła wprowadzić rewolucyjną blokadę dającą rodzicom gwarancję, że dzieci nie będą mogły zagrać na tytułach niestosownych do ich wieku. To krok o wiele lepszy niż zakazywanie sprzedaży gier przez polityków. Ale ponieważ haśła „moralności” w polityce nic nie kosztują, zapewne zobaczymy więcej tego typu protestów.

ŁUKASZ KUJAWA



NIE KAŻDY DESANT
KOŃCY SIĘ DOBRZE...

PONIŻEJ: RZUT 3D
NA POLE AKCJI
I JEDEN Z PROJEKTÓW
DO TEJ CIEKAWEJ
GRAFICZNEJ GRY

PIĘCIU KOMANDOSÓW

Za tydzień w „Przekroju” komputerowa gra strategiczna „Korea: zapomniany konflikt”

Powracając do którejś z wojen XX wieku, bardzo łatwo się komuś narazić, ale okazuje się, że w północnych Koreańczyków twórcy gier ostatnio biją jak w bębny (patrz tekst obok): nie dość, że to państwo pozbawione rynku gier wideo, to jeszcze powszechnie uznawane wciąż za duże zagrożenie dla światowego pokoju. Wojna koreańska jest więc tyleż zapomniana, ile – dla twórców gier – bezpieczna. Poza tym temat jest (jak na rynek gier strategicznych) stosunkowo mało wyeksploatowany. Nasza ekipa składająca się z dwóch–pięciu osób towarzyszy tu w kilkunastu misjach głównym operacjom wojsk ONZ od momentu lądowania pod Inczhon. Podczas gdy regularne oddziały generała MacArthura pięćdziesiąt po pięćdziesiąt odzyskują zajęte przez komunistyczne wojska terytorium, nasz mały oddział spija śmietankę: sabotuje na tyłach wroga, porywa radzieckich doradców, zatapia dostawy broni, uwalnia jeńców. Czyli na podobnych zasadach taktycznych jak w popularnym „Commandosie” poznajemy najbardziej heroiczną stronę wojny.

Mamy do dyspozycji aż nadto jaskrawy zestaw charakterów: indiańskiego snajpera, murzyńskiego komandosa urodzonego na Harlemie i Koreańczyka Kato. Do tego sanitariuszkę, o którą trzeba szczególnie dbać, żeby ona z kolei mogła zadbać o zdrowie reszty. I jeszcze sapersa, który będzie miał pełne ręce roboty. Będą mieli do dyspozycji bogaty wachlarz akcesoriów, a my – przyjazne sterowanie.

Dzięki niezbyt rozgarniętym (niestety) przeciwnikom gra premiuje niekonwencjonalne rozumowanie. Czasem nie trzeba nawet dobywać broni – wystarczy wsiąść do ciężarówki i zabawić się w złego kierowcę, by wyprawić paru wrogów do krainy wiecznych łowów. Skutkuje tu otwarty łomot spuszczone szybko i beczelnie. A czas, który poświęcilibyśmy na skradanie się po cichu, możemy przeznaczyć na podziwianie świetnej grafiki 3D, którą przygotował czeski zespół programistów.

IGOR KOŚCIELNIK

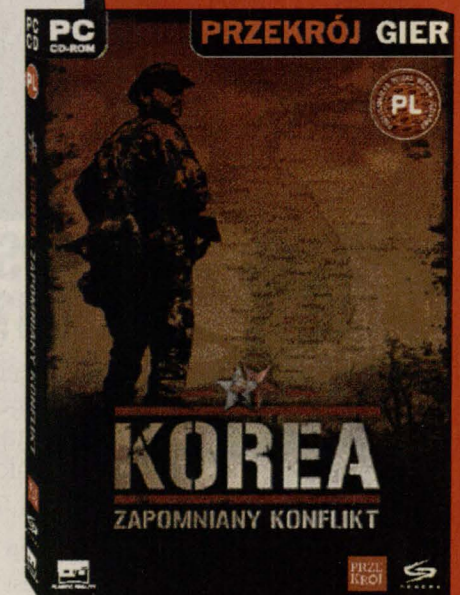
„KOREA: ZAPOMNIANY KONFLIKT”,
Plastic Reality, dystrybucja (PC) Cenega

KOLEKCJA

PRZEKRÓJ
GIER

JUŻ ZA
TYDZIEŃ

W „PRZEKROJU”
SPECJALNY DODATEK
GRA KOMPUTEROWA



Sprawdź, jakim jesteś przywódcą, poprowadź swoją grupę specjalistów wojskowych, wykonaj misję – w tej walce tylko najsilniejsi przetrwają!

- Dynamiczna i profesjonalna gra;
- 12 gigantycznych poziomów oraz dostęp do ponad 50 autentycznych rodzajów broni;
- Interaktywne i różnorodne lokalizacje;
- Dopracowana grafika;
- Polska wersja językowa.

„Przekrój”
+ gra w pełnej
wersji tylko
12,99 zł



KOWBOJSKI SIERPIEN?

DLaczego rocznica powstania warszawskiego w telewizji była pasjonująca dla młodego widza, a rocznica Sierpnia '80 już się na taką nie zapowiada

Program, jaki TVP przygotowała na rocznicę Sierpnia, jest imponujący: dziesiątki dokumentów, koncerty, cykle programów, debaty, specjalne wydania programów informacyjnych emitowane są przez cały miesiąc. Zrobione z myślą o 25-leciu filmy przypomną sylwetki opozycjonistów: Karola Modzelewskiego, Ludwika Lewina czy Wiesława Chrzanowskiego; opowiedzą dzień po dniu historię strajków – przy tej okazji wiele archiwalnych materiałów ujrzy światło dzienne po raz pierwszy. 31 sierpnia w Jedyńce będzie miała swoją premierę „Solidarność. Solidarność”, przygotowany specjalnie na rocznicę film złożony z 13 etiud polskich reżyserów. 26 sierpnia TVP1 będzie transmitować koncert Jeana Michela Jarre'a ze Stoczni Gdańskiej, a 31 możemy spodziewać się jeszcze pełnych relacji z rocznicowych uroczystości w Trójmieście.

W całym tym staraniu zabrakło tylko jednego – pomysłu na to, jak legendą Solidarności zainteresować młodszą widownię.

APETYT NA PATRIOTYZM

– 25-lecie Solidarności to okazja, by odświeżyć pamięć o Sierpniu '80 – pisze w swo-

ich materiałach TVP. A pamięć odświeża się tylko tym, którzy w danych wydarzeniach brali udział. Dla tych, którzy nie pamiętają strajków, takie odkurzenie wspomnień może mieć wyłącznie walor edukacyjny, to kolejna lekcja historii. Tylko kto chce się uczyć w wakacje? A może pomysłodawcy rocznicowego programu wyszli z założenia, że historia młodych i tak nie obchodzi?

Tymczasem przykład powstania warszawskiego pokazał, że i oni mogą pasjonować się historią. Trzeba tylko wiedzieć, jak bez moralizowania do nich trafić. Jak wielki jest apetyt na patriotyzm, udowodnił szalenie żywy odzew, z jakim spotkała się płyta „Powstanie Warszawskie” grupy Lao Che opowiadająca o kolejnych etapach powstania. – Nie chcieliśmy, żeby nasza płyta miała w sobie patriotyczne zadęcie i patos, nie chcieliśmy kolejnego sztampowego apelu – opowiada Mariusz „Denat” Denst z Lao Che (rocznik '71). – Dlatego nie wzięliśmy się do przerabiania piosenek powstańczych w rodzaju „Pałacyku Michła”, tylko opowiedzieliśmy o tamtych wydarzeniach własnym głosem. I chyba właśnie to docenili młodzi ludzie, to pozwoliło im na nowo odczytać historię.

W ostatnią rocznicę powstania TVP1 wyemitowała koncert Lao Che – i to był strzał w dziesiątkę, to szczególne muzyczne widowisko miało niemal milionową widownię.

– To, co stało się wokół naszej płyty od jej marcowej premiery, pokazuje, że w polskiej



historii tkwi niesamowity potencjał – stwierdzi „Denat”.

BRUDNY MIT?

Czy możliwe jest stworzenie podobnego międzypokoleniowego pomostu między ludźmi Solidarności a ich dziećmi i wnukami? I jak to zrobić? – Wystarczy sięgnąć po ten sam sposób, który zadziałał w przypadku powstania warszawskiego, czyli pokazać, że Sierpień robili ludzie, którzy zaangażowali się w opozycję często w bardzo młodym wieku – mówi dokumentalistka Maria Zmarz-Koczanowicz, autorka kilku filmów o najmłodszych pokoleniach Polaków. – Tu jest mnóstwo fascynujących biografii do pokazania!

Jako przykład podaje Bogdana Borusewicza, który jeszcze jako licealista trafił do więzienia za kolportowanie ulotek przeciw antysemickiej nagonce w 1968 roku. – Swego czasu złożyłam ze swoją producentką w telewizji projekt cyklu filmów o ta-

kich ludziach, ale poprzednie władze TVP uznały, że to nikogo nie będzie obchodzić – dodaje.

Z podobnego założenia – że historia obchodzi co najwyżej uczestników pamiętanych wydarzeń – wyszły właściwie wszystkie największe telewizje. Stacje komercyjne, które kierują swoją ofertę do ludzi młodych, nie przygotowały żadnych okolicznościowych programów. TVN poprzestanie na relacjach w „Faktach”, jedynie TVN24 będzie pokazywać najważniejsze elementy obchodów: celebrowaną przez arcybiskupa Dziwisza mszę, międzynarodową konferencję z udziałem Timothy'ego Gartonu Asha,

dzin dyskutowali ze słuchaczami o sensowności powstańczego zrywu i o patriotyzmie, nie przstraszył też ciężar rocznicy Sierpnia. Podeszli do niej niesztampowo: zorganizowali konkurs na najlepszą stronę internetową poświęconą Sierpniowi '80. Dziennikarze zachęcają młodych słuchaczy między innymi do zbierania wspomnień, grzebania w rodzinnych archiwach w poszukiwaniu zdjęć, znaczków, ulotek, podziemnych druków, gromadzenia tekstów solidarnościowych piosenek i, co więcej, do własnego ich interpretowania.

Szkoda, że żadna stacja telewizyjna nie wpadła na podobny pomysł wciąż



SIERPIEN 1980. W STOCZNI TRWA STRAJK. W PARTII (PO LEWEJ SEKRETARZ EDWARD GIEREK) – NERWOWE NARADY

Madeleine Albright, Zbigniewa Brzezińskiego czy uroczysty zjazd NSZZ Solidarność. Polsat też nie szykuje na Sierpień żadnych specjalnych wydarzeń.

Może więc faktycznie Solidarności nie da się atrakcyjnie sprzedać młodszemu pokoleniu? Może ono samo nie jest zainteresowane tym mitem?

– Mnie samego Solidarność aż tak bardzo nie interesuje – przyznaje „Denat”. – Niewiele o tym wiem, niewiele czytałem, ale też nie czuję specjalnie potrzeby, żeby zgłębiać ten temat. On nie jest dla mnie „kowbojski”!

Mariusz Denst dodaje, że nie pasjonuje się Sierpniem, bo widzi wokół siebie smutne następstwa solidarnościowego zrywu: – Ideały upadły, została masa hikokryzji. Ten mit nie jest czysty, podczas gdy Szare Szeregi były nieskalane!

SOLIMARNOŚĆ, SOLEJ!

Nie wszyscy jednak wątpią w sens konfrontowania młodzieży z najnowszą historią. To, co zaniedbała telewizja, nadrobi publiczne radio. Dziennikarzy młodzieżowej stacji Bis, którzy w 61. rocznicę powstania po prostu przez wiele go-

gnięcia młodych ludzi w historię, żadna też nie zdecydowała się pokazać Sierpnia z perspektywy najmłodszych pokoleń, nikt nie oddał im głosu, nie dał kamery do ręki (nie licząc 32-letniej Małgorzaty Szumowskiej, autorki jednej z etiud z filmu „Solidarność, Solidarność”). Można się więc spodziewać, że wielu z nich, znudzonych rocznicową rutyną, pewnie wyłączy telewizory i żeby odpocząć od kombatanckiego tonu, puści sobie słynną piosenkę „Ideały sierpnia”, w której parodiując patetyczny styl duetu Kaczmarek-Gintrowski, zespół Kurry śpiewał: „Nie zapomnijmy o ideałach sierpnia / O ludziach, którzy walczyli o wolność / O Kościele, który stał na straży polskości / O odrowężu, który ostatecznie wysłał pijawkę zdrady / Nie zapominaj o tych, którzy ponieśli / Ani o tych, którzy saneczkowali na trzecie piętro / O sprawie, co ważniejsza jest niż osobnicze życie (...) Solidarność, Solidarność, Solimarność, solej!”

MAŁGORZATA SADOWSKA

BYŁO

NIE DO WIARY!

Szał zabawy, opalone ciała, szogolone głowy, kolorowe światła i muzyka z playbacku. TVP2 wspólnie z didżejami Radia Eska podróżuje przez wakacje w kraju, pokazując efekty w programie na żywo „Hity na czasie”. Zaczęli po gwiazdorsku – od dyskoteki Chicago w Broszkach 1 lipca. Usta do wtóru swoich przebojów otwierały tu Mandaryna i In-Grid. Dwa tygodnie później w klubie Spiż w Katowicach z wykopem kontynuowali – tu duet Lerek i Nowator wykonał niewątpliwy hit ze słowami: „Moja panią jest taka piękna / Każdy ją chwali, nikt nie wymlona w rękach / Jest moja cała taka uśmiechnięta”. W odsłonie

trzeciej (klub Manhattan w Belchatowie) błysnął niejaki Mleko, który wyrapował swój przebój o polskich policjantach „Kto dogoni psa” z melodią z – jak to ujął młody prowadzący – „Pana Pankracego”. Wystąpiła też (podobno wielka gwiazda) Gosia Da Luxe, która wykonała piosenkę w duecie z amerykańskim gwiazdorem Warrenem G: ona śpiewała na miejscu, on był „na wynos” – odpowiadał jej z taśmy. Czeka nas jeszcze jedno spotkanie z tym programem i wielki finał na koniec wakacji. Już teraz w redakcji gorączkowo przesuwamy urlopy i odwołujemy wyjazdy, by zasiąść przed ekranem. „Hity...” to bowiem program bez precedensu, przynajmniej na antenie TVP. Jedyne, z czym można go porównywać to niezapomniany polsatowski „Disco relax”. (BACH)

BĘDZIE

BO DO TANGA...

Oczywiście trzeba dwojga, a jeśli jeszcze tych dwoje to Marlon Brando i Maria Schneider, możemy być pewni, że czeka nas gorący wieczór. „Ostatnie tango w Paryżu” rzadko trafia na ekrany naszych telewizorów. Mimo że od premiery oscarowego dzieła Bertolucciego minęło 33 lata, wciąż uchodzi ono za zbyt prowokacyjne. Oto młodziutki Francuzka i dojrzały, zgorzkniały Amerykanin zaczynają spotykać się w pustym paryskim mieszkaniu, by realizować

swoje seksualne fantazje. Europejskie sądy uznały, że film Bertolucciego to pornografia, krytycy – że to przenikliwa opowieść o prawdziwej naturze ludzkiej seksualności i niepokojącym związku miłości i śmierci, a Schneider i Brando – że Bertolucci nimi manipulował. A jak było naprawdę, dowiedzieć się z fascynującego dokumentu, który zostanie pokazany od razu po „Ostatnim tangu w Paryżu”. (MASA)

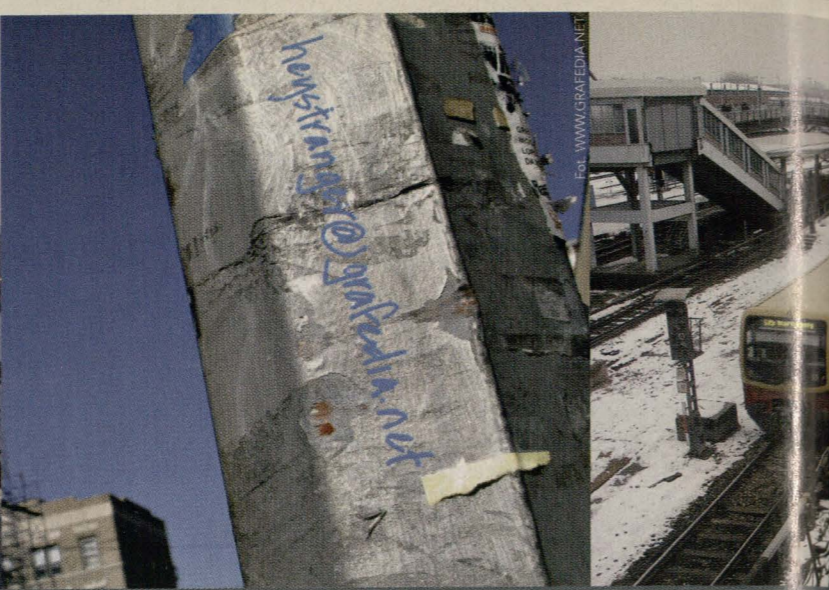
„OSTATNIE TANGO W PARYŻU”, ALE KINO!, 13.08, 20.00
„ONCE UPON A TIME... LAST TANGO IN PARIS”, ALE KINO!, 13.08, 22.00



LEONARDO CINETEXT/MEDIUM



OD LEWEJ: NIETYPOWA ŚWIECĄCA ŻÓŁTA STRZAŁA NA MANHATTANIE, OBIEKT OZNACZONY PRZEZ GRAFEDIĘ I YELLOW ARROW NA BERLINSKIM DWORCU



FOT. WWW.GRAFEDIA.NET

KLIKNIJ W ŚCIANĘ

Jeśli gdzieś w środku miasta zobaczysz naklejoną żółtą strzałę, chwyć za komórkę i ślij SMS-a. **Czeka cię niespodzianka**

To nie konkurs, w którym nagrodą jest wycieczka po króliczej norze, ale jeden z projektów nowej formy sztuki – multimedialnego graffiti, czyli grafedii („grafedia” to krzyżówka terminów „grafika” i „multimedia”). Podobnie jak graficyści, twórcy grafedii też malują farbą na ścianach, chodnikach i billboardach, ale to, co wykonują, to tylko informacja, dzięki której można zdobyć ich właściwe dzieła.

Strzały i szmery

Yellow Arrow pojawiło się w maju 2004 roku w Nowym Jorku na festiwalu sztuki miejskiej w East Side. Pomysłane jako jednorazowy happening strzały szybko zaczęły żyć własnym życiem. Dziś można je zobaczyć w kilkunastu państwach – w tym w Meksyku, Afganistanie czy Niemczech. Niestety, w Polsce jeszcze ich nie zaobserwowano. Strzałami oznakowano już trzy tysiące miejsc, od hydrantów po muzea. Uczestnicy tego globalnego happeningu umieszczają naklejki ze strzałami w miejscach, które najwięcej dla nich znaczą – ko-

ło ulubionej restauracji, przy ławce w parku, gdzie pierwszy raz się całowali, w klubie, gdzie bywają co tydzień – lub po prostu tam, gdzie jest coś ciekawego. Każdą strzałą ma swój unikatowy kod i numer telefoniczny, pod który można wysłać SMS-a z kodem tej właśnie strzały. W zamian otrzymujemy wiadomość, która może prezentować wspomnienia związane z danym miejscem lub dotyczyć całkowicie niezwiązanych z nim treści. Wszystkie te zapiski zebrane są na stronie YellowArrow.net.

Coraz częściej pojawiają się też strzały służące do odkrywania i pokazywania miejsc ciekawych, a nieznanych. Jak strzała na rogu ulic Piątej i S w Waszyngtonie, gdzie niepozorny budynek okazał się starą fabryką międzywojennej odmiany paczkowanego pieczywa Wonder Bread z rowerowym boiskiem w środku. W Kanadzie takie oznakowanie niezwykle ciekawych miejsc w trzech miastach – Toronto, Montrealu i Vancouver – wykorzystano, by przybliżyć je turystom. Do tego jednak służą nie strzały, lecz inne specjalne oznaczenia zwane „murmur”, czyli „szmer”. Wystarczy zatelefonować, żeby usłyszeć historię danego miejsca.

Niebieskie napisy

Zacząło się od żółtych strzał, ale dziś coraz większą popularność zdobywają niebieskie adresy. Kiedy idąc chodnikiem, zobaczysz na ścianie niebieski, podkreślony napis imitujący adres e-mailowy wykonany farbą w sprayu, wiedz, że to nie jest zwykłe graffiti. Wystarczy

na ten adres wysłać e-maila, by w odpowiedzi otrzymać cyfrowy obrazek, którego właścicielem jest autor graffiti. Taka forma rozpoznawania różnego rodzaju obrazów to jest właśnie grafedia. Jej ojcem jest nowojorczyk John Geraci, który sam określa to jako po części sztukę, po części ogłoszenie i po części prowokację. – Dzięki grafedii Internet wyszedł poza sieć, stając się częścią codziennej rzeczywistości – tłumaczy Geraci.

Dziś na stronie Grafedia.net wgrano już ponad dwa tysiące obrazków. Przysłali je komputerowi artyści z całego świata. Na zdjęciach są obrazy miejsc, grafiki lub po prostu wizualizacje wolnych skojarzeń autorów. I tak na przykład na ścianie jednego z budynków w East Village na Manhattanie widnieje błękitny, podkreślony napis „wanted” otoczony odręcznie narysowanym niebieskim sercem. Obok kodu jest czerwony dopisek „It’s nice to feel” – razem tworzy więc to zdanie „Miło jest czuć się potrzebnym”. Tyle że wysyłając e-maila na ten adres, otrzymamy zdjęcie okładki „New York Post” ze zdjęciami opozycjonistów poszukiwanych (też „wanted”) przez rząd Korei Północnej. Grafedyści wpadają na coraz bardziej szalone pomysły – czasem decydują się nawet na wytatuowanie adresu sobie, znajomym albo komuś z rodziny, a oprócz zdjęć czy plików graficznych przesyłają klipy wideo lub pliki muzyczne. Efekt zaskoczenia to też element przekazu.

SYLWIA CZUBKOWSKA

rzeczy
nie do rzeczy

WYKOLOT

Nareszcie ktoś
zbudował to, co
wymyślono dawno



Chyba każdy z nas ma w pamięci obraz mamy, babci, ciocie lub niani karmiącej jakiegoś malucha papką z marchewki czy kaszką. Każdy też pamięta ich desperację, gdy maluch opierał się, krzychał, zamykał buzię na znak protestu. Wtedy z ust karmiącej wydobywał się przeciągły warkot... i słowa: „Leci samolocik, leci, leci i... wylądował!”. Stary numer, ale sprawdzony. Zaskoczenie niemal zawsze otwierało dzieciom buzię. Czasy się jednak zmieniły, dzieci rodzą się z podstawową znajomością praw techniki i nieufnością. Które dziecko urodzone w XXI wieku uwierzy, że lyżeczka to to samo co samolocik? Na ratunek zdesperowanemu rodzicom spiesz więc ten oto Babyplane. Taki samolocik dzieci tykną. Dosłownie i w przenośni. (KDJ.)

listy



Kosmiczna sprawa

Muszę się pokajać, że gdy w ostatnim numerze zacząłem liczyć teksty o kosmicznych problemach NASA, na początku się przestraszyłem, że przesadziliście. „Jeden, dwa – OK – pomyślałem – ale cztery?!”. Zacząłem czytać i przyznaję się bez bicia, że mnie wzięło. Nie sądziłem, że mogę przeczytać tak dużo naraz na jeden temat. Tym bardziej że promy kosmiczne i kłopoty z nimi związane interesują mnie na co dzień tak samo jak wynik zamachu stanu w Mauretanii. Muszę więc pogratulować autorowi, że wykonał kawał kosmicznej roboty i sprawił, że facet taki jak ja zaczął z dziwnym zacięciem śledzić wszelkie doniesienia z orbity i uszkodzonego promu Discovery. I tak jak autor uważam, że gdy tylko załoga postawi nogę na Ziemi, wszystkie promy do załogowych lotów w kosmos powinny zostać pocięte na zyletki.

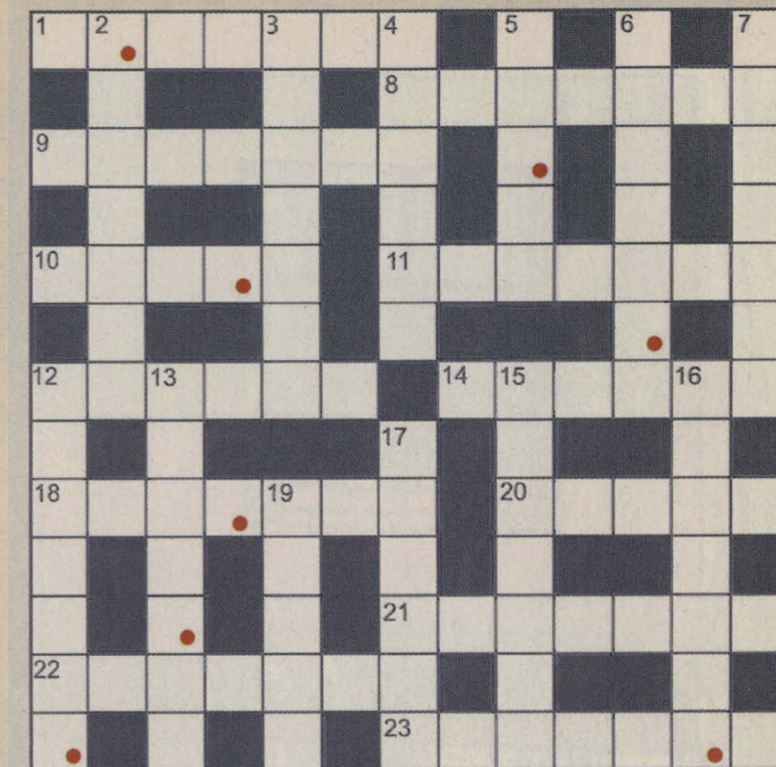
RAFAŁ KUNERT, NOWA SÓL

Nie chęć morza pod Chęcunami

Kiedy czytałam tekst „Może być morze”, miałam wrażenie, że cofnęłam się w czasie o pół wieku. Przypomniał mi się widziany w jakiejś bardzo starej książce napis na jednym z pomników Stalina: „I popłyną wody rzeki Kubań, tam dokąd każą im płynąć bolszewicy”.

Nie rozumiem, po co nam gigantyczny zbiornik wodny w środku Polski. Tym bardziej że – jak wynika z tekstu – plany

KRZYŻÓWKA nr 33



POZIOMO:

- BADŹ
- BONO PRO PUBLICO
- ZASTĘPUJE ŻONĘ W SZALECIE
- MAMO TO JA, TWÓJ PIES
- ZEPSUTKA
- CEL ĆWICZEŃ
- KONIOPNICKA
- STARY TEATR

20. OWCA LALA

- OPOWIADA ZAKOŃCZENIE FILMU
- POPULARNIE O PUMACH
- PAPUGAT

PIONOWO:

- TET MAJER
- NIE NENDZARZ
- IMIĘ RÓŻY

5. PO GOTOWI

- DOKOŁA SZYSZKI
- KILOWADY
- POD DYWANEM
- BUNTUJ SIĘ, KTO MOŻE
- ROZEBRAŁ NAS
- NIE TRZYMA
- DŹWIĘK WIDŁAKA
- AZJA Z JEDNYM JAJEM

LITERY Z OZNACZONYCH PÓL CZYTANE POZIOMO UTWORZĄ WYRAZ-ROZWIĄZANIE.

Rozwiązanie krzyżówki nr 30: METAFORA

Poziomo: 1.młokos 4.spodek 7.dożycie 9.snyk 10.spód 11.wkład 13.riksza 14.konsul 15.kreton 17.bajoro 19.kefir 20.koka 22.Kain 23.abstynent 24.styl 25.struna

Pionowo: 1.mikser 2.krok 3.szynka 4.stojak 5.opis 6.kundel 7.dyskietka 8.episkopat 11.wzrok 12.dolar 15.kaktus 16.nestor 17.biznes 18.odnoga 21.Abel 22.knur

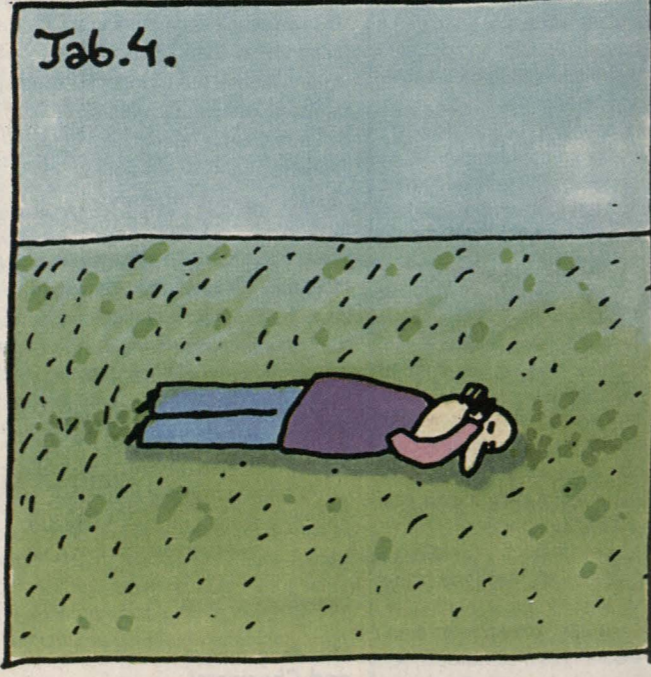
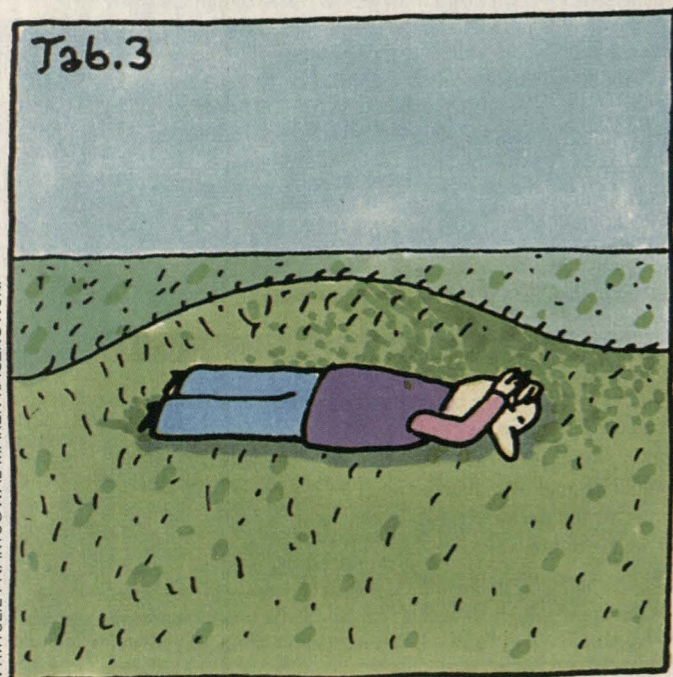
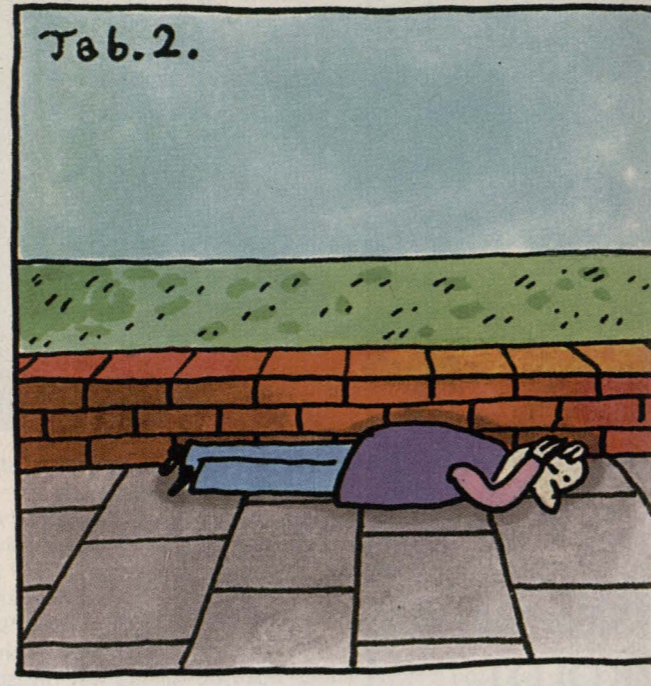
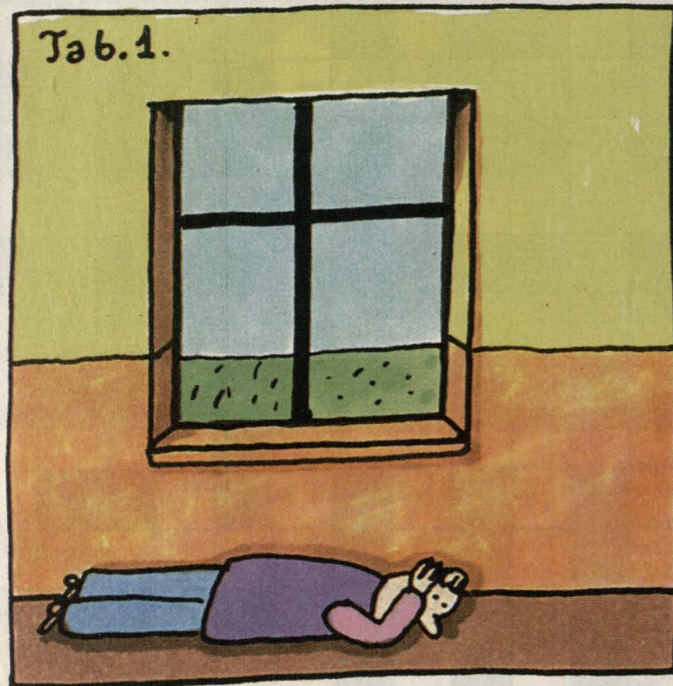
Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 28 nagrody wylosowali: Teresa Borkowska, Gorzów Wielkopolski; Stefania Ginalska, Częstochowa; Regina Glowacka, Poznań; Zbigniew Herman, Sucha Koszalińska; Katarzyna Królikowska, Poznań; Urszula Malik, Rotmanka; Katarzyna Osinga, Kraków; Aneta Pietrzak, Kalisz; Ewa Sawicka, Wrocław; Monika Wszolek, Kraków. Gratulujemy!

Rozwiązania możesz teraz przesłać szybciej i taniej SMS-em! Wyslij SMS o treści PRKK.HASLO KRZYZOWKI na numer 7135 (netto: 1 zł; brutto: 1,22 zł/SMS). Pomiędzy czytelników, którzy do niedzieli 21 sierpnia nadesłali prawidłowe rozwiązanie za pomocą SMS-a lub na kartkach pocztowych (decyduje data stempla), rozlosujemy 10 książek Phillipa Margolina „Śpiąca królewna” (Świat Książki).

ALEKSANDRA WICHER
MIĘDZYDROJE

„Przekrój”, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa,
z dopiskiem Krzyżówka 33





WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

PRZEKROJ

Założony w roku 1945 w Krakowie
Redaktor MARIAN EILE

ADRES REDAKCJI: UL. WIEJSKA 19, IV P., 00-480 WARSZAWA, TEL. 584 25 25, FAKS 584 25 21
WWW.PRZEKROJ.PL, E-MAIL: redakcja@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNY: Piotr Najsztub ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: Jacek Kowalczyk PROJEKT GRAFICZNY: Elżbieta i Bogdan Zochowscy
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: Małgorzata Łaska SEKRETARZE REDAKCJI: Magda Gędziorowska, Marcin Sendek, Maria Świetlik (zastępca) ASYSTENTKA: Anna Romotowska
KULTURA: Bartek Chaciński (szef), Marcel Andino Velez, Tadeusz Nyczek, Małgorzata Sadowska, Justyna Sobolewska KRAJ: Wojciech Mazowiecki (szef), Magda Papuzińska (zastępca), Juliusz Cwieliuch, Marcin Fabjański, Joanna Gorzelińska, Cezary Łazarewicz, Rafał Madajczak, Michał Matys, Grzegorz Rzczkowski, Max Suski, Paweł Wieczorek
ŚWIAT: Wawrzyniec Smoczyński (szef), Jakub Kumoch, Jakub Mielnik, Marek Rybarczyk. Stale współpracują: Jonathan Cook (Jeruzolima), Piotr Kowalczyk (Rzym) NAUKA: Olga Woźniak (szef), Piotr Stanisławski
ROZRYWKI: Marcin Pieszczyk PRACOWNIA GRAFICZNA: Piotr Gidlewski, Mateusz Hankala, Michał Janicki, Maria Klich, Agata Loth, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski PAN OD RYSUNKÓW: Jacek Ziemiński
FOTOEDYCJA: Marcin Kapica (szef), Bogdan Krężel (fotograf), Urszula Matusik, Olga Piłśniak, Marek Szczepański KOREKTA: Tatiana Hardej, Sylwia Raczynska ARCHIWUM: Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok
REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Jednostka Organizacyjna SEKRETARIAT: Iwona Chmielewska

WYDAWCA: EDIPRESSE POLSKA S.A., UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA, TEL. (0-22) 584 22 00, FAKS (0-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierala WICEPREZES: Ewa Redel DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY: Izabela Bochenek DYREKTOR FINANSÓW: Paweł Satkowski
PUBLIC RELATIONS: Marcin Fedisz DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKROJ”: Iwona Zabielska-Stadnik DZIAŁ DYSTRYBUCJI: Grzegorz Barej – dyrektor
DZIAŁ PRODUKCJI: Danuta Kamińska – dyrektor PRZYGOTOWALNIA: Edipresse Polska – Zbigniew Szymański (dyrektor) DZIAŁ PROMOCJI: Dorota Rakowska – Product Manager
BIURO REKLAMY: Ewa Kozłowska – dyrektor, Artur Dudek, Grażyna Janiak, Anna Opszała, Małgorzata Skorupa, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, tel. (0-22) 584 22 30 (pn.-pt., godz. 9-17), (0-54) 236 55 28 (pn.-pt., godz. 8-16).

faks (0-22) 584 25 92 DRUK: Winkowski Sp. z o.o. – Radzymin PRENUMERATA WYDAWNICTWA – zamówienia (płatność przy odbiorze przesyłki), tel. (0-54) 236 55 28 (pn.-pt., godz. 9-17).
Dodatkowe informacje i reklamacje (Izabela Mroczek, Agnieszka Bogdańska) TEL. (0-22) 584 22 29 LUB 584 22 30 (pn.-pt., godz. 9-17).
PRENUMERATA@PRZEKROJ.PL, PRENUMERATA.KONKURSY@EDIPRESSE.PL PRZEZ POCZTĘ – PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE NA TERENIE CAŁEGO KRAJU
PRZEZ RUCH SA – informacja tel. (0-22) 532 87 31, faks (0-22) 532 87 32 NA CAŁYM ŚWIECIE W INTERNECIE – www.exportim.com, faks/tel. +46-8-6639963

ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONICZNYCH NIE ZWRACAMY. REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN I SKRÓCEN W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH

O Kopenhadze wiemy wszystko...



Królewska Kopenhaga

Cena za osobę. Przejazd promem na trasie Świnoujście-Kopenhaga-Świnoujście, miejsce w kabinie, 2 posiłki na promie, zwiedzanie baśniowej stolicy z przewodnikiem i pilotem, ubezpieczenie KL i NW.

już od
360 zł*

Kopenhaga via Ystad

Cena za osobę przy 5 osobach podróżujących + 1 samochód osobowy. Przejazd promem z samochodem osobowym na trasie Świnoujście-Kopenhaga-Ystad-Świnoujście, przejazd mostem łączącym Danię ze Szwecją. Powrót w dowolnym terminie.

już od
160 zł*

Tańsze dni tygodnia

Teraz przez cały tydzień!
Cena za osobę. Przejazd kierowcy z samochodem osobowym promem na trasie Świnoujście-Kopenhaga-Świnoujście.

już od
405 zł*

* Cena orientacyjna w złotych, przeliczana każdorazowo z DKK według średniego kursu z dnia dokonania zakupu.
Warunkiem skorzystania z oferty jest dokonanie rezerwacji przejazdu nie później niż 24 godziny przed rozpoczęciem rejsu.

Gdynia, tel. 58 620 87 61; Katowice, tel. 32 206 85 75; Kołobrzeg, tel. 94 352 50 10;
Poznań, tel. 61 866 12 16; Szczecin, tel. 91 488 02 38; Świnoujście, tel/fax. 91 322 43 96;
Warszawa, tel. 22 830 09 30; Wrocław, tel. 71 344 41 37;
sieć biur agencyjnych w całej Polsce, e-mail: info@polferrries.pl

polferrries

MORSKIE BIURA PODRÓŻY

www.polferrries.pl



